

M A G A Z Y N

BIĄŁY KRUK

ISSN 2544-6304

NR18 październik-grudzień 2021



WOJTEK SETLAK - 11 BIT STUDIOS
WYWIAD

OPOWIADANIA

SEBASTIAN BIELAK **BILET W JEDNĄ STRONĘ**
ALEKSANDRA STANISZ **ZIELEŃ NEKROMANCKA**
BARBARA KACZYŃSKA **PANNA TWARDOWSKA**
JOANNA W. GAJZLER **PRAWDZIWY ANIMATURG**
WERONIKA KOSSOWSKA **NA KOŃCU JĘZYKA**
KAROLINA BYSZEWSKA **PIESZCZOTA CZASU**
ALEKSANDRA KUŻMA **MGIELNIK**
KRZYSZTOF GOŁA **NIC NAS NIE ZATRZYMA**
SYLWESTER GDELA **NA SKRAJU WOLNOŚCI**



Audiodeskrypcja okładki dla osób niewidomych

Grafika okładki utrzymana w barwach czerni, szarości, brązów i żółci. Na pierwszym planie, na środku, wylania się postać będąca w rzeczywistości maszyną. Okuta jest w pancerz pokrywający jej tors, ręce oraz nogi, a ze szpar pomiędzy łączeniami widać wyraźnie kable oraz tryby. Na samym środku zbroi znajduje się zegar ciśnieniowy. Zza pleców wylaniają się dwa kształty przypominające kanistry, na lewym również jest zegar ciśnieniowy i odchodzą od niego kominy, z których wydobywa się para. Głowa maszyny ma kształt latarni gazowej z XIX wieku. W dłoni natomiast trzyma zegar kieszonkowy. Na dalszym planie, pełnym szarości, brązów i czerni widzimy zarysy budynków przypominające architekturę XIX wieku. Całość jest rozmyta, przez co wydaje się, że postać na pierwszym planie wylania się zza mgły.

Na górze okładki po środku znajduje się tytuł czasopisma „MAGAZYN BIAŁY KRUK” z umieszczonym numerem ISSN: 2544-6304, oraz Numer 18 październik-grudzień 2021.

W lewym dolnym rogu figuruje logo wydawcy z nazwą w kolorze czarnym z białym konturem. Koło w kolorze niebieskiego, rozgwieżdżonego nieba, z białym krukiem pośrodku i czerwonym zarysem księżyca. Pod logo widnieje napis Klub Miłośników Fantastyki Biały Kruk. W prawym dolnym rogu mieści się lista artykułów alfabetycznie wg nazwiska autora, a następnie lista opowiadań w tej samej kolejności. Obydwie listy znajdują się w spisie treści na następnej stronie.

REDAKTOR NACZELNY: **Grzegorz Czapski**

WYDAWCA: **Klub Miłośników Fantastyki „Biały Kruk”**

KRS: **0000845571**

ADRES KONTAKTOWY: **magazyn@bialykrak.org**

ISSN: **2544-6304**

REDAKCJA TEKSTÓW: **Grzegorz Czapski, Gabriela Tyńska, Karol Ligecki, Michał Pleskacz,**

Marlena Urbaniak, Marta Majbrodzka, Agnieszka Kędra, Karla Kuźnicka, Janina Zabielska,

Katarzyna Strażnikiewicz, Marzena Szymanowska-Pietrzyk, Kinga Kurant, Marta Gill, Malwina Niewielska,

Agata Gońbek, Klaudia Szumińska, Karolina Byszewska, Paulina Połoińska

KOREKTA TEKSTÓW: **Gabriela Tyńska, Karol Ligecki, Michał Pleskacz, Marlena Urbaniak,**

Marta Majbrodzka, Agnieszka Kędra, Karla Kuźnicka, Janina Zabielska, Katarzyna Strażnikiewicz,

Marzena Szymanowska-Pietrzyk, Kinga Kurant, Marta Gill, Malwina Niewielska, Agata Gońbek,

Klaudia Szumińska, Karolina Byszewska, Paulina Połoińska

SKŁAD I ŁAMANIE TEKSTÓW: **Mariusz Kieśiński, Marta Majbrodzka, Marta Majbrodzka, Izabela Starosta,**

Grzegorz Czapski

PROJEKT LOGOTYPU: **Paweł Iwaniuk**

PROJEKT GRAFIKI NA OKŁADKĘ: **Kinga Ciepiel**

PROJEKT OKŁADKI: **Mariusz Kieśiński**

ILUSTRACJE / FOTOGRAFIE: **Unsplash, Pixabay**

M A G A Z Y N

BIAŁY KRUK

2 Wstęp

W Y W I A D

- 3 Od steampunka do
Frostpunka**
Bruno Grigori

A R T Y K U Ł Y

- 12 Wcale nie taka ballada**
Jakub Węgrzynowski
- 16 Lisiomornik - Arena
Truskawek**
Lisioł

O P O W I A D A N I A

- 19 Prawdziwy Animaturg**
Joanna W. Gajzler
- 36 Mgielnik**
Aleksandra Kuźma
- 43 Nic nas nie zatrzyma**
Krzysztof Gola
- 59 Na końcu języka**
Weronika Kossowska
- 77 Pieszczota czasu**
Karolina Byszewska
- 80 Na skraju wolności**
Sylwester Gdela
- 89 Bilet w jedną stronę**
Sebastian Bielak
- 100 Zieleń nekromancka**
Aleksandra Stanisł
- 105 Panna Twardowska**
Barbara Kaczyńska

W zeszłym roku, dzięki grze polskiego studia CDProject Red, królował cyberpunk.. Hype był, a jak wyszło – wszyscy wiemy.. Wybierając jednak tematy opowiadań na rok 2021, podjęliśmy w redakcji decyzję, aby spróbować z młodszym bratem cyberpunku, czyli ze steampunkiem. *Najlepiej by było, pomyśleliśmy sobie, gdyby silniki parowe i żar od nich bijący ociepili grudniowe wieczory.*

Osobiście miałem trochę obiekcji, bałem się, że będzie problem z opowiadaniem – choć fandom steampunkowy jest naprawdę duży i aktywnie działający, to jednak pod kątem literackim wtedy trochę przycichł. Na szczęście okazało się, że gatunek po prostu przycichł się niczym strzelec wyborowy z karabinem parowym, czekając na odpowiedni moment, by dać nam zarówno porządne powieści, jak i opowiadania do tego numeru.

Sam gatunek ma naprawdę duży dorobek, podobnie jak i prekursorów, a tych – począwszy od twórczości Juliusza Verne’a czy *Maszyny różnicowej* Gibsona i Sterlinga – jest niemało. Steampunk bardzo dobrze zadomowił się także w komiksach, na przykład poprzez *Ligę Niezwykłych Gentlemanów*, i w kinie dzięki produkcji *Bardzo dziki zachód*. W grach również widać jego wpływy, chociażby w *Dishonored* czy w polskim *Frostpunku*.

W tym numerze odnajdziecie dziewięć opowiadań pokazujących różne wizje polskich autorów steampunkowych. Dwa z nich to teksty, które publikujemy w ramach nagrody za Zielony Konkurs, który zorganizowaliśmy razem z Wiktorią Król, autorką publikacji *Kolor śmierci, odcień grobu, czyli 50 odcieni morderczej zieleni*.

Dodatkowo, w tym numerze witamy naszego nowego współpracownika, Brunona Grigori, który w naszym imieniu przeprowadził wywiad z Wojtkiem Setlakiem z 11 bit studios na temat gry *Frostpunk*. Przeczytajcie również o kolejnych przygodach Lisiola w *Lisioł Gościnnie* oraz zajrzyć za *Horyzont Zdarzeń fantastyki* Jakuba Węgrzynowskiego.

Wielkie podziękowania dla Kingi Ciepiel za niesamowicie klimatyczną ilustrację na okładkę.

W imieniu zarówno swoim, jak i redakcji „Białego Kruka” życzę Wam miłej lektury!

Redaktor Naczelny
Grzegorz Czapski

Od steampunka do Frostpunka

Bruno Grigori

Nurt steampunkowy powstał jako bardziej optymistyczny, mniej przerażający odłam dystopijnego cyberpunka, by zaraz przyjąć w swoje ramiona dzieła Juliusza Verna'a czy Herberta Wellsa, jako swoich prekursorów. Zapewne między innymi z tego powodu, dzięki ich wizji, dość szybko ukształtowała się i okrzepła jego wiktoriańska stylistyka, która obecnie kojarzona jest z nim nawet lepiej niż potrzeba, z której wyrósł – marzenie o stworzeniu takiego świata alternatywnego, który byłby w miarę przyjemny do życia i w którym technologia nie obdzierałaby ludzi z człowieczeństwa. Steampunk nie stroni również od magii – nie tylko dlatego, że charakterystyczna dla niego technologia sama w sobie nierzadko jawi się magiczną. To świat, w którym ludzie pięknie się ubierają, budowane przez nich maszyny skrzą się geniuszem, a Ziemia jest jeszcze młoda, otwarta na poznanie i zwykle nie próbuje swoich dzieci zabijać. Jest to atrakcyjny, przeważnie pogodny świat od dawna już skutecznie inspirujący pisarzy, malarzy czy projektantów gier.

Mający tak wielu opiekunów, dobrze karmiony, lubiany i głaskany steampunk dorósł. Czas zrobił się po temu najwyższy, by pokazać dobrze wychowanemu dziecku prawdziwy świat, ludzi z krwi i kości, wraz z całym ich egoizmem, małostkowością, obłudą, arogancją i gniewem. A nasza Matka Ziemia? Cóż... może być, że bynajmniej nie dostrzega w nas swoich dzieci, ale raczej wirusy lub robactwo, które się na niej zaległo.

Powstał *Frostpunk*.

Ziemia zamarzła i zabiła większość zamieszkującej ją ludzkości, zwierząt, wszystkiego co po niej chodzi i ją ustawicznie krzywdzi. To życie, które przetrwało, zmuszone zostało stawić czoła warunkom niewiele odbiegającym od lądowania na obcej planecie – w wykonaniu astronautów wziętych z ulicznej łapanki, niewyszkolonych, pozbawionych sprzętu, od pierwszej chwili bardziej zainteresowanych tym, kto tu rządzi, niż tym czym oddychać. Skończyło się dostatnie życie, piękne ubrania i współbrzmienie umysłu z przyrodą; zaczęła się walka o przetrwanie. Pozostała wiktoriańska stylistyka – chociaż



Frostpunk - The Rifts

mosiężne okucia pokrył węglowy pył, a kotły parowe pękają od mrozu. Ludzie przestali traktować sąsiadów jak współpasażerów podróży przez życie, lecz rywali, a niektórzy zaczęli dostrzegać w nich pożywny posiłek. Steampunk stał się równie dystopijny jak cyberpunk (może nawet bardziej!), od którego w dziecięcym buncie uciekł.

I nieprzyjazny, mroźny *Frostpunk* spotkał się z niezwykle ciepłym przyjęciem – sprzedał się w ponad 3 milionach egzemplarzy, krytycy growi wypracowali dlań średnią ocen 84% (to jest wysoko), zdobył dziesiątki prestiżowych nagród, od Stanów Zjednoczonych po Chiny.

Dziś, gdy czekamy na *Frostpunka 2*, o źródłach sukcesu “jedyńki”, o tym jak pisać dystopijne historie i tworzyć okrutne światy, które gracze będą chcieli odwiedzić, żyć w nich i poczuć na własnej skórze całe ich zło, o tworzeniu narracji do gier w ogóle rozmawiam z Wojtkiem Setlakiem – niegdyś redaktorem w miesięcznikach o grach komputerowych (od 1994 do 1999 *Gambler*, od 2000 do 2012 *Komputer Świat GRY i Play*), obecnie pisarzem i narrative designerem w 11 bit studios.

Bruno Grigori: Pamiętasz swoje początki we *Frostpunku*? Chciałeś do niego pisać, a może nie miałeś wyboru? Czy któryś z aspektów jego powstającego



Frostpunk - The Last Autumn

świata szczególnie Cię zainteresował? Jesteś bardziej technologiczny, czy bardziej ludzki?

Wojtek Setlak: Cóż bardziej ludzkiego niż technologia? zapytam przewrotnie. Choć ostatnie odkrycia naukowe zaprzeczają wyjątkowości Homo sapiens jako zwierzęcia używającego narzędzi, to jednak technologia najmocniej wyróżnia nas spośród innych stworzeń małych i dużych. No, może technologia i dar mowy. Technologia, dar mowy i zaawansowana struktura społeczna... Ale to bez technologii zostalibyśmy de facto ściągnięci z powrotem do poziomu naszych zwierzęcych braci i sióstr.

Pisanie tekstów do *Frostpunka* było więc tym bardziej fascynującym wyzwaniem, że przemiany, jakie przeżywa (albo i nie) ludzkość pod presją apokaliptycznej zimy dotyczą wszystkich tych dziedzin. Technologia w postaci Generatorów otula garstkę ocalałych bąbelkiem ciepła. Aby przeżyć, społeczność ulega przemianom, czasem drastycznym, te zaś wpływają na mowę codzienną. A to wszystko trzeba było ukazać, nie tracąc z oczu ani miasta, ani ludzkich dramatów.

Pisząc do poprzedniej gry, *This War of Mine*, formalnie nie byłem jeszcze w zespole, więc *Frostpunk* to mój oficjalny debiut. Miałem szczęście, że właśnie do tych dwu gier zostałem zaangażowany. Trudno sobie wyobrazić bardziej



Frostpunk - ilustracja z gry

komfortowe przejście „od krytyki do fabryki”, po pierwsze dzięki temu, że obie gry koncentrują się na tak ważkich tematach, a po drugie dzięki humanitarnemu podejściu 11 bit studios do pracowników.

BG: Jakbyś opisał, czym jest steampunk obecnie? Co dziś wyróżnia go spośród innych nurtów fantastycznych? Są jakieś dzieła z jego gatunku, które szczególnie cenisz, polecasz? Gdzie znajdujesz inspirację?

WS: Nie jestem znawcą, więc trudno mi pokusić się o opinię inną niż czysto osobista. Zwrócę tylko uwagę na z jednej strony fundamentalne dla steampunka, a dziś już mocno zapomniane dzieła klasyków SF jak Harry Harrison (*Tunel transatlantyczny. Nareszcie!*) czy filmy Hayao Miyazaki, które łatwo przeoczyć, jeśli ktoś skreśla mangę z założenia. Moje literackie sympatie są mocno eklektyczne i takie też mam inspiracje.

BG: Jeszcze bardziej od steampunkowości charakterystyczne dla *Frostpunka* są dylematy, trudne decyzje i ich konsekwencje; pytania o naturę człowieka, o cel i o środki, o sens naszego istnienia i akceptowalną cenę płaconą za przetrwanie. Jak powstają te historie o ludziach, którzy znaleźli się w tak przerażającej, ale przecież wymyślonej sytuacji?

WS: O ile ta konkretna apokalipsa jest wymyślona, bo wieczna zima nigdy nam nie groziła, to jednak sama groźba katastrofy jest jak najbardziej realna,



Frostpunk - Ilustracja z gry

a w mniejszej skali, skali społeczności, znana aż nadto dobrze licznym dawno nieżyjącym i współczesnym nam ludziom. Czy będzie to katastrofa klimatyczna, której nie uda się powstrzymać, czy globalna wojna, czy też lokalne klęski żywiołowe w jednej chwili zmiatające z powierzchni ziemi odwieczne struktury i sieci społeczne, ludzkość była, jest i będzie poddawana próbie. Zatem choć skala ukazanego we *Frostpunku* kataklizmu jest wyjątkowa, to ludzkość ma bogate doświadczenia z radzeniem sobie w obliczu zagłady. Tak jak w *This War of Mine* sięgaliśmy do relacji ocalałych po realistyczne opisy losów ofiar wojny, tak we *Frostpunku* inspiracją były dla nas z jednej strony przeżycia więźniów lodów Arktyki i obozów Kołomy, z drugiej – opisy katastrof społecznych takich jak wojna, klęska głodu czy długotrwała depresja ekonomiczna.

BG: O ile klasyczny steampunk osadzony jest w alternatywnej historii, rzeczywistości, która już była – przed którą świat istniał, i po której istniał nadal – o tyle *Frostpunk* opowiada de facto o końcu świata (a nawet pewną chwilę po nim). Może źle robimy myśląc o nim jak o reprezentancie steampunka? Może to raczej postapo?

WS: Trochę tak, a trochę nie, bowiem we *Frostpunku* apokalipsa jeszcze trwa i godzina ostatecznej próby wciąż nadchodzi. Poza tym nasza społeczność niewiele traci z technologii dostępnych ludzkiej cywilizacji w chwili katastrofy,



Frostpunk - ilustracja z gry

mało tego, zostaje wyposażona na drogę w utrzymanie w tajemnicy a szczytowe jej osiągnięcia, czyli tajemnicze „rdzenie parowe” oraz Generatory. To, czy dla naszej małej społeczności wielki mróz i wielka burza będą końcem świata czy nie, zależy teraz od naszych decyzji jako jej lidera. A może apokalipsa zabierze nam dusze, oszczędzając ciała? Jeśli uda nam się ocalić od zagłady ludzkość pod postacią bandy kanibali, to warto zadać sobie absurdalne dla wielu pytanie: czy było warto?

BG: W czym upatrujesz przyczyn powodzenia *Frostpunka*? Bo chyba nie w pomyśle: dajmy graczom świat okrutny i umierający, w którym nikt przy zdrowych zmysłach nie chciałby się znaleźć choćby na chwilę? Czy jednak potrzeba drastycznych doznań trzyma się mocno w naszej przeważnie wygodnej i bezpiecznej rzeczywistości?

WS: Podobnie jak w wypadku *This War of Mine* mocnym punktem *Frostpunka* jest skupienie się na przeżyciach ludzi w sytuacjach, w których nikt przy zdrowych zmysłach nie chciałby się znaleźć, a które jednak wielu z nas sobie wyobraża, odgrywając w swym umyśle, czy to przed zaśnięciem czy już po, dramat upadku ludzkości ze sobą w roli – no właśnie. Między których i które zaliczono by mnie w godzinie próby? Ofiary czy oprawców? Tchorzy czy bohaterów? Ocalonych czy przepadłych bez wieści? Co uczynię, gdy stanę pod



Frostpunk - ilustracja z gry

ścianą? To są przerażająco fascynujące pytania i nic dziwnego, że wielu ludzi chce je eksplorować w bezpiecznym środowisku książek, filmów i gier.

BG: Chyba bez wielkiej przesady można stwierdzić, że pisarstwem, w różnych jego formach, parasz się przez większą część swojego życia – zarówno użytkowym, dziennikarskim, jak i zdecydowanie bardziej kreatywnym. Co lubisz najbardziej: stwarzać światy? zaludniać je? obserwować i opisywać?

WS: Zdecydowanie zaludniać, bo w gruncie rzeczy z tego wynika cała reszta. To, jaki ten stworzony świat jest, w zasadniczym stopniu zależy od zamieszkujących go postaci. Poza tym to właśnie dzięki interakcjom między ludźmi świat najszybciej zaczyna żyć własnym życiem i to dzięki nim najłatwiej obnażyć ewentualne fałszywe nuty zawarte w założeniach.

BG: Co najbardziej, odróżnia pisanie narracji do gier od tworzenia klasycznych, mniej interaktywnych form? Na ile uczestnictwo graczy w historii jest realne? W jakim stopniu interaktywność oddziałuje na treść i styl tekstu?

WS: Fundamentalną różnicą jest służebność tekstu względem rozgrywki. Najpierw jest ona, potem narracja, na końcu tekst. Jeśli mam świetny pomysł na scenę, która nie pasuje do rozgrywki, to nie ma co go na siłę wciskać do gry. Tak samo jak znakomitego bon motu, który zgrzyta w ustach danej postaci w danym momencie. Dlatego pisząc do gry, dobrze jest być też projektantem,



Frostpunk - ilustracja z gry

widzieć całość od strony zaplecza i maszynerii. Dzięki temu świetne pomysły wspierające rozgrywkę nasuwają się same. A do nich dopasowuje się tekst, jego atmosfera, długość – jak być może widać, uwielbiam się rozpisywać, ale zarówno redagując teksty, jak i pisząc do gier jestem zwolennikiem zwięzłości, bo widzę jej zalety: przejrzystość i dostępność. Sztuką jest zawrzeć atmosferę w krótkim zdaniu, jak słynne „Na sprzedaż: dziecięce buciki, nigdy nienoszone” przypisywane Hemingwayowi – bezpodstawnie, ale jakże trafnie!

BG: Myślisz, że pełniejsza obecność gracza w stworzonym dla niego świecie ma pozytywny czy negatywny wpływ na to, jak duża część tego świata powstaje w wyobraźni gracza – w kontrze do tego, jak dużą część kreacji muszą przygotować pisarz i projektant?

WS: To zależy bardziej od intencji twórców niż od materii, w jakiej tworzą. Są gry, podobnie jak filmy i książki, nie pozostawiające wiele w domyśle, czy to, z całym szacunkiem, dzieła Sienkiewicza, filmy z Johnem Ceną czy seria *Elder Scrolls*. To nie jest zarzut, dwie z tych trzech kategorii bardzo lubię, a ostatnio przed snem grywam w *Warhammera: Total War* (dwójkę), żeby dać mózgowi odpocząć. Ale czasem mamy ochotę włączyć się w proces twórczy i wtedy sięgamy po coś innego, dającego naszej wyobraźni więcej swobody, a więc i zajęcia. Zarówno we *Frostpunku* jak i w *This War of Mine* są liczne momenty,

w których odsuwamy się i dajemy graczowi wypełnić do końca postać czy scenę wyobrażonymi uczuciami i myślami. Sądzę, że to jeden z powodów, dla których gra stała się popularna, bo wśród ludzi ceniących sobie trudniejsze fabuły osoby z bogatą wyobraźnią są nadreprezentowane.

BG: Pisarz growy w znacznie większym stopniu, niż jego koledzy z mediów klasycznych, ma do czynienia z feedbackiem – Twoja praca jest na bieżąco oceniana i komentowana, zarówno pod kątem spójności z wizją projektu, jak i samej jej jakości. Jaki wpływ ma taki tryb pracy na pisarski warsztat?

WS: Uczy to pewnej ostrożności, zawsze przydatnej przy pracy zespołowej. Jeśli porwie mnie jakaś wizja i nie bacząc na porę siądę do komputera i pogalopuję w nieznane, to muszę się liczyć z tym, że nie uda się jej pogodzić z koncepcją gry, zwłaszcza na wczesnym etapie ulegającą ciągłym zmianom. Bardzo ważne jest to, by pozostawać wiernym swoim ideom, nie biorąc przy tym krytycyzmu osobiście. Inaczej twórcy grozi kreatywna apatia – „co ja się będę wysilał jak i tak wszystko mi pozmieniają” to nie jest dobre podejście do współpracy.

BG: U podstaw narracji pierwszego *Frostpunka* leży zamrażnięcie Ziemi, upadek społeczeństw, przetrwanie za wszelką cenę. Co jest punktem wyjścia dla części drugiej?

WS: Minęło trzydzieści lat. Sytuacja się ustabilizowała, choć mróz wciąż trzyma. Ci, którzy pamiętają dawny świat i wielką burzę, która go pogrzebała, powoli odchodzą na wieczną służbę. Ludzie młodzi i dynamiczni przejmują stery, gotowi skierować społeczeństwo na nowe tory. Wychylając się z bezpiecznego schronienia w poszukiwaniu nowych źródeł surowców (ropa!), zaczynają uświadamiać sobie, że być może naszym nemezis wcale nie jest Natura, lecz natura ludzka.

BG: Bardzo Ci dziękuję, Wojtku, za rozmowę.

Bruno Grigori

Bruno Grigori to pisarz, autor „Złego człowieka”, urodzony w 1972 roku w Krakowie. Absolwent Nowodworka i Uniwersytetu Jagiellońskiego. Były redaktor naczelny Gier-Online. Pisarz, wykładowca, programista i projektant gier, związany z rodzimą branżą grową od 25 lat. Od 9 lat designer 11 bit studios.

Wcale nie taka ballada

Jakub Węgrzynowski

Zbiór opowiadań bywa jak wieczór zapoznawczy lub poligon pisarski. Nie odsłania pełnych możliwości piszącego, ale wystarczająco dobrze daje przedsmak jego twórczości.

Powyższa metafora pasuje jak ulał do *Ballady o pewnej paniencie* Szczepana Twardocha. W krótkich utworach zawiera się przekrój tematów oraz stylów chętnie branych na warsztat przez autora. Czytelnik ponadto otrzymuje wprawki do znanych powieści pisarza. Na przykład tytułowa *Ballada...* znajdzie rozwinięcie w książce *Król*, a tych związków można znaleźć znacznie więcej.

Czytanie nie boli, chociaż czasem...

Kiedy czytanie boli? Podobnie jak rozmowa na trudne tematy, tak lektura potrafi wprawić w dyskomfort. Twardoch nie ma żadnego problemu, aby w swoich utworach przywołać obrazy, które powinny odrzucać. Bohater opowiadania *Gerd* jest zlepką piekła i sady, a jego dusza jawi się w barwie węgla. Jest przy okazji smokiem, bestią zrodzoną w śnieniu na wysłużonej kanapie skromnego mieszkanka. Gerd to również rozsypujący się starzec, który myli karabin z kulą ortopedyczną. Trudno go polubić, ale nie sposób ignorować jego losu. W opowiadaniu *Masara* bohaterka pada ofiarą szkolnych prześladowań, które zostają opisane w taki sposób, że ucierpieć może postronny czytelnik. W opowiadaniu *Uderz mnie* bohater ma rozdwojenie jaźni, mówi o sobie jakoby w dwóch osobach. Alter ego jest fasadą zasłaniającą ruinę osoby złamanej przez perwersyjny związek. Niemniej to tylko tło. Będąc poniekąd ofiarą, w miarę biegu wydarzeń bohater sam staje się katem.

Opowiadanie jednak nie musi być wstrząsające, aby jego lektura bolała. Bohaterowie opowiadań *Ballada o Jakubie Bieli*, *Ewa i duchy* oraz *Moje życie z Kim* to ludzie złamani przez los. Utwory te przedstawiają obraz codzienności zwyczajnych osób, w których przewijają się problemy zdrady, niespełnionego życia, skostniałych układów w rodzinie. Ogólnie nic wesołego, chociaż historie bywają napisane kpiąco, ironicznie. Czy zatem jest coś złejszego w zbiorze?



Studio Dee - pixabay.com

Owszem, jeśli przyjmiemy założenie, że surrealna opowieść zakończona makabrą jest z jakiegoś powodu lekka. *W piwnicy* autor przedstawia miniaturową historię chłopca, który odnalazł ukryty pokój, nie gdzie indziej a w piwnicy, co sprowadziło nań nieszczęście. *Dwie przemiany Włodzimierza Kurczyka* to z kolei opis traumatycznego życiorysu otyłego maminsynka i zarazem horror w iście zwyrodniałym wydaniu.

Istnieje mimo wszystko możliwość pisania o losach tragicznych i nieszczęśliwych mniej boleśnie. Utwór *Ballada o pewnej panience* przenosi czytelników do międzywojnia. Jest nastrojowo i ciekawie, grupa gangsterów prowadzi przystojne życie w luksusach warszawskiej socjety. Wszystko zmieni pojawienie się pewnej panienki. *Tak jest dobrze* natomiast przedstawia obraz samotnika oraz milczącej tundry. Znowu pojawia się motyw kryzysu międzyludzkiego, ale tym razem zostaje wyrażony subtelniej, uczuciowo.

Dlaczego czytanie boli

Dobór tematów jest pewną informacją, podobnie jak dobór środków ekspresji. Zarówno jedno, jak i drugie wyraża styl autora. Książka *Ballada o pewnej panience* jest silnie nacechowana radykalizmem, charakterystycznym dla Szczepana



Sammy Sander - pixabay.com

Twardocha. Bezkompromisowość i stanowczość widać w podejmowanych motywach a także sposobie wyrażania myśli. Jest brutalnie, wulgarnie i obrzydliwie. Ogólnie przyjąć należy, że opowiadania poza surreálnymi wyjątkami portretują społeczeństwo lub przynajmniej reprezentatywne jednostki. W zamyśle musiała to być więc proza realistyczna. Do pewnego stopnia również poetycka, ponieważ nie tyle przedstawia poukładaną fabułę, ile obrazuje psychologię bohaterów, czyli trudno uchwytną sferę uczuć, przeżyć.

Jeśli autor miał na celu rzucać kamieniami w czytelnika, to zdecydowanie osiągnął zamierzenie. Opowiadania Twardochasą jak oskarżenia lub wizualizacja gorzkiej prawdy o rzeczywistości. Przewijają się w tej prozie współczesne problemy zatracenia w kapitalizmie i ogólnego zepsucia społecznego.

Widzę w utworach pewną tendencyjność i manieryzm. Nie odmawiam autorowi literackiej zręczności, ani psychologicznych ujęć, które do pewnego stopnia zasługują na uwagę. Jednak nie apróbuję radykalnego krytycyzmu oraz przede wszystkim nadmiernej wulgarności.

W krytyce społecznej pobrzmiwają głośne echa kontrkultury, w której widocznymi problemami są powtarzalność i uproszczenia. To tak jak z próbą uchwycenia pełnego portretu przez perspektywę profilu. Opowiadania

więc mogą być sugestywne i frapujące, ale czy wyrażają całościowy obraz człowieka? Moim zdaniem nie i dlatego zarzucam utworom pewną tendencję w przedstawieniu osób, społeczeństwa. Najbliżej jej do cynizmu, chociaż nie odmawiam tego, że w wielu miejscach autor wykazuje empatię wobec ludzkich problemów.

Czy jeśli prozę życia ujmujemy językiem literackim, to przekłamujemy rzeczywistość, która bywa wulgarna i brzydka? Oczywiście to jest pytanie z tych niemożliwych do rozstrzygnięcia. Mówiąc za siebie, nie jestem przekonany do brutalizacji rzeczywistości w książkach. Jak bowiem ją uzasadnić? Czy mówimy wtedy prawdę? Przypominamy ludziom, jak wygląda prawdziwe życie? Nie przekonałyby mnie takie tłumaczenia, aczkolwiek nie dlatego, że nie uznawałbym takich racji, lecz one wyglądają na moralizujący bunt znamieny dla wczesnego pisarstwa, które każdy autor przechodzi. Brak więc w takim ujmowaniu rzeczywistości nowatorstwa. Co więcej, idąc taką ścieżką, można zejść w rejony publicystyki – pisanie dla tezy. Zbiór jednak zawiera utwory głębiej zachodzące w ocean ludzkich przeżyć, społecznej dychotomii i tym się broni.

Opowiadania Szczepana Twardocha są charakterystyczne. Jednym przypadną do gustu mocne wrażenia i odważny styl autora, drugim uprzykrzy się brutalność prozy oraz zniesmaczy dobór środków wyrazu. Jeżeli sięgnę w przyszłości do twórczości pisarza, to będę szukał prac podobnych do tytułowego opowiadania *Ballada o pewnej panience* lub *Tak jest dobrze*, ponieważ te dwa utwory trafiły do mnie łagodnością wyrazu. Zawierały umiarkowaną, zrównoważoną stylistykę. Za bardzo ciekawe uważam *Dwie przemiany Włodzimierza Kurczyka* oraz *Gerd*, które przez surrealizm wpadają w fantastykę (horror), aczkolwiek są naprawdę brudne.

Jakub Węgrzynowski

Szczepan Twardoch, *Ballada o pewnej panience*, Wydawnictwo Literackie 2017

Lisiomornik - Arena Truskawek

Lisioł

Lisioł wylegiwał się wygodnie na swojej sofie, w pięknej białej rzymskiej szacie, z lewitującymi truskawkami dookoła oraz złotymi sandałami na tylnych łapkach. Co jakiś czas ruszył ogonkiem i bum – życie na Ziemi powstawało na nowo. Nie dajcie się zwieść! Bycie Stwórcą, Alfą i Romeą, bywa trudnym i męczącym zadaniem *lisie ziewanie*. Wszystko układało się pięknie, aż do wnętrza lisiego Edenu wdarł się sześcioskrzydły grill samobieżny, serafin Szemijazasz – dla przyjaciół Szaszłyk – tak właśnie zaczęła się przygoda Lisioła w książce Michała Gołkowskiego *Komornik. Arena dłużników*.

Wpadł więc do Lisioła Szaszłyk i przypalił sufit swoimi żądaniami – albo tak go gazy męczyły – ciężko orzec. Serafin zażądał natychmiastowej abdykacji futrzaka oraz oddania wszystkich mocy Wszechmogącego. Razem z życiem. Futrzak jednak nie w ciemię bity i dał dyla na Ziemię, bo kto to widział, żeby się z grillem kłócić?

W dodatku Lisioł zabrał ze sobą klucz do niebiańskiej siedziby, żeby Szaszłyk mógł co najwyżej w klamkę pocałować siedzibę Stwórcy – co niekoniecznie mu się spodobało, ale o tym będzie jeszcze za chwilę. Grunt, że bez tego irytujący serafin nie może objąć władania nad rzeczywistością. Tak więc futrzak ukrył klucz w miejscu, którego nikt nie powinien oglądać, po czym wyruszył na Ziemię. Celował oczywiście na oko, więc lądowanie przypominało pobudkę z kacem po istic sarmackiej imprezie, a to dopiero początek problemów!

Lisioł miał naprawdę boski plan powstrzymania apokalipsy, ale jak to z planami często bywa, niewiele z nich zostało po zderzeniu z rzeczywistością. W tym wypadku wszystko się rozsypało z powodu jednego goryla o imieniu Harambe. Kto by pomyślał, że to jest właśnie iskra, która padnie na apokaliptyczną beczkę prochu? Żeby było trudniej, Lisioł stracił swój boski status, na powrót stając się tylko śmiertelnym futrzakiem. Jednak prawdziwym powodem do niepokoju był Szaszłyk, który wyruszył śladem (cokolwiek wątpliwego) bohatera do domu wariatów, celem odzyskania klucza do siedziby Stwórcy. Na szczęście Adolf Hi... austriacki akwarelista przyszedł futrzakowi z pomocą, ale to dopiero

początek zabawy. Tak rozpoczyna się wielki wyścig z Szaszą o życie, boski pałac stworzenia i złote sandały, a przy tym wokół szaleje apokalipsa. Normalna.

Na dodatek nie wszyscy w tę apokalipsę nawet wierzą! *Lisioł stoi na środku płonącego miasta. Z nieba leje się deszcz krwi, a ludzie próbują to wszystko sobie racjonalnie wytłumaczyć*. A mówią, że to Lisioł jest szalony. W tym absurdalnym świecie odniesień do kultury i popkultury można tylko zacytować Dijkstrę z Wiedźmina 3: „całe życie pracuje z idiotami. Mam wprawę”. Teraz to doświadczenie się bardzo przyda, bo „main quest” świeci się już na czerwono, czas ucieka, a Lisioł nadal w punkcie startu.

Na to jest tylko jedna rada! Przed wyruszeniem w drogę należy zebrać drużynę – najlepiej takich samych popaprańców jak sam Lisioł – poprosić świętego o pomoc i wyruszyć na podbój Wiecznego Miasta, bo, jak wiadomo, wszystkie drogi prowadzą do Rzymu. Tak dobrze słyszeliście, do tego Rzymu!

Dlaczego właśnie tam? Autor, co się chwali, postanowił rękami archaniola Michała wskrzesić potęgę starożytnego Rzymu, żeby ludzie się nie nudzili nadto podczas apokalipsy. Co bardziej domyślni czytelnicy zauważą, że teraz okładka książki ma sens ze swoją stylizacją miecza i sandałów – a raczej miecza, broni palnej i sandałów. Lisioł tylko skromnie przypomina, że chwała i potęga Rzymu to nie tylko drogi, akwedukty i łaźnie, ale również krew, pot oraz podboje, z którymi nieodłącznie związane są łuki triumfalne. Każda z takich bram dobitnie przypomina, że Rzym to nie jest dobre miejsce dla Lisiołów, ani w ogóle dla nikogo, kto pragnie unikać kontroli celnych. Niestety, futrzak swojej intuicji nie posłuchał i tak Wieczne Miasto schwytało go w swoje szpony, wciągając Lisioła w jeszcze większy problem niż mokry Szaszą.

Morał z tego płynie jasny jak słońce podczas apokalipsy. Po pierwsze, kobiecej intuicji należy słuchać – wydaje się to niemożliwe, a jednak! Po drugie, nigdy nie należy ufać świętym, zwłaszcza tym, co częstują darmowym alkoholem. Po trzecie, wszystkie drogi prowadzą do Rzymu, dlatego najlepiej iść na przelaj. Po czwarte, mądrość przychodzi po szkodzie, dlatego słuchajcie złotych rad Lisioła, a teraz nieco na poważnie.

Skąd tak wesoła recenzja, w której wystarczy podmienić Lisioła na Zeka, żeby otrzymać rzetelny portret głównego bohatera? Otóż śmiało można powiedzieć, że cała książka to komedia pomyłek i niekończący się humor. Nie jeden raz pukniecie się w czoło albo zaczniecie się śmiać jak głupi do sera. Do tego cała książka przesycona jest nawiązaniami do symboli znanych z popkultury oraz Biblii. W końcu co to byłoby za apokalipsa bez chrześcijańskiej otoczki? Warto jednak podkreślić, że religia jest tutaj przedstawiona na wesoło. Alkohol leży koło świętego – albo bardziej wewnątrz zanego świętego – natomiast wszystko wokół przedstawione jest w krzywym zwierciadle. Brzmi fajnie, ale 463 strony komedii może zmęczyć. Zwłaszcza, kiedy wasze oczekiwania

wobec tej lektury są zupełnie inne – okładka raczej nie nasuwa na myśl czegoś takiego, prawda? Warto więc podejść do tej lektury z głową i nie czytać całej książki w ciągu niczym ćpun truskawkowy, tylko robić sobie przerwy – chyba że poczucie humoru nam pasuje w stu procentach. Dzięki temu *Komornik. Arena dłużników* wciąż będzie nas cieszyć, wywołując kolejne uśmiechy na twarzy.

Druga kwestia to subiektywne podejście do humoru oraz żartów. Nie każdemu przypadnie do gustu poziom absurdu *Areny dłużników*. Taka natura rzeczy. O poważnej fabule, czy refleksji możemy z miejsca zapomnieć, ale też nie jest to pozycja, która koncentruje się na odmalowaniu dramatycznych wydarzeń i ewolucji charakteru postaci – no, dobra, robi to, ale paluchami unurzany w farbie plakatowej. Jeżeli wyjmemy z tego książkowego równania humor, zostaniemy z gołą fabułą, a raczej jej brakiem. Główne zadanie jest, ale jest ono pretekstowo zarysowanie. To właściwie sznur, który ciągnie Zeka przez kolejne nieszczęścia z gracją i dynamiką slapstickowej kreskówki. Bohater niby sporo może, ale tylko wtedy, gdy pasuje to do sytuacji. Walczyć umie, muskuły ma, zasiadał na tronie Stwórcy, ale to nie przeszkadza mu pakować się z jednych kłopotów w drugie. Można w skrócie powiedzieć, że Zek ma zły dzień, bardzo długi i zły dzień.

O samej logice i racjonalności też możecie z miejsca zapomnieć. Dlatego najlepiej od razu zamknąć pytanie „dlaczego?” w szafie, żeby nie przeszkadzało podczas czytania. Z drugiej strony właśnie na tym radosnym absurdzie oparta jest cała książka. Może więc warto dać się ponieść szalonej apokalipsie i na chwilę wdepnąć w naprawdę niezłe bagno przygód, w cieniu Wiecznego Miasta?

Prawdziwy Animaturg

Joanna W. Gajzler

*Przez naukę ku wiedzy,
przez wiedzę ku odkryciom,
przez odkrycia ku postępowi,
przez postęp ku potędze.
kredo Zakonu Animaturgów*

Przeszłość

Nie tego, odpowiedział w myślach Niszem na zadane przez siebie pytanie „Czego się spodziewałeś, kiedy postanowiłeś wyruszyć do Naranot, by stawić się na wezwanie tego, który nazywa siebie Bogiem Maszyną?”. Patrzył na górującego nad tłumem zebranych mechanicznego potwora i czuł w piersi rozdzierające, sprzeczne doznania. Zachwyt i lęk. Palącą ciekawość i chęć ucieczki. Wątpliwości i pełne przekonanie, że znalazł się tam, gdzie być powinien.

Przed drzwiami czuwała wysoka, smukła, humanoidalna istota ze stali, którą nazywano Konstruktem, podobnie jak inne maszyny wszelkich kształtów zasilane Wolą. Jej świecące błękitem oczy były wpatrzone w przestrzeń, jednak nie spoglądały na żadnego ze zgromadzonych tu ludzi ani nawet w ich kierunku, jakby nie byli godni uwagi automatona. Niszem nie mógł oderwać od niej wzroku; z pewnej odległości podziwiał niezwykle, zwierzęcy kształt jej potężnych nóg, długie palce, żebra z widocznymi zawiasami, wyrzeźbione w metalu ornamenty. Miał ochotę podejść i sprowokować to monstrum tylko po to, by móc zobaczyć je w ruchu.

Konstrukt jednak był całkowicie niewzruszony, jak skała.

Szepty ucichły, gdy za mleczną szybą przeszkłonych drzwi pojawił się zarys czyjejś sylwetki. Ci, którzy siedzieli, wstali natychmiast. Po chwili u progu stanęła młoda kobieta z akademickim tatuażem na wygolonej, lewej połowie głowy. Teremi Nawara, Inżynier Woli, prawa ręka Boga Maszyny. W dłoniach trzymała kajet i wieczne pióro, zaś uczezione solidnego gorsetu dodatkowe, mechaniczne

ręce miała splecione na podołku. Odblaski kryształowych kinkietów na stalowej powierzchni natychmiast przyciągnęły wzrok Niszema jakby był sroką, którą zachwycił ładny kamyk na polu.

– No dobrze – powiedziała dziewczyna wpatrzona w kajet. Dłonie lekko jej drżały. – Wszystko gotowe. Jednocześnie mogą odbywać się cztery zabiegi, pozostali będą musieli poczekać na swoją kolej. Zatem... zapraszam pierwszych czterech, hm, ochotników.

Podniosła wzrok i rozejrzała się niepewnie po grupie ludzi. Wszyscy zaczęli spoglądać po sobie nerwowo, a ktoś z tyłu wyraził zdziwienie, że to ma nastąpić tak szybko.

Niszem wystąpił śmiało naprzód; liczne złote naszyjniki na jego piersi zadzwoniły cicho. Ruchem głowy odgarnął z twarzy włosy – końską grzywę rosnącą mu wąskim pasem pośrodku głowy i karku.

– Jestem gotowy.

Teremi kiwnęła głową z wyrazem ulgi na twarzy. Po chwili zbliżyło się jeszcze troje ochotników: dwóch mężczyzn i kobieta. Zostali zaproszeni do środka. Mijając czuwający obok konstrukt, Niszem czuł, jak przyspiesza mu serce. Miał wrażenie, że maszyna zerknęła na niego z ukosa.

Szyba w zamykanych za nimi drzwiach zadzwoniła cicho.

W obszernym, dobrze oświetlonym pomieszczeniu ustawiono cztery stoły, na których rozciągnięto śnieżnobiałe prześcieradła. Pochylone nad nimi weksalitowe lampy rzucały światło na mniejsze, metalowe stoliki i rozłożone na nich w pedantycznym porządku narzędzia chirurgiczne. Lekarze i ich asystenci patrzyli na przybyłych z mieszaniną niedowierzania i ponurej determinacji, jakby sami nie wierzyli w to, co zaraz mieli zrobić.

Gdy wzrok Niszema padł na pilę – niezwykle piękną jak na tak straszliwe narzędzie, o zdobionej rękojeści i ramie – nagle żołądek podszedł mu do gardła. Przecież to szaleństwo! Zamierzał właśnie poddać się zabiegowi, który uczyni z niego kalekę – podczłowieka, niewolnika, czyjąś własność, pozbawiony praw i godności byt zdany na łaskę innych. Wielu wołało umrzeć i oddać się w niewolę niż cierpieć z powodu kalectwa, a on zgadzał się na to dobrowolnie?

Nie, to było co innego. Obiecano im zachowanie wolności i autonomii, obiecano przywrócić im sprawność. Bóg Maszyna... Wspomnienie jego oblicza sprawiło, że zimny dreszcz spłynął Niszemowi po plecach. Poświęcenie swego człowieczeństwa było ceną za poznanie tajemnic znanych tylko jemu, mechanicznemu bogu. Czy były one jednak tyle warte...?

Teremi zaczęła instruować ochotników, wskazując na nich i na stoły zarówno własnymi dłońmi, jak i tymi ze stali. Poruszała mechanicznymi rękami, jakby miała je od zawsze, jakby nie widziała różnicy w tym, czy jej kończyny oblekają mięśnie i skóra, czy są zimnym metalowym szkieletem. Zachwyt eksplodował

Niszemowi w piersi. Wszelkie wątpliwości rozwiały się bezpowrotnie.

Posłusznie rozebrał się od pasa w górę. Zaczął zdejmować pierścionie i bransolety z prawej ręki, lecz zatrzymał się nagle, zapatrzony na jedną z ozdób. Obrócił w palcach złotą obrączkę, wewnątrz której wygrawerowano napis: „Pasja miłością jest i nienawiścią”. Był to wers z jego ulubionego wiersza, który osobiście uwiecznił na pierścieniu po tym, jak lata temu przeżył kryzys zwątpienia w swoje marzenia i zdolności. Prosta obrączka była prezentem od jego ówczesnego partnera, szczęśliwego, że Niszem zdołał wyjść z ciężkiego uzależnienia od smoczycy konopi.

Każdy element biżuterii, który zdobił mu ciało, opowiadał swoją historię. Były częścią jego samego. Pozbyć się ich było jak zedrzyć fragment skóry. Jeśli teraz je zdejmie... czy jeszcze kiedyś będzie mógł je nosić?

Naraz zaśmiał się w duchu. *Zaraz stracisz rękę, a ty się martwisz biżuterią*, pomyślał w pytającym tonie.

Stojący obok asystent odchrząknął. Niszem westchnął cicho i oddał w depozyt wszystkie ozdoby. Przyjrzał się swojej nagiej dłoni, obrócił ją, zacisnął i rozluźnił palce.

Nagle zyskał poczucie, że ta część ciała już nie należy do niego.

Usiadł na brzegu stołu i w czasie, gdy chirurg czynił ostatnie przygotowania, zapatrzył się na czekające z boku narzędzia. Lśniły jak najwyższej jakości srebrna zastawa czekająca na dotyk królewskich ust. Uśmiechnął się pod nosem na widok mosiężnego kanistra z długą, elastyczną tubą zakończoną niewielką maską. Inhalator eteru – do tej pory korzystał z podobnych wynalazków w bardziej... rekreacyjnych celach.

Serce mu przyspieszyło, gdy polecono mu się położyć. Przez cienkie prześcieradło czuł na plecach chłód metalowego stołu, lecz mimo tego cały zlał się potem. Lekarz wskazał na jego rękę.

– Prawa? Na pewno?

– Jestem leworęczny – odparł Niszem, starając się brzmieć pogodnie.

Pochylił się nad nim asystent; jego pokryte drobną łuską dłonie przypominały kurze łapy. Bez słowa przyłożył mu pokrytą aksamitem maseczkę do ust i nosa. Intensywny, słodki, nieco alkoholowy zapach wypełnił nozdrza Niszema. To nie był eter, co skonstatował z niejakim rozczarowaniem. Zaciągnął się głęboko oparami i długo trzymał je w płucach, jakby znów był goniącym za narkotycznymi doznaniem hulką.

– Co to jest? – spytał. Maskę przytłumiła jego głos.

Asystent spojrzał na niego z ukosa.

– Chloroform – odparł.

– Och. Ciekawe. Jak to działa? Będę przytomny?

– Nie. Za kilka minut powinien pan zasnąć. – Mężczyzna odwrócił wzrok,

wyraźnie dręczony jakąś myślą. Wreszcie spytał cicho: – Dlaczego się na to godzisz?

– Hm... Nie rozumiem.

– Pozwalasz się okaleczyć. Jeśli książę nie zostanie Arenaiem, jeśli nie zmieni prawa... zostaniesz niewolnikiem. Grozi ci śmierć. Dlaczego podejmować tak ogromne ryzyko?

Jego słowa krążyły w głowie Niszema jak kłęby dymu, coraz gęstsze z każdym wdechem, jaki brał. Nie potrafił znaleźć odpowiedzi; czuł się coraz bardziej senny. *Dlaczego to robisz? Dlaczego to robisz?* – pytały głosy w jego głowie; głosy ojca, braci, profesorów z uczelni. *Po co ci to? I tak do niczego się nie nadajesz. Marnujesz czas. Nic z ciebie nie będzie. Zajmij się wreszcie czymś pożytecznym. Jesteś hańbą dla naszego rodu.*

Jakby z oddali usłyszał chirurga pytającego: „Już?” i zobaczył, jak asystent kręci głową. Ich spojrzenia spotkały się. Mężczyzna odetchnął i sięgnął do prawej ręki Niszema. Dokładnie przetarł ją nasączonym alkoholem bawełnianym wacikiem; krople spirytusu spłynęły na prześcieradło. Kurze łapki zaczęły coś kreślić na skórze...

Dla siebie. Robię to dla siebie, pomyślał Niszem, nim osunął się w ciemność.

Teraźniejszość

– Dobra, dość.

Niszem spał się, usłyszawszy kolejny świst metalowego pręta w powietrzu. Dopiero po chwili do jego zamroczonego bólem umysłu dotarło, że cios nie opadł. Dłoń w skórzanej rękawicy szarpnęła go za włosy; syknął przez zęby. Owiał go nieświeży oddech kata, który warknął mu prosto do ucha:

– Masz ostatnią szansę, nim weźmie się za ciebie łamacz Woli. Zacznesz mówić?

Nie odpowiedział. Chciał splunąć oprawcy w twarz, lecz całkiem zaschło mu w ustach.

Jęknął z bólu, gdy mężczyzna powlókł go na bok, ciągnąc za grzywę. Odchyłono mu głowę do tyłu jak bydłu czekającemu na rzeźnicki nóż. Drugi bandzior nachylił się nad Niszemem, wyciągając ku niemu coś, co wyglądało jak kaganiec. Animaturg obnażył zęby, jakby był psem gotowym ugryźć każdego, kto podniesie na niego rękę, lecz nie zrobił na swoich oprawcach najmniejszego wrażenia. Żelazna maska z otworami na nos zasłoniła mu dolną połowę twarzy; pasy zaciśnięto boleśnie mocno. Na lewym nadgarstku zatrzęsły się kajdany.

– Taki to niby dobry bóg – zakpił jeden z mężczyzn, przekręcając klucz w zamku – a ze swoich wyznawców robi kaleki.

Drugą obręcz oków zamknął na jednej z wielu rur ciągnących się po ścianie

jak gałęzie bluszczu. Rzucił Niszemowi ostatnie, ni to pogardliwe, ni pełne politowania spojrzenie, po czym wraz z towarzyszem wspięli się po wąskich schodach. Szczęk zamka odbił się echem od ciemnych, wilgotnych ścian.

Mężczyzna ostrożnie rozprostował nogi, krzywiąc się z potwornego bólu. Niszemowi wydawało się, że nie złamali mu żadnej kości, lecz tak czy inaczej dołożyli wszelkich starań, by nie mógł stać, a co dopiero chodzić. Spojrzał na przykutą do rury rękę, potem na kikut prawej. Rozejrzał się po zagraconym pomieszczeniu, lecz nie znalazł wzrokiem swojej protezy w mdłym świetle pojedynczego kryształu przy schodach. Czy zabrali ją ze sobą? Nie chciał nią poruszać w obawie, że postanowią ją zniszczyć.

Przeklął samego siebie w myślach. Przecież wiedział, że w mieście roi się od wrogich Bogu Maszynie szpiegów. Dlaczego więc wyszedł po zmroku, dlaczego dał się tak łatwo złapać? Czy tęsknota za odrobiną wytchnienia naprawdę była warta ryzyka?

Zaczął rozważać swoją sytuację. Jeden z kolegów z zakonu wiedział, dokąd udał się Niszem, lecz czy zaniepokoi go, jeśli ten nie wróci w ciągu kilku godzin? Jeśli zwróci na to uwagę dopiero rano, czy wciąż będzie kogo ratować?

Nie, pomyślał ponuro, nie zabiją mnie. Nie od razu. Będą mnie torturować na wszelkie sposoby, dopóki nie zdradzę im wszystkiego, co wiem.

Dogłębny lęk ścisnął mu boleśnie wnętrzności. Musiał się stąd wydostać; musiał coś wymyślić. Poruszył nogami, lecz ból był tak straszliwy, że nie wyobrażał sobie, że mógłby wstać. Jęknął cicho, zaciskając zęby; wnętrze metalowej maski zaparowało i było nieprzyjemnie wilgotne. Zapach rdzy wypełniał mu nozdrza.

Ponownie spojrzał na kikut. Brak własnego kawałka ciała nie ciążył mu tak, jak brak mechanicznej protezy. Bez niej czuł się całkowicie bezradny.

Przeszłość

Praca i ból – oto, do czego sprowadzało się bycie członkiem zakonu Boga Maszyny.

Niekończące się ściany tekstu, szaleńcze tempo notowania, trud posługiwania się jedną ręką. Niszem wciąż bezwiednie wyciągał kikut, by po coś sięgnąć i za każdym razem przygryzał w złości wargę, gdy uświadamiał sobie, że – na własne życzenie – został kaleką. To było ceną za dostęp do sekretnej wiedzy, jaką posiadał Bóg Maszyna; ceną za poznanie tajników sztuki, którą nazwał animaturgią.

Rany po amputacji wciąż były zbyt świeże, by przymocować do nich protezy. Czas gojenia zatem wykorzystywano na to, by nauczyć członków zakonu korzystania z nich.

– Nie martwcie się, jeśli wam się to nie uda – uspokajała ich Inżynier Woli,

unosząc uspokajająco obie pary dłoni. – Dopóki nie opanujecie sztuki zasilania maszyn Wolą, Bóg Maszyna ożywi wasze protezy.

Te zapewnienia nie uspokajały jednak Niszema. Musiał się tego nauczyć, chciał samemu to potrafić. Pragnął tego coraz bardziej z każdym konstruktem, którego budowę obserwował w fabryce, z każdym ruchem mechanicznych ramion Teremi Nawary, z każdym rzadkim momentem, gdy Bóg Maszyna objawiał im się osobiście i Niszem padał przed nim na twarz, z całej siły pragnąc zbliżyć się do niego i dotknąć srebrnego ciała. Myśl o poruszaniu maszynami siłą umysłu stała się jego obsesją.

Im dłużej jednak jego próby nie przynosiły efektów, tym większe dopadały go wątpliwości.

Wpatrywał się intensywnie w trzymany na lewej dłoni przedmiot – mosiężny zawias. Najprostszy istniejący mechanizm świata. Próbował zmusić go do poruszenia się, lecz metal był głuchy na jego rozkazy.

– Co ty tu jeszcze robisz?

Podskoczył zaskoczony i obrócił się na krześle. W progu pomieszczenia stała Teremi, przyglądając mu się z uniesioną brwią. Prawdziwe ręce skrzyżowała na piersi, stalowe trzymały notes i pióro.

Niszem odłożył zawias i przecesał palcami swe grube włosy.

– Chciałem jeszcze trochę poćwiczyć, pani Inżynier – odparł, skłaniając się lekko.

– Niczego nie osiągniesz, jeśli będziesz wyczerpany.

– Nie zdołam odpocząć, póki nie będę przekonany, że dałem z siebie wszystko.

– Uśmiechnął się przeproszająco, jakby miał za co.

– Hm, cóż... to postawa, którą Bóg Maszyna z pewnością doceni – mruknęła; Niszem wypiął dumnie pierś. – Niemniej więcej zdziałasz w pełni sił umysłu i on powiedziałby ci to samo.

Zadziwiło go to, w jaki sposób ta dziewczyna mówiła o Bogu Maszynie – jakby była jego przyjaciółką albo studentką; kimś dużo bliższym od akolitki służącej stąpającemu wśród żywych bóstwu. Choć wiedział, że Stalowy Książę sam był kiedyś człowiekiem, ten rodzaj relacji wydawał mu się nierealny, niezwykły.

Zazdrościł jej tego.

– Nie siedź tu zbyt długo – powiedziała, odwracając się.

– Pani Inżynier – zagadnął. Odwróciła się, zwracając na niego spojrzenie lśniących, seledynowych oczu. – Czy mógłbym dostać moją protezę?

Łypnęła powątpiewająco na spoczywający w jego dłoni mosiężny zawias.

– Nie będziesz w stanie jej używać – zauważyła.

– Wiem – przyznał z bólem – ale chciałbym... oswoić się z nią.

Przez chwilę coś rozważała, potem wzruszyła ramionami. Machnęła ponaglająco mechaniczną ręką.

– Chodź.

Ruszył za nią podekscytowany mimo zmęczenia. Przeszli przez halę produkcyjną, obecnie cichą i uśpioną. W świetle kilku kryształów pozostawionych na noc rysowały się sylwetki niekompletnych konstruktów, stojących lub powieszonych na ciężkich łańcuchach. Ich prawie ludzkie kształty w półmroku warsztatu wydawały się upiorne i złowrogie.

Dla Niszema jednak były uosobieniem piękna.

– Światło – rzuciła w przestrzeń Teremi, gdy weszli do jej gabinetu.

Kinkiety rozchyliły metalowe osłony niczym płatki kwiatów, uwalniając blask kryształów weksalitu. Panujący tu artystyczny chaos sprawiał niezwykle, tajemnicze wrażenie. Ściany pomiędzy wijącymi się na nich rurami wytapetowane były szkicami i planami, które przedstawiały przeróżne urządzenia w wielu rzutach i były opatrzone drobiazgowymi objaśnieniami. Niemal każdą płaską powierzchnię wypełniały książki, notatniki i arkusze pełne skomplikowanych instrukcji – z wyjątkiem długiego, metalowego stołu. Ten zajmowały wszelkiej maści narzędzia, mniejsze i większe części maszyn niewiadomego pochodzenia, oraz ukryty pod płachtą materiału przedmiot o trudnym do określenia kształcie.

Teremi poszła za biurko, schyliła się i wyjęła coś ze skrzyni. Podeszła do Niszema zaabsorbowanego studiowaniem schematów budowy różnych konstruktów. Otrząsnął się z zamyślenia.

– Proszę – powiedziała dziewczyna, wyciągając ku niemu... jego protezę.

Zapatrzył się na nią, oniemiały. Widział ją już wcześniej, osobiście dokończył jej składanie, jak wszyscy Animaturdzy, lecz potem została oddana do depozytu na czas gojenia ran po amputacji. Wciąż zachwycalo go jej piękno: lśniąca srebrna powierzchnia, smukłe kształty poszczególnych części, liczne elementy pozwalające na pełen zakres ruchów... Sięgnął do niej, lecz jego dłoń zawisła cał nad protezą, gdy zawahał się nagle.

– Czy... – zaczął niepewnie. – Czy ona jest już... zasilana?

– Książę jeszcze nie obdarował ich Wolą.

– Och. Rozumiem – powiedział, niepewny czy jest bardziej tym faktem zawiedziony, czy też ulżyło mu, bo obawiał się obcowania z boską Wolą. Ostrożnie ujął protezę i przycisnął ją do piersi; złote naszyjniki zadzwoniły cicho o jej powierzchnię. – Dziękuję, Inżynier Woli.

Teraźniejszość

Nie zdążył poczynić żadnych planów, bo gdzieś nad jego głową rozległ się szcęk zamka, a po chwili odgłos niespiesznych kroków na żeliwnych schodach. Spiał się, obserwując idących na dół ludzi. Pierwszy w krąg mdłego światła wstąpił oprawca, który wcześniej obił mu nogi. Zza niego wyłoniła się wysoka,

ponura postać.

W pierwszej chwili Niszem wziął ją za mężczyznę, lecz po chwili zdał sobie sprawę, że to jednak kobieta – choć rysy twarzy miała tak niejednoznaczne, że wciąż nie był pewny. Spoglądała na niego podkrążonymi oczami, beznamiętnie jak rekin. Zbliżyła się i kucnęła przed Niszemem.

Milczała, patrząc mu w oczy. Nad brwiami miała po kilka krótkich, zakrzywionych do góry kolców. Czekał w napięciu, aż coś powie, lecz im dłuższa była cisza, tym bardziej się denerwował. Zdał sobie sprawę, że drżą mu nogi. Maską zaczęła go dusić, coraz trudniej było mu oddychać. Odwrócił wzrok, nie mogąc znieść wpatrzonych w niego martwych ślepi.

Kobieta uśmiechnęła się kąciakiem ust.

– Jeśli odpowiesz na nasze pytania, nie stanie ci się żadna krzywda – powiedziała.

Animaturg zmarszczył brwi. Miał się na baczności; wiedział, że będą próbowali zmusić go do zeznań. Wolą. Musiał milczeć... choć wiedział, co to dla niego oznacza.

Łamaczka Woli pstryknęła palcami i jej towarzysz ściągnął Niszemowi kaganiec. Ten wziął głęboki oddech.

– Spójrz, dokąd cię zaprowadziła wiara w tego samozwańczego boga – mówiła łagodnie kobieta. – Straciłeś rękę. Jesteś kaleką. Jesteś nikim w oczach wszystkich. Własnością każdego, kto jest ponad tobą. Wykorzystano cię i to... w imię czego, tak naprawdę?

Niszem starał się jej nie słuchać, choć słowa kłuły go jak uządlenia pszczoł.

– Pomyśl, co się z tobą stanie, kiedy prawowity władca zasiądzie na tronie – ciągnęła. – Czeka cię niewola lub śmierć. Ale możesz tego uniknąć. Król okaże ci łaskę i bezpieczeństwo. Wystarczy, że odpowiesz na kilka pytań.

Podniósł wzrok na kobietę.

– Prawowitym królem... jest Bóg Maszyna.

Przyjrzała mu się osobiście, przekrzywiając głowę w bok.

– Masz takie piękne, zdrowe zęby. To wartościowa cecha dla niewolnika. Ktoś inny chętnie by z nich skorzystał.

Zacisnął usta, zdjęty strachem. Łamaczka Woli wstała i sięgnęła do zawieszanej u pasa kaletki. Zbir chwycił oszołomionego Animaturga, siłą rozwarł mu szczęki i wcisnął w usta drewnianą pałkę niczym wędzidło.

W dłoni kobiety błysnęły obcegi.

– Ie! – krzyknął niewyraźnie Niszem, próbując się uwolnić z uścisku. – Ie, ie, ie...!

Zamarł w bezruchu, gdy narzędzie zacisnęło się na jednym z jego złotych kłów. Strużka potu spłynęła mu po skroni. Spojrzenie kobiety pozostawało puste i beznamiętne.

– Pierwsze pytanie – rzekła cicho. – Co planuje Bóg Maszyna?

Milczał, oddychając chrapliwie. *Powiedz jej* – szeptała podświadomość, lecz wiedział, że nawet jeśli zdradzi wszystkie sekrety, nie miał najmniejszej gwarancji, że wyjdzie z tego cało; a już z pewnością nie wierzył w zapewnienia bezpieczeństwa ze strony nowego króla. Poświęcił Bogu Maszynie swoją rękę... Mógł więc poświęcić i całe ciało.

Łamaczka Woli zacmokała, kręcąc głową. Zaciśnęła potężnie obcęgi na złotym kle, miażdżąc miękki metal, i szarpnęła.

Wyrwany implant rozerwał dziąsło. Krew zalała usta wrzeszczącemu z bólu mężczyźnie.

Przeszłość

– Za pomocą animaturgii można ożywiać maszyny na dwa sposoby: zdalnie lub automatycznie. Każdym konstrukt, który działa według sieci rozkazów, można w dowolnej chwili poruszyć zdalnie, lecz konstrukt, któremu nie zaszczepiono żadnych rozkazów, nie będzie działał z automatu. Dlatego tak ważne jest zrozumienie sposobu układania skryptów oraz zapamiętywanie ich...

Animaturdzy pilnie słuchali Teremi Nawary, prowadząc notatki. Niszem dzielił uwagę między jej wykład a studiowanie skryptu, który miał przed sobą. Tak nazywano spisane serie rozkazów, które wydawano konstruktom przy zaszczepianiu im swojej Woli. Dla kogoś postronnego wyglądało to jak chaotyczny zbiór haseł, łączących się, przeplatających i niezrozumiałych. Uczniowie Boga Maszyny rozumieli już, na czym polega programowanie konstruktów – nie zmieniało to jednak faktu, jak trudne było zapamiętanie całego skryptu tak, by poprawnie ożywić maszynę.

– Na początek – ciągnęła Nawara – musicie mistrzowsko opanować zdolność zdalnego poruszania konstruktami oraz wydawania im bezpośrednich rozkazów. Dlatego przygotowałam dla was małe ćwiczenie.

Ściągnęła płachtę z dużego stołu i gestem zachęciła zakonników do zbliżenia się. Niemal cały blat zajmował zbudowany z drewna labirynt o wysokich ściankach. W jego wnętrzu chodziły mechaniczne pająki wielkości zegarka kieszonkowego. Niszem pochylił się nisko, by przyjrzeć się ich budowie.

– Waszym zadaniem będzie bezpiecznie przeprowadzić do wyjścia tę mysz – powiedziała Teremi, podnosząc małą klatkę, w której wnętrzu kręciła się niespokojnie biała myszka. – W tym celu musicie za pomocą Woli otwierać i zamykać przejścia tak, by oddzielić ją od pajaków i zaprowadzić do celu.

– Ale pająki jej nie zabiją, prawda? – spytała jedna z kobiet, spoglądając na ostre, metalowe odnoża krążących po labiryncie konstruktów.

– Nie, nie – uspokoiła ją Inżynier Woli – ale dotknięcie oznacza brak zaliczenia.

Pająki są szybkie, więc i wy musicie działać szybko.

Niszem w skupieniu studiował rozkład ścian labiryntu i położenie ruchomych, stalowych drzwiczek.

– A czy nie możemy ułożyć skryptu, który zaprogramowałby cały labirynt tak, by przejścia zamykały się przed pajakami? – spytał.

– Moglibyście, oczywiście, lecz nie na tym etapie nauki. Pamiętajcie, że Wolą można ożywić tylko metal. Jeśli dwa metalowe elementy nie są ze sobą połączone metalem, nie mogą stanowić jednego konstruktu. W tym przypadku idealnym rozwiązaniem byłoby ułożyć skrypt, spleść na jego podstawie arkan rozkazów, a następnie z jednego węzła odprowadzić wiele nici łączących wszystkie identyczne konstrukty. W przeciwnym wypadku musielibyście zużyć na każdy konstrukt tę samą liczbę logorów, a to jest zupełnie niewydajne i, cóż, niebezpieczne. Dlatego automatyzację zostawmy na później i skupmy się na błyskawicznych działaniach. Nałożenie logoru – wskazała palcem na jedno z przejść, które zamknęło się samoistnie – zabranie go z powrotem, nałożenie go gdzieś indziej – kolejne drzwi się poruszyły – i tak dalej, stale naprzód. Dalej, spróbujcie na sucho i kiedy będziecie gotowi, dajcie znać.

Animaturdzy zbliżyli się do stołu i z początku nieśmiało, z czasem jednak coraz odważniej zaczęli wpływać Wolą na elementy labiryntu, otwierając i zamykając drzwiczki. Niszem nie zwracał uwagi na ich wesołe rozmowy i skoncentrował się na jednej z bramek. Uniósł dłoń i wskazał na prosty mechanizm. Jeden logor – jedna jednostka Woli. Wyobraził sobie, że moc w postaci srebrnej mgiełki spływa z jego palców i ożywia metal.

Otwórz się, pomyślał.

Skrzydło drzwiczek poruszyło się gwałtownie, otwierając przejście w korytarzu. Niszem uśmiechnął się bezwiednie, a po plecach spłynął mu przyjemny dreszcz.

Gdy nadeszła jego kolej i stanął nad labiryntem, nagle zdał sobie sprawę, jak nieswojo się czuje. Wyciągnął lewą rękę jak czarodziej.

– Animaturgia nie wymaga gestów – zauważyła Teremi. Czy to tylko jego wyobrażenia, czy jej ton był nieco rozbawiony?

– Wiem – odparł, uśmiechając się przepraszająco – ale... to mi pomaga.

– Rozumiem. Zatem nie przeszkadzaj sobie.

Przytaknął i ponownie skupił się na labiryncie. Nawara wpuściła mysz do środka.

Zdezorientowane zwierzątko rozejrzało się, bezskutecznie spróbowało wspinaczki po lakierowanym drewnie, po czym ruszyło korytarzem. Niszem złał się potem, skupiony na obdarowywaniu Wolą kolejnych bramek i manipulowaniu nimi tak, by mysz zdążyła ku wyjściu i nie cofała się. Kilkakrotnie spanikował, gdy mechaniczne pająki – które zdawały się poruszać o wiele szybciej niż

chwilę temu – prawie wpadły na gryzonie i w ostatniej chwili zdołał je od niego oddzielić stalowymi drzwiczkami. Pozostali Animaturdzy śledzili jego zmagania, głośno komentując i dopingując myszkę nieświadomą dramatu rozgrywającego się w umyśle Niszema. Skoncentrowany jak nigdy w życiu, wysyłał i wycofywał wiązki Woli z kolejnych bramek, wydając im myślowe komendy. Choć było to tylko ćwiczenie, za wszelką cenę pragnął wykonać zadanie bezbłędnie.

Pokonawszy kilka ostatnich zakrętów, mysz dotarła do celu, gdzie czekał na nią stos ziarenek. Kilku Animaturgów zaklaskało, gdy zamknęły się za nią ostatnie drzwiczki.

– Brawo – pochwaliła Niszema Teremi, nie kryjąc zaskoczenia. – Przyznam, że jestem pod wrażeniem.

Uśmiechnął się.

Teraźniejszość

Krew zmieszana ze śliną płynęła z ust mężczyzny i skapywała mu z wolna na kolana. Kajdany wżynały się w nadgarstek. Drżał.

Łamaczka Woli zacmokała smutno.

– Czy naprawdę warto tak bronić sekretów potwora, który uczynił z ciebie swojego niewolnika? – Podniosła protezę na wysokość oczu i przyjrzała się jej mechanicznym elementom. – Czy te heretyckie praktyki są warte tego, by tracić swoje człowieczeństwo?

Nie odpowiedział.

Podskoczył, gdy kobieta rzuciła mu protezę pod nogi, tuż za jego zasięgiem. Metal zagrzechotał o żelazne płytki.

– Przemyśl to – powiedziała. – Masz na to całą noc.

Odwróciła się i niespiesznym krokiem ruszyła na górę. Jej towarzysz pozbierał z podłogi zęby i rzucił Niszemowi ostatnie pogardliwe spojrzenie, nim oboje zniknęli za drzwiami.

Niszem długo tkwił w bezruchu oparty czołem o rury. Chłód metalu działał kojąco, lecz nie dość, by mężczyzna był w stanie zapomnieć o potwornym bólu. Ostrożnie dotknął językiem rozszarpanych dziąseł z dziurami po dwóch złotych kłach i dwóch własnych, dolnych. Smak krwi przyprawiał go o mdłości.

Długo dochodził do siebie, mając wrażenie, że ból jest wszystkim, co mu pozostało. Potem myśl nagle pojawiła się w jego otępiałym umyśle: *Muszę się stąd wydostać*. Otrzeźwiał i rozejrzał się wokół. Nie był pewien, gdzie dokładnie się znajduje; gdy został porwany, zasłoniono mu oczy. Kiedy przyjrzał się otoczeniu pogrążonemu w półmroku, zdał sobie sprawę, że pomieszczenie jest o wiele większe, niż mu się z początku wydawało. Tam, gdzie został przykuty, był zaledwie swego rodzaju przedsiónek, a dalej, za ścianą z grubej siatki widniała

hala pełna sprzętów.

Fabryka?, pomyślał.

Odblask kryształu na powierzchni protezy przyciągnął jego wzrok. Nie wydając rozkazów, ani na głos, ani w umyśle, poruszył lekko jej dłoń. Choć nie była go uczepiona, wciąż znajdowała się w niej Wola Boga Maszyny z przykazaniem, by była posłuszna Woli Niszema.

Otarł podbródek ramieniem. Skłonił mechaniczną rękę, by przyczołgała się do niego, drepcząc palcami. Patrzenie na ożywający, poruszający się niby samoistnie konstrukt, wciąż wywoływało w głębi jego piersi całą gamę niezwykłych uczuć. Proteza wpęzła mu na kolano jak łasica. Spojrzał na kajdany zatrażnięte na lewym nadgarstku. Skupił się i sięgnął ku nim Wolą.

Otworzyły się z cichym kliknięciem; łańcuch zadzwonił o rurę. Niszem westchnął z ulgą i strząsnął kilkakrotnie dłoń, odzyskując w niej czucie. Założył protezę na kikut prawej ręki i przymocował ją paskami. Zaciśnął i otworzył palce, obracając ją w obie strony. Mechanizm był jak fragment jego własnego ciała; poczuł się znów kompletny. Ruch niewielkich, lśniących srebrem elementów wprawiał go w taki sam zachwyt co wtedy, gdy zobaczył to po raz pierwszy.

Pomasował niepewnie nogi. Wciąż bolały, choć nie tak mocno jak wcześniej. Chwycił się rur i spróbował wstać. Kończyny nie odmówiły posłuszeństwa, nie załamały się pod ciężarem ciała – był w stanie chodzić, nawet jeśli niezbyt szybko. Syknął cicho, czując każdy siniak. To nic. Musiał dać radę.

Podszedł do schodów, podtrzymując się ściany. Spojrzał niepewnie w górę. Nie słyszał żadnych odgłosów wskazujących na bliskość ludzi, ale nie wiedział, czy chciał ryzykować. Obejrzał się na pogrążoną w półmroku, oświetloną zaledwie kilkoma kryształowymi lampami halę.

Musiał tu być inne wyjście.

Przejście zabezpieczała kłódka. Wziął ją w dłoń i sięgnął do niej Wolą. Mechanizm kliknął. Powoli otworzył drzwi, mając wrażenie, że skrzypienie zawiasów jest ogłuszające. Stanął na wprost istnego labiryntu ogromnych maszyn, skrzyń i innych sprzętów, których nie był w stanie zidentyfikować w półmroku.

Serce podeszło mu do gardła, gdy usłyszał głosy i odgłos klucza wkładanego do zamka. Zamknął za sobą drzwi na kłódkę, zasiewając w niej rozkaz: *Nie otwieraj się dla nikogo*.

Na palcach potruczał dalej, między maszyny, krzywiąc się z bólu. Otaczały go żelazne, żeliwne i mosiężne potwory, zimne i uśpione w ciemności. Gigantyczne piece, silniki z ogromnymi kołami zamachowymi, zbiorniki ciśnieniowe, zasilane parą urządzenia produkcyjne niewiadomego przeznaczenia. Słyszał odgłosy zbliżających się ludzi za plecami, ale po chwili z trwogą zdał sobie sprawę, że również przed sobą, gdzieś w głębi tego molocha.

Był myślą w labiryncie pełnym pajaków.

Przykucnął za jednym z silników, czując, jak ogarnia go panika. Co robić? Co robić?!

Wtem rozległ się nieznajomy głos, cichy, lecz wyraźny. Szepnął:

Niszemie...

Mężczyzna drgnął i rozejrzał się, lecz nie dostrzegł nikogo. Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że nie usłyszał tego głosu – rozległ się on w jego głowie, lecz z pewnością nie był jego własną myślą.

Mechaniczna ręka samoistnie zacisnęła się w pięść, a zaraz potem znów rozluźniła. Zapatrzył się na nią, zdumiony. Wtedy zrozumiał.

Wola Boga Maszyny w jego protezie. To on do niego przemawiał.

Pochylił kornie głowę, nasłuchując odgłosów krzątających się wokół ludzi.

– Panie – wyszeptał cicho, niemal niesłyszalnie.

Głos znów odezwał się w jego głowie:

Pomoc nadciąga. Nie obawiaj się, jestem z tobą.

Animaturg przytaknął, wciąż zalękniony, ale i ogarnięty niezwykłym uczuciem. Pierwszy raz Bóg Maszyna przemówił do niego. Dotknął jego umysłu. Wolał tak, jak dotykał wszelkich maszyn, czyniąc z niego swoje narzędzie.

Słowa łamaczki Woli znów rozbrzmiały w jego głowie. Może naprawdę był tylko narzędziem w rękach tej potężnej istoty...?

Ale jeśli tak, dlaczego mu pomagała, zamiast zostawić na śmierć lub samej zakończyć jego żywot, by nie wydał jej sekretów?

– Hej, gdzie on jest?!

Niszem aż podskoczył. Głosy podenerwowanych ludzi, wołających do siebie, rozległy się wokół.

Uciekaj. Użyj swoich talentów. Uciekaj!

Mężczyzna poderwał się, zamarł na widok czyjejś sylwetki za siatką, zaraz jednak puścił się truchtem – tylko na tyle pozwalały mu obolałe nogi.

– Tam! Łapcie go!

Czmychnął między wysokie wieże stalowych skrzyń. Słyszał zbliżający się odgłos kroków, zagłuszany przez krew tętniącą mu w głowie. Był myślą, musiał bronić się przed pajakami... ale jak? Jak?!

Biegąc w półmroku, uderzył o coś boleśnie stopą. Ciężki wózek magazynowy przesunął się odrobinę, skrzypiąc nienaoliwionymi kółkami.

– Ty! Stój!

Zza skrzyń wyłonił się jeden z porywaczy. Niszem spojrzał na niego, potem na metalowy wózek.

Animaturgia – szepnął głos w jego głowie. – *Użyj jej.*

Wyciągnął mechaniczną rękę. Nawet nie czuł, jak niewielka cząstka Woli spływa z niego i wypełnia przedmiot, gotowa na jego rozkaz.

Jedź!, pomyślał, wskazując palcem na ścigającego go mężczyznę.

Koła skrzypnęły ogłuszająco na osi. Wózek pomknął wprost na zdumionego oprycha, zwałił go z nóg, przejechał po nim. Niszem nie zwracał uwagi na jego krzyki; zacisnął pięść, jakby schwytał owada, zagarniając swą Wolę z powrotem.

Ruszył dalej, wciąż kulejąc. Rozglądał się, próbując dojrzeć w mroku coś, co pomogłoby mu przedrzeć się do wyjścia. Ujrzał zawieszone u sufitu rusztowanie i szyny, z których zwieszały się uczipione wózków łańcuchy. Sięgnął Wolą ku jednemu z nich. Wózek zaczął sunąć po szynie; łańcuch zakołysał się, hak na jego końcu uderzył o coś z brzękiem. Animaturg próbował poruszyć łańcuchem, lecz luźne ogniwa nie pozwalały na ruch.

Ktoś krzyknął: „Tam jest!” i chwilę później kilkoro ludzi rzuciło się w tamtym kierunku. Niszem spojrzał po pozostałych łańcuchach. Jeśli metalowe wózki były uczipione metalowych szyn... czy to nie czyniło z nich wszystkich jednego konstruktu?

Nie używając więcej logorów, wydał rozkaz. Wtem cała konstrukcja została wprawiona w ruch: łańcuchy grzechotały, objając się o sprzęty i ludzi, śmigając w tę i we w tę po szynach. Wybuchło zamieszanie.

Niszem ponowił powolny bieg przez opuszczoną fabrykę, gdy wtem, potykając się o własne nogi, zdał sobie z czegoś sprawę.

Posadzka, po której stapał, była wykładana żelaznymi płytami.

Wszystkie ciężkie maszyny produkcyjne były do niej przytwierdzone.

Podłogę, sufit, a nawet ściany łączyły żeliwne podpory, kolumny, mosiężne rury.

Całe to miejsce... było jednym wielkim konstruktem.

Wtem naprzeciw niemu wybiegł zbir z pałąk w dłoni. Niszem rozejrzał się błędnie wokół. Wskazał mechaniczną dłońią na pompę w chwili, gdy oprawca przebiegał obok. Dźwignia uniosła się gwałtownie, uderzając go i zwalając z nóg. Animaturg czmychnął w bok. Po kilkunastu jardach przystanął i oparł się o barierkę wokół jednego z potężnych silników parowych, czując rwanie w nogach i ból szczęki promieniujący na całą czaszkę.

Podniósł głowę i napotkał spojrzenie kolejnego porywacza po drugiej strony maszyny. Ten krzyknął i przeskoczył barierkę, zamierzając przejść ku Niszemowi między szprychami ogromnego koła zamachowego, w jednej trzeciej zatopionego w podłożu. Niewiele myśląc, Animaturg wyciągnął ku niemu dłoń, posyłając cząstkę Woli wraz z rozkazem. Nienaoliwiona maszynieria uruchomiła się z głośnym jękiem. Zaskoczony oprych zdążył tylko zakląć, nim szprycha przygniotła mu udo; wrzeszczał, gdy koło naciskało coraz bardziej i bardziej, aż rozległ się trzask łamanych kości. Maszyna niewzruszenie pracowała dalej; ze szprychy ściekała krew z odciętej nogi.

Przerażonego tym widokiem Niszema całkiem zmroziło. Patrzył to na koło,

to na nogę, to na wijącego się z bólu mężczyznę.

Zostaw go – rozkazał Bóg Maszyna w jego głowie. – Uciekaj!

Niezdolny sprzeciwić się boskiej Woli, puścił się biegiem przed siebie, kulejąc. Wciąż słyszał wokół innych ludzi, którzy rzucili się na pomoc wrzeszczącemu, okaleczonemu towarzyszowi.

To oznaczało, że zyskał odrobinę czasu.

Starając się zignorować ból i szok, klęknął, kładąc obie dłonie na zimnej, zakurzonej, żelaznej posadzce. Kilka logorów spłynęło z jego umysłu wraz z prostym rozkazem.

Uruchomcie się.

W jednej chwili przez hałą przetoczyła się ponura kakofonia odgłosów: zgrzyt zawiasów, dźwigni, przekładni, śrub. Zimne, zapomniane maszyny odetchnęły jak olbrzym, który zbudził się z długiego snu. Ciemne, metalowe kształty poruszyły się powoli, krusząc rdzę i otrząsając się z kurzu; pył zamigotał w mdłym świetle kryształów. Silniki nie potrzebowały pary, mechanizmy nie wymagały siły ludzkich mięśni. Ożywiła je Wola Animaturga, oszołomionego tym, czego był w stanie dokonać.

Hałas wprawionej w ruch maszynierii zagłuszył jego kroki. Przemykał ostrożnie między urządzeniami i skrzyniami, rozglądając się czujnie, sprawnie unikając oprawców. Ci zdawali się zapomnieć o porwanym Animaturgu i sami próbowali uciec z trzewi ożywionej tajemną mocą fabryki.

Wtem, w mdłym świetle samotnej lampy zwieszającej się smętnie ze ściany, ujrzał szerokie wrota, a nad nimi długi szereg okien. Przez powybijane szyby widział fragmenty nocnego nieba. Nadzieja szarpnęła jego ciałem do przodu, jakby coś chciało się z niego wyrwać. Nie zważając na rwący ból, przyspieszył kroku.

Jestem blisko. Nie lękaj się.

Uśmiechnął się bezwiednie, z gardła wyrwało mu się coś jakby szloch. Wyciągnął rękę ku wrotom, by otworzyć je Wolą...

Wtem z boku wyłoniła się łamaczka Woli. Niszem zatrzymał się raptownie. Kobieta stanęła przed szerokimi drzwiami, swobodnie, z dłonią na biodrze. Patrzyła na niego z taką pobłażliwością, jakby był nieposłusznym żrebakiem.

– Dlaczego tak bardzo chcesz wrócić do tego, który uczynił cię niewolnikiem? – zawołała, przekrzykując hałasujące maszyny.

Nie słuchaj jej – szepnął Bóg Maszyna. – Próbuje wpłynąć na ciebie Wolą.

– To uzurpator – ciągnęła. – Heretyk, który kpi z boskich praw. Potwór, który pozbawił cię człowieczeństwa. Cała rodzina królewska nie żyje, królestwo jest na skraju upadku, lud cierpi... a wszystko to przez chore ambicje jednego szaleńca. Szaleńca, który zażądał od was części własnych ciał, by zastąpić je żelazem, jakby z was kpił. Jaki bóg dopuszcza się takich czynów?

Niszem czekał, aż usłyszy głos w swej głowie, lecz Bóg Maszyna milczał. Animaturg przełknął zbierającą się w ustach krew, poruszył opuchniętymi wargami, niepewny, czy będzie w stanie mówić.

– Nic nie rozumiesz – powiedział niewyraźnie.

– Zatem wytłumacz mi – poprosiła. – Wyjaśnij, co tak wspaniałego wam obiecano, że jesteście gotowi odwrócić się od prawowitego Arenaia i podążać za maszyną nazywającą się bogiem.

Zmarszczył brwi, rozważając odpowiedź. Wtem zauważył, co kobieta trzyma w drugiej ręce – miniaturową kuszę.

Natychmiast odwrócił wzrok, by nie zwrócić jej uwagi. Mógł zablokować mechanizm Wołą, lecz nie wiedział, jak to zrobić z tej odległości i ledwo widząc przedmiot. Zimny pot spłynął mu po plecach.

Otworzył usta, lecz zaraz je zamknął. Wiedział, że kobieta próbowała zmusić go Wołą do odwrócenia się od Boga Maszyny... lecz nie mógł pozbyć się tej natrętnej myśli, że może mieć rację. Może naprawdę okazał się głupcem, pozwalając się okaleczyć, może był naiwny, narażając się dla uzurpatora stojącego w sprzeczności ze wszystkim, co od tysiącleci reprezentowało królestwo – królestwo, któremu groził rozpad... przez szalonego mechanicznego boga.

Wtem wrota rozsunęły z gwałtownie; rolki huknęły na końcach szyn. W mroku za progiem błysnęły cztery pary lśniących błękitem oczu.

Konstrukty wtargnęły do środka. Ich żebra rozwarły się szeroko, podobne odnóżom pajaka w pozycji obronnej. Potężne stalowe nogi zadudniły na żelaznej posadzce; jednym susem istoty znalazły się przy kobiecie. Nie zdążyła nawet krzyknąć; srebrny kososzpon błysnął w powietrzu. Jej głowa łupnęła głucho o podłogę.

Wysokie, mechaniczne postaci otoczyły przerażonego Niszema. Jedna z nich stanęła przed nim, patrząc mu prosto w oczy.

Jesteś bezpieczny – odezwał się znów Bóg Maszyna. – *Wracajmy.*

Przez chwilę Animaturg nie był w stanie nawet drgnąć, oszołomiony tak prędkością następujących po sobie zdarzeń, jak i potwornym widokiem zadanej przed chwilą śmierci, a także bliskością boga, któremu zawierzył swoje życie i zdolności. Był w ciele każdego konstruktu stojącego obok, w jego protezie, w jego głowie. Przyszedł do niego, choć mógł zostawić go i skazać na śmierć. Nie opuścił go. Pomógł mu.

Wierzył w niego.

Niszem padł na kolano, chyląc nisko głowę.

– Dziękuję ci, o Panie – powiedział z krwią płynącą z ust. – Zawdzięczam ci ratunek.

Nie. Sam tego dokonałeś. Pokazałeś, że jesteś prawdziwym Animaturgiem.

Mężczyzna ściągnął brwi, wzruszony i zmartwiony jednocześnie. Czy Bóg

Maszyna potrafił wejrzeć w jego umysł, czy widział wątpliwości, które nim targaly chwilę wcześniej? Bał się podnieść wzrok. Zdał sobie sprawę, że drżą mu kolana.

– Panie... Wybacz, że w ciebie zwątpilem. Nie chciałem...

Drgnął, gdy jeden z konstruktów chwycił go delikatnie za ramię i skłonił do powstania. Niepewnie spojrzał na tors stojącej przed nim mechanicznej postaci, garbiąc się, jakby oczekiwał chłosty. W jego umyśle znów rozbrzmiały obce słowa.

Okazałeś dziś ogromną wiarę i odwagę. Masz silną Wolę i wielką pomysłowość – tego właśnie potrzebuję.

– Więc – odważył się po chwili powiedzieć Niszem, wciąż obawiając się podnieść wzroku – naprawdę jestem tylko narzędziem?

Zimna, srebrna dłoń o długich palcach ujęła go pod brodę i zmusiła do spojrzenia sobie w świecące błękitem oczy. Niszem poczuł dziwną sensację w piersi.

Jesteś moim uczniem. A każdy uczeń zostaje kiedyś mistrzem.

Dogłębne wzruszenie ścisnęło mężczyznę za gardło. Uśmiechnął się z wdzięcznością, ponownie chyląc czoło przed Bogiem Maszyną.

Ruszył ku wyjściu, otoczony przez mechanicznych strażników, odprowadzany odgłosami pracujących maszyn w fabryce. U progu przypomniał sobie o nich, obejrzał się przez ramię i sięgnął ku nim stalową dłonią. Zacisnął ją w pięść, przywołując z powrotem wszystkie wydane logory.

Zapadła cisza.

Joanna W. Gajzler

Autorka powieści „Bóg Maszyna” i wkrótce - miejmy nadzieję - innych. Studiowała twórcze pisanie na Uniwersytecie Łódzkim i szlifowała warsztat ponad dwie dekady, by móc kiedyś podzielić się owocami swojej wyobraźni. Zagubiona w fantastycznych światach, czy to z książek, filmów, gier fabularnych, czy też własnych. Z zawodu technik weterynarii, nie wyobraża sobie życia bez tworzenia, herbaty i co najmniej trzech gatunków zwierząt w domu.

Mgielnik

Aleksandra Kuźma

Osnuta dymem Machipolia sprawiała wrażenie żywej istoty zsynchronizowanej z ruchami trybów mieszczących w sobie całe dzielnice, place i aleje. Samonastawne miasto-państwo zmieniało się nieustannie w imię bezpieczeństwa i zamyłowania do niestałości. Cud techniki. Wielkie dzieło architektoniczne. Wynalazek wszech czasów. Cholerne ustrojstwo, przez które Vinsente nie wiedział, gdzie się teraz znajduje. Mruczał pod nosem szereg wulgaryzmów. Ledwo rozeznawał się w tym chaosie, a stłuczone gogle przeciwmgielne zdecydowanie nie ułatwiały sprawy.

Z oddali niosło się echo uderzeń, zgrzytów i pokrzykiwań. Gdyby Vinsente zaraz nie opanował sytuacji, w najlepszym przypadku dostałby nagane, jednak bez sprawnej broni interwencja na niewiele się zda. W końcu miał do czynienia z artyfikiem – strażniczym bytem, który akurat na jego zmianie postanowił wymknąć się spod kontroli. *Szlag by to!* – przeklinał naszpikowane lampami gazowymi ulice z ruchomymi chodnikami, myląc podobne do siebie drewniano-metalowe konstrukcje, płataniny mechanicznych schodów, kominów i mostów, krzątających się ludzi niekryjących oburzenia, gdy ich potrącał. W biegu spoglądał na pordezewiałe szyldy wyposażone w wiatraki walczące z natrętnymi oparami. Przed oczami mignęły mu speluna „Wędzarnia”, sklep obuwniczy „Dziurawa podeszwa”, apteka „Koniec końców”, lombard „Znalezione niekradzione” i, nareszcie, warsztat „Majster-klepka”. Wpadł do niego z impetem, wybudzając ze snu dzwonek do drzwi.

Jak zwykle klitka przywitała go ciężkim, metalicznym zapachem oraz butwiejącymi półkami, które aż ugięły się od rozmaitych części niewiadomego pochodzenia. W środku niosło się drażniące syczenie.

– Namara! – Vinsente przeskoczył przez zastawioną szpargałami ladę, dopadł do kotary, niemal całkowicie ją zrywając, i wtargnął do zapchanej po brzegi pracowni.

Mechaniczka pochłonięta dłubaniem w pokiereszowanym ustrojstwie nawet nie zauważyła jego przybycia. Mężczyzna zawołał jeszcze raz, ale bez większego skutku. Dopiero gdy rzucił w jej kierunku nakrętkę na śrubę (jedną z wielu

walających się po stole roboczym i podłodze), Namara odwróciła się, zdejmując z twarzy ochronną maskę.

– Ho, ho! Vivi! – W ręce ścisnęła uchwyt włączonej spawarki, jakby w każdej chwili była gotowa użyć jej na nieproszonym gościu.

– Ile razy mam ci powtarzać, żebyś mnie tak nie nazywała? – burknął Vinsente, zamaszystym ruchem zwalając z blatu podzespoły, gwoździe, klucze i śrubokręty.

– Co tutaj robisz? – Odłożyła urządzenie i wytarła w spódnicę ręce odziane w umorusane rękawice. – Nie powinienes być na służbie? Czyżbyś bumelował?

Odpowiedział jej jazgot dochodzący z zewnątrz, na który Vinsente zmarszczył czoło.

– A tam co się wyprawia? – zapytała mechaniczka ze zwyczajowym uśmiechem lekkoducha.

– Artyfik szaleje. Przekłęci formchemicy i ich twory... – Zdjął z ramienia skórzany pokrowiec, następnie położył go na stole z głuchym brzękiem.

– Artyfik? – Jej oczy rozbłysły. – Muszę to zobaczyć!

– Musisz to naprawić – warknął, zachodząc jej drogę.

– Co tam masz? – Tanecznym krokiem zbliżyła się do torby, po czym ją otworzyła. – Broń hybrydowa! – zapiszczała, wyciągając przedmiot z nabożnością. – Ulepszony model! Dali ci taką perełkę? Dlaczego? Awansowałeś i się nie pochwaliłeś?

Vinsente przewrócił oczami, nie mając zamiaru wdawać się w dyskusję. Narzędzie łączące miotacz ognia i miecz wyposażone w zbiornik na paliwo, zapalarkę, przewody, pokrętła, a także wskaźnik, sprawiło mu dziś tyle problemów, że serdecznie miał już dosyć technologicznych nowinek. Przez to draństwo omal nie stracił ręki, nie wspominając już o oparzeniach.

– Zepsuty złom – wymamrotał. Dlaczego pech i feler tak bardzo do niego lgnęły?

– Jak możesz tak mówić, Vivi! To dzieło sztuki! Widzisz to ostrze pokryte włóknem transfigurującym, dzięki któremu powierzchnia staje się palna lub ognioochronna w zależności od ustawienia? – Wtuliła się w broń. – Ultralekką, ale i piekielnie wytrzymałą mieszanek parametali? Wykwintne połączenia i detale nadające całości niepowtarzalnego wyrazu?

– Dobra, dobra. – Machnął ręką. – Pośpiesz się.

– Ho, ho. – Uniosła brew, a w jej oczach pojawił się szczwany błysk. – A co z tego będę mieć?

– Satysfakcję z doświadczeń? – Udał jej zaaferowany ton. – Pracę na cudenku?

– Nie ma mowy. – Roześmiała się. – Masz u mnie zbyt wiele długów wdzięczności. Kombinuj dalej.

– Błagam cię, kobieto, spieszę się!

– No cóż, jeśli ładnie poprosisz, obiecasz, że opowiesz mi ze szczegółami, co się wydarzyło, i zabierzesz mnie na obiad...

– Nie wystawiaj mojej cierpliwości na próbę. Nie w chwili, gdy ulice pustoszy bestia...

– W takim wypadku zgłoś się do służbowego zakładu naprawczego. – Wzruszyła ramionami.

Żeby jeszcze bardziej mnie pogrążyli, kłamiąc, że z bronią wszystko w porządku, by chronić własne tyłki? A może by dać artyfikowi czas na wyszumienie? – pomyślał, krzyżując ramiona. Ich bitwa na spojrzenia zdawała się trwać całą wieczność. Jak na złość postawa mechaniczki pozostawała nieugięta, a Vinsente wiedział już, że wiele nie zdziała przy jej piekielnym uporze.

– Namaro...

– Dla ciebie Nami – poprawiła, mrugając do niego okiem.

Vinsente westchnął ciężko i odgarnął włosy z czoła.

– Proszę – syknął przez zęby.

– I obiecuję, że... – ciągnęła wesoło.

– Opowiem ci o wszystkim.

– I?

– I zabiorę cię na ten cholerny obiad!

– No to dobiliśmy targu! – Odłożyła broń przy maszynie przybliżającej wyposażonej w przesuwalne lupy, po czym rozpoczęła poszukiwania odpowiednich narzędzi. Vinsente nie wiedział, jakim cudem mechaniczka odnajdywała się w tym rozgardiaszu.

Rumor coraz zacieklej atakował ich uszy, a sądząc po spanikowanym błaganu „zostaw lampę” i uderzeniach, rozszalały artyfik bawił się właśnie w rwanie i rzucanie. Wspaniale. Jeśli kogoś zrani albo, nie daj Deusie, zabije, konsekwencje spadną na nadzorców rewiru dolnego, których imię i bez tego było zszargane. Vinsente zaciskał mocno szczękę, aż rozboleły go zęby. Jako dowódcy za chaos i nieudolne działania służb mgielnych to jemu oberwie się najbardziej.

– Co jest nie tak? – Przerwała jego rozmyślanie.

Wszystko – miał wielką ochotę powiedzieć, ale ostatecznie ugryzł się w język. To nie był czas i miejsce, a narzekania i tak nic by nie zmieniły.

– Zamiast ostrza stara się podpalić użytkownika. Być może to rozszczelnienie albo jakaś wada fabryczna...

Gdy Namara zebrała kolekcję złożoną z nożyc technicznych, szczypiec i klucza płasko-oczkowego, przysiadła na stołku roboczym, po czym zajęła się rozmontowywaniem broni. Pracownię wypełnił zgrzyt metalu.

– Powiedz, że da się coś z tym szybko zrobić...

– Cieknie. – Cmoknęła, wyciągając dłoń. – Podaj ścierkę.

Vinsente rozejrzał się, ściągając brwi na coraz donośniejszy dźwięk łupania.

Artyfik najwyraźniej właśnie przechadzał się pobliskim pasażem.

– Pośpieszałeś mnie, a sam się guzdrasz – gderiała, czym wprawiała Vinsentego w jeszcze podlegszy nastrój.

– Zrobiłaś z tego pomieszczenia gnojowisko. – Zgarnął z kąta ścierkę, która widziała już lepsze czasy, i podrzucił ją prosto w łapska mechaniczki. – Co za syf...

– To artystycznynieład. – Rozkręcała kolejne części, dobierając się do bebeczków. – Swoją drogą masz teraz okazję do tłumaczeń. Co się właściwie wydarzyło?

– Nie ma o czym opowiadać. – Oparł się o stół. – Formchemicy bawią się w stwórców z różnymi skutkami.

– Twój oddział nawiał czy został rozgromiony?

Namara do perfekcji opanowała nie tylko naprawianie złomu, ale i wbijanie człowiekowi szpili. Nie musiała mu przypominać o tej niepoprawnej bandzie.

– Jedno i drugie. – Podszedł do niej i zerknął na broń. – I co?

– To uszkodzenie przewodu, ale... – urwała, przygryzając usta.

– Ale?

– Nie wygląda mi to na wadę fabryczną, a celowe działanie. – Obróciła się, by na niego spojrzeć. – Wychodzi na to, że ktoś czyha na twoje cztery litery.

Też mi nowość. Oczywiście, że wielu życzyło mu długiej i bolesnej rekonwalescencji, o ile nie czegoś gorszego. Lista jego wrogów zlewała się w jedną wielką masę, dlatego już dawno przestał ich liczyć.

– Nie pierwszy raz i nie ostatni.

– Naprawdę mógłbyś nie bagatelizować tak poważnych spraw – mamrotała pod nosem, wygrzebując z pochwyconej skrzynki pordzewiałą rurkę. Chuchnęła w nią, otarła i dokładnie zlustrowała pod kilkoma kątami. Wzdrygnęła się, gdy powietrze rozdarł huk, ale nie przerwała dłubaniny.

– Spawaczka. – Ponownie wyciągnęła dłoń i założyła maskę ochronną.

Vinsente odchrząknął, podając to, o co prosiła. Nie przywykł do tego, by ktoś się o niego zamartwiał i ostatecznie doszedł do wniosku, że ta roztrzepana kobieta musiała mieć jakiś ukryty motyw. Dawno temu pozwolił sobie na naiwną ufność i wiarę w drugiego człowieka, srogo za to płacąc. Nie popełni tego błędu drugi raz. Wycofał się, odwracając wzrok od syczących iskier. Przez dłużące się minuty w pomieszczeniu rozbrzmiewały chroboty i przytłumione krzyki.

– Gotowe! – Zeskoczyła ze stołka, odsłoniła twarz, a kiedy ewidentnie korciło ją, by poddać próbie swą pracę, Vinsente zgarnął broń. – Hej!

– Ja to zrobię – fuknął. Jeszcze tego brakowało, żeby i ją miał na sumieniu.

– No proszę, aż tak się o mnie troszczysz!

– Jesteś mi potrzebna. To wszystko – odburknął.

– Już ja wiem, do czego jestem ci potrzebna. – Zachichotała. – Nie spodziewałam się po tobie takiej bezpośredniości.

Ignorowanie jej stawało się coraz trudniejsze, ale mimo to Vinsente odsunął

się, wcisnął dźwignię i pomajstrował przy pokrętlach. Pomieszczenie wypełniły ostry zapach paliwa i donośne syczenie. Zwolnił bezpiecznik. Serce zabiło mu mocniej, ale, ku jego uldze, płomienie objęły jedynie ostrze. Udało się! Czym prędzej ruszył do wyjścia, uważając, by przypadkiem czegoś nie podpalić, co wcale nie należało do najprostszych czynności w otaczającym go nieładzie. Namara potuptała tuż za nim.

– To niebezpieczne. Nie pchaj się tam, gdzie nie trzeba...

– Tym bardziej pójdę.

Na zewnątrz panowały cuchnąca mgła oraz chaos w postaci zerwanego chodnika, rozrzuconych lamp i przewróconej statuy, której druty pogięły się na tyle, że nie sposób było zgadnąć, co zamierzał przedstawić autor. Vinsente ominął grupkę chowających się ludzi i pognął w stronę, z której dochodził charakterystyczny łoskot. Przecznicę dalej dostrzegł artyfika – masywną, humanoidalną kupę żelastwa z wyrysowanymi wzorami na powierzchni. Gdyby ten diabeł wcielony poddał się woli twórcy, dołączyłby do pierwszej linii obronnej niezdobytej Machipolii Wschodniej. Namara wydała z siebie okrzyk podziwu. Strażnicze byty osnute nutą tajemnicy stanowiły rzadki widok w samym mieście, zazwyczaj stacjonowały wokół granic.

– Pan dowodzący! – Od strony gruzów poniósł się stłamszony głos. Vinsente rozpoznał go, modląc się w duchu, by formchemik jakoś się trzymał. Ludzie umiejący tchnąć życie w rzeczy stanowili ważny fundament społeczeństwa, a skrzywdzenie ich równało się z surowym wyrokiem. Na szczęście wyglądało na to, że najbardziej ucierpiał wymiętoszony kapelusz i surdut mężczyzny. – Już myślałem, że dał pan nogę...

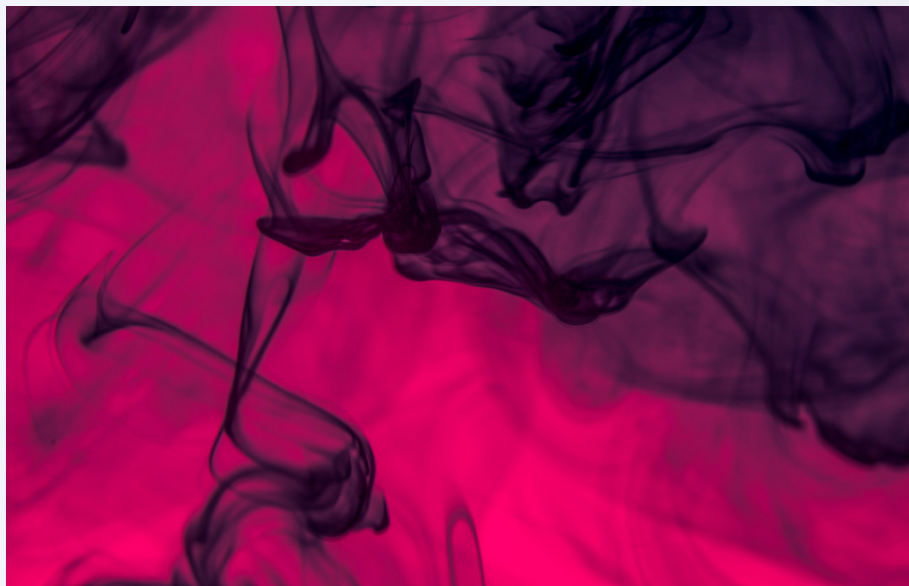
– Mówiłem, żeby został pan w wytwórni!

– Ależ jak mógłbym jako sprawca całego zamieszania! – Wstał, po czym otrzepał się, z przejściem zerkając na mechaniczkę. – Och, panienska. Proszę wybaczyć me maniery! – Ściągnął kapelusz przypominający harmonijkę i się skłonił. – Nazywam się Nichophas.

– Nie odpowiadaj mu – mruknął Vinsente idący już w stronę artyfika. Teraz pozostało mu tylko rozprawienie się z tą bestią. Tylko.

– Uszanowanko, Namara. Kojarzę pana z gazety...

Reszty Vinsente nie dosłyszał, skupiając się na ocenie sytuacji. Okazało się, że strażniczy byt po drodze wyczerpał sporo paliwa – kamienie zasilające osadzone pod metalową czaszką buchały kłębam dymu, a próby rozprawienia się z pobliskim orurowaniem sprawiały mu niemałe problemy. Bynajmniej nie oznaczało to, że stał się bezbronny. Choć wadliwy i o niskim poziomie energii, artyfik mógłby rozbić ludzką czaszkę jednym uderzeniem. Vinsente zacisnął dłonie na rękojeści broni. Zbliżał się do olbrzyma powoli, krok za krokiem, odbezpieczając miotacz. Wycelował i wystrzelił płomieniami, które wpijały się



Christoph Keil - unsplash.com

w niechronione żłobienia w metalu. Artyfik wydał z siebie ogłuszający wrzask, rzucając się na wszystkie strony.

– Nie tak brutalnie! To jeszcze dziecko! Dopiero narodzone! – krzyczał formchemik.

Trzymetrowy kawał żelastwa, poruszający się o dziwo nie tak ociężale, na co wskazywałyby mosiężna sylwetka, zdecydowanie nie przypominał noworodka. Mawiali, że artyfiki otrzymywały część duszy od swych twórców, za co ci płacili szaleństwem. Vinsente zdecydowanie zgadzał się z tym stwierdzeniem. Ledwo uskoczył, gdy wielkolud zaszarżował. Gdzieś niedaleko we mgle dało słyszeć się urywane rozmowy i pokrzykiwania. Unik. Nieudany wypad. Kolejny unik. *Cholera!* Najślabszy punkt znajdował się na łączeniu przy szyi. Vinsente zacisnął usta, ciepło tańczącego ognia wyciskało z niego jeszcze więcej potu. Musiał odciąć kamienie zasilające od reszty ciała, jednak cel pozostawał poza zasięgiem.

– Tylko nie daj się zabić! Obiecałeś mi obiad!

Świetnie. Jeśli przeżyje, czeka go jeszcze jedno starcie z tą natrętnicą. Wziął głęboki oddech. Artyfik zwalniał. Najwidoczniej płomienie zacierały wyryte w nim symbole. *Chodź, chodź. Jeszcze troszeczkę.* Wabił go, zwodził i umykał. Nieprecyzyjne uderzenie wyrwało z niego dech, ale przed rozkwaszeniem uratował go niezawodny instynkt. Wycofał się w porę, choć z draśnięcia na czole

sączyła się już strużka krwi. Czekał na błąd tej maszyny do zabijania. W końcu artyfik potknął się o uliczne wybrzuszenie, które sam stworzył. Teraz! Vinsente skoczył, zadając ostateczny cios. Łeb żelaznej bestii potoczył się po chodniku, na co formchemik wydał z siebie pełen trwogi jęk i pobiegł tuż za nim.

– Za mało mi płacą za tyle zachodu... – wybąknął Vinsente. Zabezpieczył narzędzie i podparł się o nie z sapnięciem. Wcześniejsze trafienie najwyraźniej nie było aż tak niegroźne, jak zdawało mu się w ferworze walki. Bolała go głowa, a obrazy wirowały. Naprawdę nabrał wielkiej ochoty uduszenia Namary, gdy ta z piskiem rzuciła się na niego, przy okazji obalając go na ziemię. Dopiero po chwili zorientował się, że wśród wgrzyzających się w oczy obłoków gromadzili się gapie nieszczydzący ostrych słów. Obarczali go winą za to wszystko, choć, jakby nie patrząc, starał się uratować ich zawszone tyłki.

– Widziałeś, mamó! Ale pokaz! – krzyknęło jakieś dziecko.

– Nie duś mnie! – Vinsente jakimś cudem wyswobodził się ze szponów Namary, mimowiednie zerkając w stronę chłopca szarpiącego rąbek sukni kobiety, której ciemne włosy wymykały się spod koka.

– Jak dorosnę, też zostanę mgielnikiem!

– Nie pleć bzdur! – warknęła, siłą odciągając go od całej tej sceny.

Vinsente uśmiechnął się krzywo, gdy malec do niego pomachał, a w jego sercu zrodziło się nostalgiczne ukłucie. Kiedyś również wierzył, że naprawi świat, że stanie się bohaterem. A może dziecięce marzenie tak naprawdę nigdy nie umarło? Może wciąż tkwiła w nim jeszcze szczypta nadziei?

Aleksandra Kuźma

Ukończyła studia na kierunku filologia angielska z językiem japońskim, autorka opowiadań „Punkt rozdania” (opublikowanego w magazynie „Drobiaszgi”) oraz „Ścieżka śmierci” (ukazanego na łamach pisma „Bezkres”), a także laureatka konkursu literackiego „RUBIEŻE RZECZYWISTOŚCI” Tom II (z tekstami „Śniarz” oraz „Niby-człowiek”).

Nic nas nie zatrzyma

Krzysztof Gola

– Dzisiaj żegnamy Lanę Morris, córkę Kohri i Rogana. Z tego powodu składam rodzinie najszczerze kondolencje. Chowamy nie tylko utalentowaną dziesięcioletkę, tancerkę, ale i wspaniałego, młodego człowieka. Wciąż wspominam ją, gdy była jeszcze małym szkrabem, płaczącym się pod nogami rodziców w kościele. Pamiętajmy jednak, że śmierć to nie koniec...

Mowa pogrzebowa trwała.

Rogan próbował powstrzymać cichy szloch żony, ale bezskutecznie. Jej płacz przedzierał się przez szum padającego na pokład deszczu i głos księdza, którego słowa brzmiały tak, jakby czytał je z kartki. Błada twarz Kohri przypominała kolorem skórę nieboszczyka, kontrastowała z czarną suknią i welonem, skrywającym spłowiałe włosy. Pozostali goście nie dziwili się jednak jej wyglądowi – Lana zmarła kilka dni temu i kobieta nie otrząsnęła się po stracie.

Powiedzenie, że wszystko zdarzyło się nagle, byłoby kłamstwem. Kohri przez kilka ostatnich miesięcy opiekowała się chorującą córką, doglądała ją w łóżku, przykrywała kołdrą po samą szyję, poila i choć trochę starała się odwieść od wizji śmierci, która była nieunikniona. Powoli serce Lany zaczynało tracić dawny wigor, spowalniało i wreszcie zatrzymało się jak wskazówki kieszonkowego zegara Rogana.

Dla Kohri śmierć córki była wstrząsająca z jeszcze jednego powodu. Jako lekarz nie mogła nic zrobić, gdy powieki dziecka opadły bezwładnie, a jej usta zastygły w bezruchu.

– Czy rodzina ma coś do dodania? – spytał ksiądz. Wbił wzrok w mężczyznę tulącego do swojej piersi żonę. Rogan odgarnął wilgotne, rude włosy i zerknął porozumiewawczo na mistrza ceremonii. Tamten mógł wyczytać z jego spojrzenia, że nikt nie znalazłby odpowiednich słów w zaistniałej sytuacji.

– Rozumiem – bąknął kapłan. – Zgodnie ze wcześniejszymi ustaleniami ciało zmarłej zostanie przetransportowane na ziemię. Niech Bóg ma je w opiece.

Mężczyzna odprowadził wzrokiem trumnę, która została wsunięta do transportera przyczepionego do balonu. Po raz ostatni patrzył na córkę, jej blond

włosy i białą tutu. Została odziana w strój, który był w jej ulubionym kolorze. Ksiądz kręcił lekko głową na ten widok, ale nie sprzeciwiał się woli rodziców. Nawet on słyszał, że Lana była jedną z najbardziej utalentowanych tancerek w szkole baletowej na Lewiatanie.

Gdy balon uniósł się i trumna zniknęła z pola widzenia załamanej pary, Rogan mocniej przyciągnął partnerkę. Rzucił przelotne spojrzenie w stronę pozostałych gości.

– Chcesz już iść? – mruknął, zerkając porozumiewawczo na zgromadzone wokół nich rodziny.

– Tak – wydukała słabo Kohri. Otarła chustką łzę, leniwie ściekającą po jej policzku i podążyła za mężem. Pozostali zgromadzeni odprowadzili ich współczującym spojrzeniem.

Gdy maszerowali po pokładzie latającego statku, mężczyzna zauważył, że życie na okręcie trwa w najlepsze. Chłopcy jak zwykle ślizgali się po kałużach, dziewczynki grały ze swoimi mechanicznymi przyjaciółkami w piłkę, rodzice spacerowali z małymi dziećmi. Słyszeli krakanie wron. Widzieli roboty, pucujące deski pokładowe na wysoki połysk, oraz nadzorujących ich mężczyzn w charakterystycznych płaszczach i cylindrach. Rogan-wynalazca był kiedyś jednym z nich. Też tworzył roboty, nadzorował ich prace i obserwował zatłoczone burty podniebnego miasta.

Wiedział jednak, że po śmierci Lany już nic nie będzie takie samo.

Po powrocie do kajuty para rozdzieliła się. Kohri zatrzasnęła drzwi do sypialni, runęła na łóżko i zanosła się płaczem. Rogan, choć najchętniej położyłby się obok niej, zdecydował się inaczej radzić sobie ze śmiercią córki – zniknął w swoim warsztacie.

Wszedł do niewielkiego pomieszczenia, ściągnął przemoczony płaszcz i przyjrzał się własnemu odbiciu w lustrze. Ostre rysy jego twarzy podkreślały zmierzwiona ruda grzywka i elegancki wąs. Kiedyś uznałby się za całkiem przystojnego mężczyznę, ale w obecnej sytuacji przypominał raczej żałobnika, którym faktycznie był, aniżeli jednego z najbardziej znanych i najlepszych konstruktorów maszyn na Lewiatanie.

Powiódł wzrokiem po ciasnym pomieszczeniu o brązowych ścianach. Jego centralnym punktem był drewniany stół, oświetlany przez pasma światła wpuszczane do środka przez bulaj. Na blacie obok lampy naftowej wały się pergaminy ze szczegółowymi obliczeniami oraz mnóstwo trybików. Pokój skrywał jeden sekret. Rogan ruszył do płachty materiału i ściągnął ją, aby ujrzeć swoje największe dzieło.



Robert Anasch - unsplash.com

Robot. Nieukończony projekt sięgał mężczyźnie do głowy i czekał tylko, aż zostanie uruchomiony. Maszyna miała humanoidalne kształty, choć brakowało jej stóp – zamiast tego, jej nogi kończyły dwie dysze. Miała błękitną diodę na głowie oraz odsłoniętą klatkę piersiową i przedramiona, skrywające zwoje kolorowych kabli i zębatki. Mechanizmy robota pokrywał szary pancerz.

– Dobra, Darcu. – Rogan przeleciał wzrokiem po swoim dziele. Zatarł ręce. – Czas cię odpalić.

Podwinął rękawy koszuli i z grobową miną przystąpił do pracy. Zbliżył się do panelu obok maszyny i nacisnął kilka przycisków. Szarpnął za przekładnię. Przez rurki, które łączyły Darcu z aparaturą, przebiegła kolorowa ciecz oraz para. Gdy maszyna została uruchomiona, przypominała zachowaniem dopiero co wybudzonego ze śpiączki człowieka.

– Co się stało? – spytała ludzako ludzkim głosem.

Celem utalentowanego wynalazcy było to, aby jak najbardziej przypominała swoim zachowaniem istotę z krwi i kości. Mimo że Roganowi się to udało, nie odczuwał euforii. Zachował zimne spojrzenie.

– Kim jestem? – zadała kolejne pytanie.

– Darci, model C.32 – wytłumaczył. – Podaję hasło, wklep je do konsoli na ramieniu. K. Trzy. Sześć. B. A.

Maszyna wypełniła polecenie i nacisnęła klawisze na swoim pancerzu. Gdy skończyła, nagle wyprostowała się, a jej dioda zaśniła jasnym światłem. Trybiki w piersiach znacznie przyspieszyły.

– Rogan Morris, mój stwórca. – Spojrzała na niego. – Nazywam się Darci, maszyna parowa do prac fizycznych o numerach seryjnych...

– Daruj mi nomenklaturę – przerwał jej. – Czekałem na tę chwilę kilka miesięcy i chcę czym prędzej sprawdzić, czy było to opłacalne. Musimy dowiedzieć się, czy potrafisz wykształcić samoświadomość.

Robot krótko skinął głową.

– Powiedz cokolwiek – kontynuował mężczyzna. – Coś, co nie jest zależne ode mnie. Może masz jakieś życzenie?

– Życzenie. – Darci podrapała się po głowie (zupełnie jak człowiek, co było dobrym znakiem!). Zastanawiała się dalej, wypuszczając z niewielkich zbiorników na plecach białe obłoki. Gdy uniosła swoje ramię, zauważyła nudny kolor jej pancerza. – Wiem, co chciałabym. Nowy kolor pancerza.

– Nowy kolor pancerza, tak? Jaki konkretnie cię interesuje?

Kolejne sekundy oczekiwania i kolejna para, która rozniosła się po warsztacie.

– Białe. Moje podzespoły mówią, że to najładniejszy kolor dla mnie.

Rogan poczuł ukłucie w sercu, a chwilę potem złość, gdy to powiedziała. Przypomniła sobie leżącą w trumnie Lanę. Jej rozpuszczone włosy. Zamknięte powieki, zakończone gęstymi rzęsami. Drobne dłonie. I białą spódniczkę, w którą przywdziała ją Kohri.

Pokręcił głową.

– Wybacz. Nie mam białej farby, ale racja, przydałoby się ciębie nieco dopieścić. Chodź na środek pokoju. Coś znajdę.

Maszyna wypełniła polecenie mężczyzny. Zrobiła pierwsze, chybotałe kroki i stanęła na środku warsztatu. Obserwowała swojego stwórcę, podczas gdy ten grzebał w jednej z szafek. Wyciągnął z niej puszkę w złocistym kolorze.

– Jak oceniasz ten kolor? – spytał, nabierając na pędzel odrobinę miedzianej farby. Robot pokręcił głową.

– Jest brzydki.

Lana powiedziałaaby to samo, odparł w myślach.

Zaczął nakładać farbę na pancerz Darci. Nie wyglądała na zadowoloną. Milczała. To szczególnie frustrowało mężczyznę. W ciągu ostatnich dni w jego kajutach panowała przegnębiająca cisza. Chciał usłyszeć głos córki, żony albo chociaż tej maszyny, lecz nawet ona nie zamierzała zamienić z nim ani słowa.

Po kilkunastu minutach wynalazca zakończył pracę nad pancerzem lśniącem jeszcze świeżym, mosiężnym kolorem. Nie pasował do robota, mimo to Rogan

nie zamierzał pokryć go białym lakierem. Ten kolor symbolizował dla niego nadzieję, która zniknęła bezpowrotnie wraz z trumną Lany.

Odłożył pojemnik na stół i przetarł zmęczone oczy. Łypnął na swoje dzieło.

– Pokażę cię żonie – oznajmił.

Darci pokiwała głową jak człowiek i ruszyła za wynalazcą.

– Wydajesz się smutny i zły – zagaiła. – Czemu?

– Moja córka... – przełknął ślinę – nie żyje...

Maszyna wyglądała na zaniepokojoną. Wklepała coś na swojej konsoli.

– Przykro mi – mówiła. – Wiem, o kim mówisz. Gdy próbowałeś wgrać mi pamięć, a następnie szarpnąłeś za przekładnię, podzieliłeś się informacjami na swój temat. Znam twoją rodzinę, znam Kohri i znam...

– Nie wypowiadaj jej imienia! – fuknął, naskakując na robota.

Zdziwiona Darci ucichła. Skuliła się niczym przestraszone zwierzę i spłotła palce, pokornie idąc za swoim stwórcą. Ukradkiem jednak bacznie go obserwowała. Widziała, z jakim bólem zaciskał palce i przygryzał wargi, gdy opuszczali warsztat.

Było jej żal Rogana. W ciele maszyny biegły taśmy z zapisami, które przekazywały jej wiedzę na temat życia mężczyzny jeszcze z czasów, gdy Lana żyła. Dzięki oglądaniu czarno-białych slajdów maszyna wiedziała o tym, że dziewczyna była świetną tancerką i oczkiem w głowie rodziców. Wraz z Kohri tworzyli dobrą rodzinę. Byli jednak jak trybiki w ciele robota – wystarczyło, że jeden poluzował się, a cały mechanizm przestawał działać. Bez odpowiedniej pomocy maszynie groziło to, że już nigdy nie będzie pracować z taką samą skutecznością i prawidłowością. Tak samo było z Morris. Czuła, że bez wsparcia nie poradzą sobie.

Darci uznała, że będzie tą, która ich naprawi.

– Gdzie ona się podziała? – spytał Rogan.

Gdy dostali się do kajuty sypialnianej, nie znaleźli w środku Kohri. Jedyną pozostałością po niej były porozwalane na łóżku poduszki i wgniecenia jej ciała na kołdrze.

– Jeśli nie ma jej tu, to musiała gdzieś się udać. – Darci wzruszyła ramionami.

– Niby gdzie... – Zgrzytnął zębami mężczyzna, ale chwilę później uspokoił się. Poglądził brodę i zmrużył oczy. – Wiem, gdzie może być.

Nie czekając na maszynę, Rogan szybko pobiegł do szafy, wyciągnął z niej płaszcz i cylinder, a następnie opuścił kajutę, zostawiając uchylone drzwi. Robot zerknął na niego jak na szaleńca, przechylił zdziwioną głowę i poszedł za stwórcą, zamykając wejście do pomieszczenia.

O tej porze dnia na Lewiatanie było wyjątkowo tłoczno. Masy ludzi krzątały się po pokładzie, rozmawiając głównie w języku angielskim, francuskim i niemieckim. Układali stoiska z beczek pokładowych i na wiekach prezentowali swoje towary. Hałas generowały również turbiny statku, które sprawiały, że cały pokład drżał pod stopami mieszkańców, i wiatr, napinający białe żagle jak cięciwę łuku.

Darci nie wiedziała, do czego służy okręt, ale domyślała się. Była na latającej giełdzie wynalazków! Nowinki techniczne można było tutaj spotkać na każdym kroku. Jedni próbowali sprzedawać wielofunkcyjne zegarki, drudzy „niezniszczalne” zębaki, a jeszcze inni pragnęli podzielić się projektami sterowców zasilanych na gaz ziemny. To był prawdziwy raj dla konstruktorów, którzy prześcigali się w pomysłach, a dzięki szybkości Lewiatana mogli szybko podróżować i sprzedawać swoje patenty na ziemi.

Maszyna mogłaby długo myśleć o okręcie, jego mieszkańcach i załodze, ale z analizowania tego wszystkiego wyrwał ją Rogan. Wraz z robotem ponownie znalazł się pod pokładem. Ześlizgnęli się po drabinie na korytarz prowadzący do wielu kajut. Za drzwiami jednej z nich znaleźli Kohri.

Kobieta udała się do szkoły baletowej i wyglądała na zdeorientowaną. Najwyraźniej zapomniała o tym, że jej córka już nie uczęszcza na lekcje i chciała ją odebrać. Teraz gapiała się przez szybę na pozostałe dziewczynki, które tańczyły.

Darci była pod ich sporym wrażeniem. Zmieściły się w niedużej kajucie, miały piękne stroje, patrzyły wyłącznie na swoje odbicia w ogromnym lustrze i skupiały się na tańcu. Jedna z nich – mulatka z długimi, czarnymi włosami – radziła sobie szczególnie dobrze. Maszynie od jej piruetów i wyskoków spowolniły podzespoły.

– Kohri... – Rogan chciał chwycić małżonkę za ramię.

– Chciałam przyjść po Lanę, tak jak zawsze – tłumaczyła, hamując płacz. – Dobrze wiedzieć, że szkoła działa dalej bez niej.

– Owszem. Nie zmienia to jednak faktu, że nie powinnaś tu być. Musisz o niej zapomnieć.

– Ale...

– Żadnych „ale” – warknął Rogan. – To ci nie pomaga, wręcz przeciwnie.

– Można... – Robot próbował wtrącić się do rozmowy, ale mężczyzna zgromił go spojrzeniem.

– Darci. Dzieci i maszyny parowe głosu nie mają.

Wynalazca nie zamierzał tracić dłużej czasu. Pociągnął do siebie żonę i razem opuścili szkołę. Darci raz jeszcze obrzuciła błękitną diodą salkę wypełnioną baletnicami i niechętnie powlokła się za swoim stwórcą. Wrócili na górę.

Podczas wędrowki patrzyła na Kohri, starając się zrozumieć targające nią emocje. W odróżnieniu od męża, ona nie chciała zapomnieć o córce. W jej

umyśle utkwiał moment, gdy Lana umarła na jej oczach. Każda chwila z dnia codziennego przypominała jej o tym. Zapowiadane głośno występy szkoły baletowej z pewnością nie pomagały. Żalobę dodatkowo pogłębiały kondolencje nieustannie składane przez żony innych wynalazców. Dzisiaj było podobnie...

W pewnej chwili Rogana zaczęli dwaj mężczyźni, a ich żony podeszły do Kohri ze słowami otuchy. Nikt chwilowo nie interesował się Darci. Maszyna wykorzystała ten moment i powolnym krokiem ruszyła w stronę stoisk wynalazców.

Jeden z nich szczególnie ją zainteresował. Był robotem. Siedział na relingu i naoliwiał rozklekotaną nogę. Jego mechanizmy pokrywał zmatowiały pancerz w gołęzim kolorze. Obserwował wszystko za pomocą jednego oka, które znajdowało się z prawej strony jego głowy. Stylu robotowi dodawały... monokl i cylinder.

– Nie boisz się, że spadniesz? – spytała.

– A skądże, *madame*. Jestem robotem starej epoki technologicznej, nie takie rzeczy już mi się przytrafiały – odparł, śmiejąc się. Wstał z relingu i kuśtykając, dowlókł się do swojego stanowiska. Uchylił cylinder. – Nazywam się B.3. EN. D.3 YK wersja T, ale możesz mi mówić Benedykt.

– Ja jestem Darci. – Położyła dłoń na piersi. – Stworzył mnie...

– Rogan Morris. Od razu rozpoznałem sposób, w jaki umieścił zwoje i przekładnie w twoim ciele. – Utkwił wzrok w jej nagich przedramionach, odsłaniających wszelkie mechanizmy. – To prawdziwy *inventeur*, ale słyszałem, że ostatnio nie najlepiej mu się powodzi.

– To prawda. Zmarła mu córka. Od tego czasu wydaje się niezwykle sfrustrowany, nie potrafi usiedzieć w miejscu, chce o niej zapomnieć – tłumaczyła Darci.

– Ale mu to nie wychodzi? – Benedykt oparł się o beczkę i zerknął pytająco na rozmówczynię. Ta skinęła głową. – Tak myślałem. I chcesz mu pomóc?

– Bardzo.

– *Sil vous plaît*.

Robot schylił się i położył dłoń na plecach w taki sposób, jakby go rozboleł kręgosłup. Wyciągnął z beczki bukiet białych róż, które trzymał w szklanej butelce po jakimś mocnym trunku.

– Moja szefowa ostatnio wpadła w oko pewnemu mężczyźnie, ale olała go. Szkoda jednak, aby kwiaty, które od niego otrzymała, zmarnowały się.

– Czemu chcesz mi je oddać?

– Bo tamto dziecko zawsze podczas wycieczek po Lewiatanie wracało z jakimś podarunkiem dla swojej matki. Może to ich chociaż trochę uszczęśliwi.

– Mam taką nadzieję.

Darci wzięła ostrożnie butelkę. Zauważyła, że Benedykt wciąż grzebie

w beczce. W pewnym momencie w jego rękach pojawiła się czerwona skrzyneczka. Poprawił monokl i popatrzył na nią z uwagą.

– Co to?

– Mały podarunek. To taki zestaw pierwszej pomocy dla maszyn parowych, sam go stosuję. – Pokazał połatane ramię. – Jesteś świetnym robotem, ale nawet ty możesz czasem się zepsuć.

– To bardzo uprzejme z twojej strony, ale... nie mam czym zapłacić.

– *Nonsense!* – Benedykt machnął ręką. – Rogan poratował mnie kilka razy, gdy myślałem, że moje tłoki już nigdy nie zadziałają. Potraktuj to jako przysługę.

Darci wsunęła skrzynkę pod pachę. Kiwnęła głową w podzięcie. Zauważyła, że para skończyła rozmawiać z mieszkańcami i załogą. Szukali teraz wzrokiem zagubionej maszyny.

– Muszę już iść, ale... bardzo miło było cię poznać. Dziękuję za wszystko. Do zobaczenia.

– *Au revoir, madame.*

Robot odprowadził rozmówczynię wzrokiem, a następnie wrócił na reling i zajął się wkręcaniem śrubki w swoje kolano.

Darci znalazła się przed rodziną tak szybko, jak zniknęła. Wyciągnęła bukiet róż w stronę Kohri.

– To dla ciebie.

Kobieta była mocno zmieszana tym widokiem. Maszyna spodziewała się, że żona wynalazcy znowu wybuchnie płaczem, ale po prostu grzecznie skinęła głową i przyjęła podarunek, zaciągając się wonią kwiatów. Rogan popatrzył na maszynę chłodnym spojrzeniem.

– Nie powinnaś tego robić. Nie jesteś drugą Laną i nigdy nie będziesz – wycodził przez zęby.

– Chciała dobrze – zauważyła Kohri. Po jej minie Darci wywnioskowała, że choć ona również uznała ten gest za niestosowny, to cieszyła się, że maszyna chciała pomóc.

– To nie jest w jej przydziale obowiązków. Ma nam służyć pomocą fizyczną – odparł mężczyzna, po czym rzucił w jej ramiona ciężką torbę wypełnioną narzędziami. – To sprzęt, który otrzymałem od jednego z wynalazców. Zanieś go do kubryku.

Darci obróciła się na nodze i posłusznie udała się w stronę schodów prowadzących pod pokład. Dysze pozostawiały za nią siwe obłoki. Jej spuszczone ramiona i głowa sprawiały, że wyglądała na przygnębioną.

– Chyba była u tamtego dziadka, co gada po francusku – stwierdził Rogan.

– Najwyraźniej – odpowiedziała żona. – Nieźle ją zaprojektowałeś – dodała. – Jest odważna. Chodzi po pokładzie pełnym nieznanych ludzi, stara się nam pomóc.

– Nie chcemy pomocy – warknął mężczyzna. Puścił dłoń kobiety i samemu ruszył za maszyną. Zachowywał się jak tykająca bomba.

Kohri jeszcze chwilę stała na pokładzie. Przetarła wilgotne od łez policzki i popatrzyła na białe róże. Były naprawdę ładne. Starła się uśmiechnąć, ale jej wysuszone wargi nie potrafiły unieść się ani odrobinę.

Nie potrzebujemy pomocy, powtarzała w myślach. Nigdy nie usłyszała z ust męża większego kłamstwa.

Następnego dnia wszyscy zajęli się swoimi sprawami. Kohri po namowach męża udała się do skrzydła szpitalnego i wróciła do pracy. Rogan zniknął natomiast za drzwiami prowadzącymi do stowarzyszenia najwybitniejszych wynalazców. Oddelegował Darci do sprzątania warsztatu pod jego nieobecność. Maszyna pieczołowicie wytarła z kurzu wszelkie szafki i upewniła się, że klucze, trybiki i inne narzędzia są ustawione tak, aby nie jeździły po półkach w trakcie gwałtowniejszych skrętów Lewiatana.

Po zakończonej pracy robot nie wiedział, co ma z sobą począć. Darci zastanawiała się nad wczorajszym spotkaniem z Benedyktem, nad małżeństwem i nad ich córką. Ostatecznie myśl o tej ostatniej i ciekawość maszyny zwyciężyły. Postanowiła wślizgnąć się do kajuty Lany.

Choć wnętrze statku miało przypominać neogotycką architekturę, to pokój dziewczynki różnił się nieco od tego założenia. Przede wszystkim był mały. Bulaje pokryte były nietypowymi witrażami. Wnętrze urządzono białymi meblami, które na wszelki wypadek przybito do podłogi. Ich kolor kontrastował z fioletem na ścianach i szarością na podłodze. Łóżko Lany, umieszczone w centralnym punkcie pokoju, przypominało łożo księżniczki. Na puszystym materacu leżało kilkanaście poduszek, kołdrę przykrywała koronkowa narzuta, a całość wieńczył elegancki baldachim. Ktoś pokrył sufit kolorowymi obrazami. Typowy pokój dziesięciolatki...

Darci usiadła na łóżku, które okazało się tak wysokie, że jej zakończone dyskami nogi wisiały bezwładnie nad ziemią. Wodziła diodą po kajucie. Od razu zwróciła uwagę na dużą biblioteczkę, upchaną po brzegi oprawionymi w skórę książkami. Sięgnęła po jedną z nich.

To był album. Zawierał czarno-białe zdjęcia, przedstawiające czasy, gdy Lana jeszcze żyła. Rodzina uwieczniała wszystko za pomocą samowyzwalacza, który był wówczas nowinką techniczną i nie każdy mógł sobie na niego pozwolić. Znajdowało się tam mnóstwo obrazów. Wakacyjny pobyt w rezydencji Rogana. Wycieczka do muzeum. Córka bawiąca się z kotopodobną maszyną, którą na szybko zbudował jej tata. Szóste urodziny Lany.

Robot był pod wrażeniem tego wszystkiego. Mógłby stracić całe popołudnie na przeglądanie zdjęć, ale nagle do pokoju wtargnął znajomy mężczyzna.

– Co ty wyprawiasz?! – wykrzyknął Rogan. Zrzucił płaszcz i wyrwał jej album z rąk. Odgłos zatrzaśniętej okładki sprawił, że Darci podskoczyła.

– Przepraszam, nie mogłam sobie odmówić – odparła. – Czy mogę powiedzieć jedną rzecz?

– Mów – syknął.

– Byliście dobrą rodziną.

– Byliśmy...

– I nadal możecie być. – Tym razem to maszyna wchodziła w słowo wynalazcy. – Te zdjęcia. Wyglądaliście na nich na naprawdę szczęśliwych. Nie rozumiem wszystkich ludzkich uczuć, ale nie wiem, czemu nie możecie nadal być uśmiechnięci i pogodni? Czy śmierć to coś tak naprawdę wstrząsającego?

Rogan pokręcił głową. Założył ręce na piersi i oparł się o łukowatą futrynę. Westchnął.

– Śmierć zwykłego człowieka to jedno, ale obserwowanie umierającej córki to coś zupełnie innego. Widok jej pobladłych policzków, drżących palców i spoconego czoła jest nie do opisania. Patrzenie na cierpienie własnego dziecka zmienia rodzica, Darci – mówił z irytacją. – I masz rację: robot tego nie zrozumie.

– Dlatego starasz się uciec od swojej żałoby? Chcesz zapomnieć o własnym dziecku?

Frustracja w mężczyźnie rosła, a jego oczy przypominały teraz rozżarzone pochodnie.

– Można tak powiedzieć.

– Nie życzyłyby sobie tego. Była twoją córką przez wiele lat, a ty próbujesz tak po prostu ją porzucić. Nie tak postępuje wynalazca ze swoim dziełem ani rodzic z dzieckiem.

– Jak śmiesz mnie pouczać? – wycodził przez zęby, czerwieniąc się.

– Cóż, ja swoje wiem. – Wzruszyła ramionami.

– Nic nie wiesz, Darci. Myślisz, że mnie rozumiesz, choć nie masz pojęcia, jak to jest. Wymądrzasz się, próbujesz mi przemówić do rozsądku, ale to nie jest twoje zadanie. Masz dzwigać, sprzątać i...

Maszyna wstała z łóżka i wtrąciła się:

– I pomagać rodzinie Morris. To mój główny cel. Ale ja nie mogę patrzeć beczynnie na twoje cierpienie, Roganie.

Mężczyzna nie wytrzymał. Irytowała go, musiał ją uciszyć. Mówiła w sam punkt. Miała rację, że Lana nie zasługiwała na zapomnienie. Czy jednak jej ojciec potrafiłby dalej żyć z prześladowającym go wspomnieniem trumny zabieranej przez balon? Nie. Ogarnąłby go żal, tak samo jak Kohri. Bał się tego i nie mógł sobie na to pozwolić, czego Darci nie rozumiała.

W porywie gniewu skierował rękę w stronę otwartej piersi robota i wyrwał z niej dużą zębatkę. Maszyna runęła z hukiem na podłogę, dioda na jej głowie zgasła. Zszokowany Rogan zaś trzymał w rękach trybik, coś na wzór serca swojego najważniejszego dzieła. Właśnie pozbawił go Darci...

Nawet nie zauważył, gdy w drzwiach stanęła jego żona.

– Co ty robisz?! – zawołała wstrząśnięta. Potrząsnęła nim za ramiona. – Chcesz zniszczyć swoje największe dzieło?

– Jeśli będę musiał... – wydukał.

Kobieta czuła, że nie są to słowa Rogana, którego znała. Mężczyzna dbał o swoje wynalazki, był jednym z lepszych inżynierów na całym okręcie. Jego nieobecne spojrzenie i mocno zaciśnięte palce na zębatce nie dawały jej jednak żadnych nadziei.

Odebrała mężowi trybik, a następnie wcisnęła go w ciało robota. Razem z partnerem stała przez kilka chwil nad maszyną, której mechanizmy wreszcie zadziały. Dioda Darci zamrugała, a ona sama już po niespełna minucie wstała z podłogi. Była trochę obita.

– Chodź – poprosiła robota kobieta. – Liczyłam na to, że wrócę do kajuty po dyżurze i znajdę tu odrobinę spokoju, ale lepiej będzie, jeśli zostanę na sterburcie. Tobie też to radzę.

Rzuciła jeszcze jedno wymowne spojrzenie w stronę partnera i wyszła. Darci dotknęła swojej piersi. Chyba jeszcze nie wszystko do niej docierało.

– Przepraszam. – Dygnęła przed stwórcą i opuściła pokój.

Rogan został sam. Długo stał beczynn timer. Patrzył na białe-fioletowe drzwiczki, za którymi zniknęły Kohri i maszyna. W pewnym momencie padł na łóżko, gapiąc się bez celu na sufit.

Ściana była pokryta malunkiem, ale nie przypominał on fresków, charakterystycznych dla obecnej epoki. Nad wynalazcą rozciągała się podobizna córki, ujeżdżająca powóz mechanicznych koni pośród chmur na tle fioletowego nieba. Sam to stworzył. Zrobił to na jej życzenie. Było to jedno z świadectw jego miłości do dziecka.

Miał dziwne wrażenie, że malutka Lana była smutna. Patrzyła na niego z dezaprobatą i niedowierzaniem, bo pozbawił swój najważniejszy twór tego, co utraciła nieubłagane jego córka.

Serce.

– Córciu – wymamrotał załamany. Przełknął ślinę, która zastygła mu w gardle jak kamień. – Co ja najlepszego uczyniłem...

Skrzydło medyczne było jednym z nielicznych miejsc na Lewiatanie, gdzie

panował spokój. Wnętrze zlokalizowanej pod sterburtą sali było pomalowane na biało, zostało ponadto przedzielone drewnianymi parawanami. Sala musiała być dobrze zaopatrzona z racji tego, że następne zejście na ziemię – a zatem możliwość skorzystania z prawdziwych szpitali – miało nastąpić dopiero za kilka dni. W związku tym było tu wszystko: wiele leków (na czele z niedawno wynalezioną aspiryną), aparatura, odczynniki chemiczne i nawet pierwsze stetoskopy.

Kohri lubiła swoją pracę. Jej czar przysł jednak po śmierci Lany i uświadomieniu sobie swojej bezradności. Lekarz, który nie potrafił uratować najważniejszego w swoim życiu pacjenta. Z całą pewnością nie brzmiało to krzepiąco.

Sytuacja pogorszyła się, gdy kolejna osoba potrzebująca pomocy pojawiła się w sali. Kobiętę od papierkowej roboty wyrwało ciche łkania dziewczyny, którą przyniesiono na noszach. Miała ciemną skórę i długie, spływające czarnymi kaskadami włosy. Jej prawa kostka była spuchnięta.

– Strasznie boli – powiedziała, zaciskając zęby z bólu.

– Zaraz się tym zajmimy. Siostra przygotowuje komplet badań – zapewniła Kohri.

Ów siostra okazała się robotem. Maszyna poruszała się na gąsienicach. Sięgała kobiecie do pasa. Jej charakterystyczną cechą był znak czerwonego krzyża i wbudowany w tors monitor do pomiaru parametrów życiowych pacjenta. Na plecach siostry majaczyły kilkanaście światełek, kontrolki i termometr.

Robot zajął się badaniami, a kobieta przez cały czas doglądała dziewczynki. Przypominała jej nieco Lanę. Wiedziała również, że podobnie jak córka, ona też ćwiczyła w szkole baletowej. Tym bardziej smutne było dla niej to, jak złą wiadomość musiała jej przekazać.

– Masz skręconą kostkę – oznajmiła.

– Upadłam na parkiet podczas treningu. To na pewno nie mogło skończyć się aż tak źle. – Spróbowała wstać, ale gdy położyła gołą stopę na podłodze, z bólu zadrżało całe jej ciało.

– A jednak skończyło się. Obawiam się, że szybko nie zobaczysz się z parkietem.

– Ale ja mam jutro występ! – zachnęła się dziewczynka. – Muszę być na nim obecna.

– Przykro mi, ale nie. Nie puszczę cię. Albo występ, albo kostka.

Kohri krajało się serce, gdy musiała patrzeć na grymas baletnicy, który momentalnie przerodził się w ciche łkanie. Z jej oczu uciekła wszelka determinacja. Opadła na leżankę. Kobieta wiedziała, że chwilowo nie może jej już bardziej pomóc, dlatego wyszła ze skrzydła medycznego na zewnątrz, aby zaczerpnąć świeżego powietrza.

Lewiatan jak zwykle tętnił życiem. Załoganci gonili chłopca, który puszczał latawiec na pokładzie, co było niebezpieczne (mógł zaplątać się w olinowanie

masztu) i surowo zakazane. Jakiś wynalazca postanowił się zabawić w iluzjonistę i sztuczkami zwabił do siebie całą rzeszę obserwujących. Robot, który potrafił grać na wiolonczeli, zwrócił uwagę bosmana, wysoko ceniącego muzykę klasyczną. Każdy był zajęty swoimi sprawami.

Kobieta zaczerpnęła powietrza, a zaraz potem... wyciągnęła cygaro. Robiła to często podczas przerw w pracy.

Damie nie przystoi takie zachowanie, karciła ją córka w myślach.

– Damie nie przystoi takie zachowanie – wyrwała Kohri z transu Darci. Potem spytała: – Czy stało się coś na tyle poważnego, że nie widzisz innej opcji, jak tylko zamienienie swoich płuc w czarny jak smoła worek?

Kobieta odpowiedziała westchnieniem.

– Przyszła do mnie młoda dziewczyna, ta z ciemną karnacją. Ma jutro występ baletowy, ale nie może wystąpić. Skręciła kostkę – odparła. Oparła dłonie o reling, patrząc wraz z maszyną na mknące nad nimi chmury.

– ...naprawdę? – mruknęła. – Ale ona była świetną tancerką! Szkoła nie może bez niej wystąpić.

– Znajdą kogoś innego.

Darci opuściła głowę. Najpierw patrzyła na goniące ich obłoki, a potem zatrzymała wzrok na dłoni lekarki trzymającej cygaro. Pokręciła głową z dezaprobatą.

– Kohri, wiadomo, że nikt nie wypełni dokładnie miejsca, które Lana zajmowała w twoim sercu, ale coś może pozwolić ci żyć dalej, normalniej, lepiej. Powinnaś skupić się na czymś, znaleźć cel albo kogoś, kto nada nowy sens kolejnemu dniu.

Kobieta nie odpowiedziała. Każde wspomnienie o córce sprawiało, że chciało jej się płakać. Wiedziała, że nie jest z nią dobrze, potrafiła to dostrzec – nie tak, jak jej mąż.

– Jesteś wyjątkowo mądrym robotem, Darci – przyznała. – Obawiam się jednak, że to nie takie proste. Nie rozumiesz nas we wszystkim.

– Tak jak wy mnie.

– Że co?

– Powiem ci coś. – Splotła poobijane ramiona na piersi. – Maszyny mają przewagę nad ludźmi. Po pierwsze: nie myślą o przeszłości, skupiają się wyłącznie na danej chwili i przydzielonym im zadaniu. A po drugie: nie pozwalamy, aby teraźniejszość niszczyła naszą przyszłość. Nie płaczymy, nie zgrzytamy zębami, gdy coś nam nie wychodzi. Każdy z nas ma jakiś cel. W jego osiągnięciu nie przeszkadzają nam wypadające koła zębate, spalone obwody czy zużyte łożyska.

Kohri analizowała każde jej słowo ze skupieniem, czasami kiwała głową. W pewnym momencie wypuściła powietrze z ust. Maszyna miała całkowitą rację.

Po raz pierwszy uśmiechnęła się od kilku tygodni. Schowała cygaro.

– Dziękuję – rzekła. W jej oczach zagościły łzy, odczuwała wzruszenie i radość.

– Proszę uprzejmie. To mój cel: pomoc rodzinie Morris. – Darci klepnęła się dumnie po piersi. – Do tego mnie stworzył Rogan. I teraz, jeśli pozwolisz, udam się do kogoś, kto pomoże mi was wspierać jeszcze bardziej.

– Do mojego męża?

– Nie, to zrobisz ty. – Pokazała na nią palcem. – Ja pójdę do Benedykta. Ktoś musi mnie połączyć, jednocześnie nie próbując mnie jeszcze bardziej zepsuć.

Złapała mocno kobietę za dłonie i spojrzała diodą w jej zaszkłone oczy. Potrząsnęła rękoma Kohri, a potem odwróciła się do niej plecami. Odeszła.

Gdyby Darci była człowiekiem, pewnie teraz rozpierałaby ją pozytywna energia. Chciała się cieszyć, ale ostatecznie odnotowała jedynie, że jej zębatki zaczęły poruszać się jeszcze szybciej. Zaskoczyło ją to. Niektóre z jej mechanizmów były w opłakanym stanie.

Benedykta znalazła na dziedzińcu. Wciąż miał na sobie ten sam kapelusz i monokl, który aktualnie pucował.

– *Oh mon dieu!* – zawołał na widok Darci. – Kto cię tak pokiereszował?

– Mniejsza o to, potrzebuję twojej pomocy. Mam zestaw, który mi dałeś. – Pokazała trzymaną w ręce skrzynkę. – Ale sama nie zdążę szybko naprawić wszystkich obwodów. Czas mnie nagli. Pomożesz?

Benedykt podrapał się po głowie. Kiwnął głową.

– Pójdziesz za mną, *mademoiselle*.

Razem ruszyli pod pokład. Robot spieszył się – nie chciał, aby szefowa przyłapała go na tym, że nie pilnuje stanowiska. Pęk kluczy płatał mu się w dłoniach. Po chwili udało im się jednak wejść do środka.

Kajutę Benedykta dałoby się określić mianem schowka. W ciasnym pomieszczeniu z pojedynczym bulajem znajdowały się rzędy zabałaganionych regałów, pełnych prowizorycznych mechanizmów i sprzętu, którym naprawiał samego siebie. Dbał jedynie o kolekcję cylindrów, powieszonych na podłużnym wieszaku jak trofea.

Darci na zagraconych półkach zauważyła puszkę z zaschniętą, białą farbą. Zeskrobała jej odrobinę na palec. To sprawiło, że na jej diodzie zagościł błysk. Odwróciła się, zerkając tajemniczo na gospodarza.

– Mogę cię prosić o jeszcze jedno?

– Owszem. Mam nadzieję, że...

– Do rzeczy, Benedykcie. Masz gdzieś stare taśmy, na których pokazane jest, jak ktoś tańczy balet?

Kohri czuwała przy dziewczynie ze skręconą kostką jeszcze godzinę. Zadbala o to, aby wyzdrowiała jak najszybciej. Posłała jej łagodny uśmiech, a następnie opuściła skrzydło medyczne, udając się do swojej kajuty.

Rogana zastała w warsztacie. Siedział przy stole i wyglądał na wstrząśniętego. Podniósł wzrok po usłyszeniu kroków żony.

– Kohri, posłuchaj... – wydukał niepewnym głosem.

– Nie musisz nic mówić – odparła. Usiadła na blacie stołu i pogładziła go po szorstkim policzku. – Wiem już wszystko.

– To znaczy?

– Darci otworzyła mi oczy. Zrozumiałam, że nie możemy roztrząsać śmierci córki w nieskończoność. Owszem, jej brak będzie nam doskwierać długo, ale wkrótce będziemy musieli zacząć żyć normalnie. Tak samo nie możemy udawać, że wszystko jest w porządku, że Lana wcale nie umarła. A tak robisz ty. – Dotknęła palcem jego klatki piersiowej.

Wynalazca pogładził dłonią podbródek i zmrużył powieki. Słowa jego żony miały sens, nawet jeśli pochodziły od Darci. Rogan pod ich nieobecność dużo rozmyślał nad swoim zachowaniem. Zrozumiał, że musi znaleźć równowagę pomiędzy opłakiwaniem córki a próbą normalnego życia. Nie mógł skupiać się na pracy, wpadać w złość i starać się zapomnieć widoku trumny, którą zabrał balon. Różnił się znacząco od Kohri, lecz kochał ją za to, że ich przeciwieństwa się przyciągały i zawsze dawali sobie radę. Jeśli coś miało być testem ich miłości, to właśnie odejście Lany.

– Poradźmy sobie – stwierdził z dziwną ulgą. Wstał i pocałował partnerkę w policzek. – Jak zawsze.

– Jak zawsze. – Zarumieniła się kobieta. – Powiedz, czy Darci wróciła pod moją nieobecność?

Pokręcił głową.

– Dziwne. Lepiej jej poszukać.

Nie czekając na męża, udała się po płaszcz. Mężczyzna szybko do niej dobiegł, pomógł się ubrać i złapał za rękę. Tym razem nie uczynił tego jednak w sposób zaborczy, ale czuły i delikatny. Od dawna już tego nie robił.

Wyszli na pokład. Zwykle Lewiatan wieczorową porą był oświetlany lampami naftowymi, ale dziś ich miejsca zajęły kolorowe lampiony. Serpentina białych i różowych tkanin biegła wzdłuż relingów. Wszyscy mieszkańcy i załoganci zgromadzili się w jednym miejscu, tworząc skupisko kolorowych kropek. Zaciekawiona para udała się w ich stronę.

W jednej chwili zrozumieli wszystko. Gapie obserwowali występ szkoły baletowej. Dziewczęta odziane w piękne stroje tańczyły na pokładzie, płynnie

przechodząc od jednej pozycji do drugiej. Wiatr rozwiewał ich mlecznobiałe tutu, a gra zachodzącego słońca i lampionów dodawała klimatu ich sztuce. Były idealnie zsynchronizowane i poruszały się z gracją, wywołując podziw na twarzach zgromadzonych.

Parze udało się przedrzeć przez gromadę ludzi. Akurat gdy się zjawili, jeszcze jedna tancerka dołączyła do występu.

– Darci... – Rogan wytrzeszczył oczy.

Maszyna parowa zdecydowała się pomóc szkole. Zastąpiła poszkodowaną ciemnoskórą baletnicę. Wyglądała inaczej. Była odnowiona. Jej nudny, miedziany pancerz lśnił świeżą, białą farbą. Blacha wokół jej nóg i bioder znacznie rozszerzyła się, tworząc coś na wzór tutu. Jednocześnie nowa obudowa odsłoniła kolorowe kable, dysze magazynujące parę i wszystkie zębatki. Choć nie miała stóp, to dorównywała swoimi ruchami prawdziwym baletnicom. Oparła ciężar swojego ciała na srebrnych dyszach. Była piękna, lekka i zwiewna. Niewiarygodne, ale dorównywała Lanie.

Kohri była zszokowana, podobnie zresztą jak pozostali widzowie i siedzący na uboczu Benedykt, który klaskał tak mocno, że nadgarstki wypadły mu z zawiasów. Myślała, że przewróci się z wrażenia, widząc poruszające się i gwałtownie hamujące tłoki w ciele Darci, zachowujące się niczym mięśnie i ścięgna prawdziwego człowieka. Maszyna robiła jeden piruet za drugim. Wypuszczała siwe obłoczki przy podskokach, a pozostałe baletnice rzucały w opary białe płatki kwiatów, powoli opadające na pokład. Wyglądało to po prostu magicznie.

Rogan objął żonę ramieniem. Kobieta poczuła utkwioną w sobie znajomą diodę, która się w nią wpatrywała.

– Pamięć o Lanie nie przeminie – powiedziała do Rogana, nie spuszczać wzroku z tańczącego robota. Poczuła się bezpiecznie.

– Owszem, ale będziemy żyć nadal. – Położył podbródek na jej barku. – Nic nas nie zatrzyma. Tak samo jak Darci.

Krzysztof Gola

Dwudziestolatek z Lublina, obecnie studiuje na II roku prawa. Jego zainteresowania obejmują szeroko pojętą fantastykę. Z zamiłowaniem kolekcjonuje figurki akcji. Lubi sport - posiada czarny pas taekwondo. Pisanem zajmuje się od dwóch lat, głównie tworzy teksty fan fiction i low fantasy. Na łamach magazynu debiutował w numerze poświęconym fantastycznym zwierzątom.

Na końcu języka

Weronika Kossowska

Codziennie przyglądam się ludziom, którzy zebrali nas w tej zimnej hali. Noszą białe kitle i wydają się nieco zestresowani. My jesteśmy poranieni, mamy doczepione potężne metalowe kończyny i mierzymy prawie dwa metry. Mimo iż wydają się od nas słabsi, to oni są tu u władzy. Zastanawiam się, jak to było, kiedy miałam własne ręce i nogi. Nic z tego nie pamiętam.

Od połowy moich ramion i tuż nad kolanami zaczynają się ciężkie metalowe protezy. Ściągam je do spania, więc moja bezbronność dociera do mnie głównie, gdy budzę się w nocy z koszmarnych snów. Ich założenie trwa zaledwie minutę, ale i tak czuję się niekompletna. Straciłam pamięć, ale ciało w jakiś sposób tęskni. Wraca do mnie czasem mgliste uczucie przejeżdżania palcem po kartkach papieru. Wydaje mi się, że musiałam kiedyś sporo czytać – czasem przychodzą mi na myśl różne fakty, jednak bez informacji, kiedy i gdzie mogłam się o nich dowiedzieć.

Pewnego dnia obudziłam się tutaj, w zupełnie obcym miejscu, nie wiedząc, kim jestem ani co tutaj robię. Nie mogłam wstać ani się ruszyć, spojrzałam na swoje ręce i spanikowałam, ponieważ zobaczyłam jedynie kikuty, obleczone jakimś beżowym materiałem. Wystawały z nich metalowe pręty z uchwytyami. Zaczęłam krzyczeć, aż w końcu ktoś przyszedł i przyczepił do nich ciężkie metalowe kończyny. Zignorowano jednak moje pytania i kazano wstać. Na początku nie za bardzo mi się udawało, ciążyły mi ręce, trudno było utrzymać się na nogach. Nie byłam przyzwyczajona do mojego nowego wzrostu. Metalowe kończyny przypominały raczej fragmenty szkieletu: połączone ze sobą mechanizmami wygięte pręty, jedna z wypisanym numerem seryjnym. Ktoś mi potem powiedział, że to jest mój numer.

– Oczywiście, numer – powiedziałam, bo mgliście wiedziałam, że ktoś gdzieś kiedyś już tak robił, więził ludzi i nadawał im numery zamiast imion, ale nie przypominałam sobie żadnych szczegółów.

Gdy nauczyłam się już chodzić, rozpoczęły się wykłady i ćwiczenia. Powiedziano nam, że jesteśmy z kraju, którego nazwy nam nie zdradzą ze

względów bezpieczeństwa. Wymazali nam pamięć, żebyśmy nie byli już ofiarami naszej agresywnej natury, a znajome nazwy mogłyby ją niepotrzebnie przywrócić wraz z wspomnieniami. Podobno byliśmy żołnierzami i uczestniczyliśmy w bezprawnym ataku, który pochłonął masę istnień w ich kraju. My przeżyliśmy, jednak w dużym stopniu okaleczeni, a oni nam pomogli, dali nowe kończyny. Teraz możemy im zadośćuczynić za wyrządzone zbrodnie, wykonując różne prace, a może któregoś dnia dostaniemy bardziej komfortowe protezy, domy i będziemy mogli zacząć nowe życie. Kiedy? Nie sprecyzowali.

Ćwiczyliśmy, jak naszymi obcymi częściami wykonywać różne czynności. Na początku wszystko tłułam. Moje metalowe dłonie były złożone z elementów obłożonych miękką skórą. Wszystkie kobiety takie miały, zaś ręce mężczyzn były całkowicie metalowe, kompletnie nie nadawały się do żadnej delikatniejszej roboty. Nie musieli ćwiczyć tak długo jak my i szybko znikali, przydzieleni do fizycznych prac.

– Wy jesteście najgorsze – powiedział nam jeden z trenerów. – Zakłóciłyście swoją pacyfistyczną, kobiecą naturę i poszłyście na front. Zapewne, jak to kobiety z tamtego kraju, notorycznie przerywałyście ciężę i topiłyście niemowlęta.

Może jeszcze je jadłyśmy, miałam ochotę powiedzieć, ale milczałam.

– Nie sądzę – odezwała się jedna z nas. – Nie pobudza to w żaden sposób moich wspomnień, więc to nie może być prawda.

Dziewczyny nie ukarano przy nas, jednak w pewnym momencie po prostu zniknęła i wszyscy to zauważyli. Nie można było nawet o nią spytać, w końcu nie miała żadnego imienia.

Wiele osób się buntowało. Żelastwo służące nam za kończyny mogło wyrządzić sporą krzywdę, z czego każdy z nas zdawał sobie sprawę. Jednak i na to mieli sposób: w każdym pokoju stały urządzenia o różnych rozmiarach, przypominające metalowe pudła z kilkoma przełącznikami. Wystarczyło, żeby chociaż przypadkiem jedna osoba zrobiła coś, co nasi trenerzy uznają za niebezpieczne, by protezy blokowały się i odłączały, a my spadaliśmy na ziemię jak odcięte kukiełki. W końcu wszelcy prowodyrzy dawali sobie spokój, nikt nie chciał stać się powodem bólu innych.

Któregoś dnia zamiast skierować mnie do sali ćwiczeń, wpakowali mnie i jeszcze innego mężczyznę do wielkiego samochodu. Widocznie uznali, że jestem już gotowa na pracę. Nie wiedzieć czemu, spodziewałam się jakiegoś egzaminu. Gdy jechaliśmy, wyglądałam przez okno, jednak nic nie wydawało mi się znajome. Mijaliśmy najpierw zapuszczone nieużytki, a potem wielkie fabryki. Kiedy wjechaliśmy do miasta, mogłam oglądać żelazne ogrodzenia,

witryny sklepowe oraz wysokie kamienice z szarego kamienia. To było zwykłe miasto pełne dymu, pod kopułą szarobrazowych chmur.

Zatrzymaliśmy się pod budynkiem przypominającym placówkę naukową. Zdziwiłam się i muszę przyznać, że trochę się przestraszyłam. Sądziłam, że będę raczej domową służącą. Ostatnim, czego pragnęłam, było przebywanie w pobliżu laboratoriów. Szybko się jednak dowiedziałam, że mimo iż to miejsce faktycznie pełni taką funkcję, jest jednocześnie domem dla pięciu rodzin naukowców. Mój towarzysz został poprowadzony w stronę zejścia do piwnic. Obejrzał się w moją stronę, a ja pożegnałam się z nim ruchem głowy. Nie spodziewałam się widywać go zbyt często. Zarówno jego, jak i mnie otaczali strażnicy. Mieli ze sobą małe urządzenie mogące mnie w każdej chwili odłączyć. Nie wiem, po co je wzięli, skoro w budynku stały niemal na każdym rogu. Możliwe, że obawiali się, że coś zrobię w windzie. Łypali na mnie podejrzliwym spojrzeniem. Musiałam przyznać, że ten ich przestach był nawet śmieszny.

Gdy dojechaliśmy na piąte piętro, przekazali mnie zmęczonej, brązowowłosej kobiecie w białym kitlu. Wyglądała, jakby dobiegała czterdziestki. Strażnicy niemal natychmiast się ulotnili i zostałam z nią sam na sam. Wydawała się nie czuć komfortowo w mojej obecności. Żadna z nas nie chciała zacząć rozmowy.

– Nie stój tak – powiedziała wreszcie, zadzierając głowę. – Usiądź, proszę.

To nie było łatwym zadaniem, jednak musiałam spełniać jej polecenia. Wybrałam sobie drewniane krzesło i na nim usiadłam. Było dla mnie stanowczo zbyt niskie – metalowe kolana miałam na wysokości klatki piersiowej, a moje ręce niemal kładły się na podłodze. Kobieta zrobiła zbolalą minę.

– Co za paskudna robota – powiedziała. Nic na to nie odpowiedziałam.

– Nazywam się Charlotte Cooper – przedstawiła się, patrząc na moją twarz, jakby oczekiwała jakiejś reakcji.

– Ja nie mam imienia. Mam numer – odpowiedziałam, zgadując, że chciała, abym również się przedstawiła.

– Tak, wiem, ale nie będę się tak do ciebie zwracać. Wybierzesz sobie jakieś imię.

Nie wiedziałam, czemu to ma dla niej takie znaczenie.

– Będziesz opiekować się moim synem, Aidenem – dodała po chwili.

– Jest pani pewna? – spytałam, unosząc ku niej swoje dłonie, miękkie i obleczone skórą, ale mogące też bez problemu zgnieść arbut.

– Nie będziesz musiała go dotykać – odparła. – Samodzielnie je i się ubiera, chodzi mi o coś innego. Chodź, przedstawię ci go.

– Dobrze, proszę pani – odparłam. Zamierzałam być posłuszna, nawet jeśli nie do końca wierzyłam w te obietnice normalnego życia, jakie mogli nam zapewnić.

Zaprowadziła mnie do bawialni. Na podłodze siedział ciemnowłosy chłopiec,



Creativomom – pixabay.com

całkowicie skupiony na układaniu w rzędzie ołowianych żołnierzyków.

– Ma osiem lat – wyjaśniła. – Jeszcze nie zaczął mówić i nie za bardzo lubi ludzi. Chciałabym mieć dla niego więcej czasu, ale muszę pracować.

Westchnęła ciężko. Nie odezwałam się. Chłopiec był ubrany w brązowy sweterek, ciemne spodnie i koszulę. Stopy miał bosc i chyba nikt nie uczesał mu tego dnia włosów, bo sterczały na wszystkie strony.

– Codziennie rano zostawiam mu coś do ubrania, a nasza kucharka przynosi posiłki – powiedziała kobieta. – Od ciebie chcę, żebyś mu towarzyszyła i czasem coś do niego mówiła. Może to go otworzy, nie wiem.

Patrzyliśmy na niego. Chłopiec nawet nie spojrzał w naszą stronę, od kiedy weszliśmy do pokoju.

– Mam jeszcze dwie córki – powiedziała. – Z nimi udało mi się nawiązać porozumienie. Z nim nie.

Brzmiała jak osoba, która jest bardzo zraniona, ale nie chce tego okazać.

– Zajmiesz się nim? – spytała.

– Oczywiście – odpowiedziałam, jakbym miała w ogóle jakiś wybór. Charlotte wyszła, a ja próbowałam usiąść obok Aiden na podłodze. Podniósł wzrok znad żołnierzyków i spojrzał na mnie szeroko otwartymi oczami. Musiał go przerazić huk tego żelastwa.

– Jestem... – zaczęłam. Czasem próbowałam się przedstawić do lustra i miałam wrażenie, że moje usta siłą przyzwyczajenia wypowiedzą moje imię, jakbym miała je na końcu języka, ale nigdy mi się to nie udało, teraz też nie. – Przybywam w pokoju. Pokażesz mi swoje żołnierzyki?

Nie byłam pewna, co się właściwie mówi do dzieci. Chłopiec patrzył na mnie przez chwilę, a potem bez słowa wrócił do układania.

Czy moje poprzednie życie też było takie jednostajne? Zapewne nie. Placówka, w której się obudziłam, musiała działać według jakiejś rutyny, jednak tutaj była ona wręcz święta. Aidenowi trzeba było podać dokładnie to, czego chciał o odpowiedniej porze, inaczej krzyczał i rzucał się po podłodze. Początkowo nie wiedziałam, co robić, ale w pewnym momencie nauczyłam się, co go drażni i jak tego unikać. Powoli też nauczyłam się funkcjonować z moimi kończynami. Charlotte dała mi jedną dodatkową, w formie krótkiego chwytaka, którą mogłam zakładać na noc, by móc po coś sięgnąć z łóżka. Nauczyła mnie również je oliwić, inaczej szybko zaczynały skrzypieć. Nie można było tego zaniedbać ani wystawiać ich na wilgoć, ponieważ mogły zacząć rdzewieć.

Nie spotkało mnie tu jeszcze nic złego, jednak mimo to czułam się, jakbym miała stracić zmysły. Od wielu dni nie opuściłam tego budynku, a nawet tego piętra. Czas spędzałam głównie w bawialni, swoim pokoju i małej jadalni, gdzie tylko ja i Aiden jadaliśmy posiłki. Jedzenie było w porządku, jednak czegoś mi w nim brakuje. Prawdopodobnie posiłki w kraju, którego nazwy nie wolno mi pamiętać, były inne.

Czasem, gdy nikt nie patrzy, stoję w korytarzu przy wielkim oknie i spoglądam na świat. Przyglądam się fabrykom wypuszczającym parę i dym, pędzącym automobilom i rowerom. Nie ma tu ptaków, niewiele jest też rosnących na zewnątrz roślin, zazwyczaj zamknięte są w szklarniach i marnych ogrodach. Możliwe, że powodem mojego złego samopoczucia jest szum maszyn w laboratorium i niemal całkowity brak ludzkiego głosu. Nie ma tu żadnego odbiornika radiowego. Pamiętam je mgliście, bo były w miejscu, w którym się obudziłam, ale z jakiegoś powodu szybko je usunęli. Czasem słyszę dzwonek telefonu czy szum telegrafu, jednak nie wolno mi wtedy

wchodzić do danego pokoju. Nie znalazłam nigdzie żadnego adaptera ani płyt winylowych. Aiden nie mówi, a Charlotte rzadko widuję. Nie żebym jakoś mocno pragnęła jej towarzystwa, ale po wielu dniach braku rozmowy ma się ochotę zacząć jakakolwiek.

Niewiele też mogę robić w wolnym czasie. Jest w budynku biblioteka, ale nie wolno mi z niej korzystać. Biblioteczka w bawialni, w której zwykle siedzi Aiden, jest wypełniona książeczkami dla dzieci oraz naukowymi pozycjami o dzieciach. Mogę jeszcze wchodzić do pokoju Aiden, który jest pełen ołowianych żołnierzyków, samolocików z cienkiego winylu i starych drewnianych zabawek. Nie udało mi się zainteresować chłopca książeczkami. Myślałam, że nie umie czytać ani pisać, jednak zaczęłam znajdować w jego pokoju kartki wypełnione koślawymi literkami i rysunkami. Pisał historie o swoich żołnierzach. Nie były zbyt skomplikowane. Musiał słyszeć podobne w radiu, może kiedyś stało w jego pokoju.

Gdy nikt nie patrzył, niski żołnierz z Bremy wypadł z okopu i rzucił się na oddział z najwspanialszego kraju, jakim jest Alverton. Udało mu się zabić trzech dzielnych żołnierzy, nim został zgładzony. Ci nikczemni żołnierze Bremy...

Odłożyłam kartkę na podłogę i wsunęłam ją pod łóżko. Nazwa wypełniła moją głowę, poczułam, że palą mnie policzki. Czy byłam kiedyś patriotką? Nie miałam pewności, ale do tego momentu nie wiedziałam o sobie nic, a teraz wiedziałam, że byłam z Bremy.

– Brema. Jestem z Bremy – powiedziałam do siebie i wyszłam z pokoju, gdzie Aiden tym razem segregował kolorami drewniane klocki.

Wcześniej większość moich snów było raczej ciemnych i bez znaczenia, ale od kiedy zobaczyłam słowo „Brema”, zaczęły nabierać kształtów. Pojawiały się w nich znajome miejsca i przedmioty, nagle pamiętałam, jak wyglądało moje łóżko, małe biurko, jakie czytałam książki. Często bywałam w wielkim budynku z piękną biblioteką oraz salami wykładowymi. Byłam studentką? A może pracowałam na uniwersytecie? W innym śnie ktoś mnie wołał, nie słyszałam imienia, ale po prostu czułam, że ktoś je wypowiada.

– Już idę, mamol! – odpowiedziałam i weszłam do jadalni. Zobaczyłam dwie osoby przy stole, starszą kobietę i dziecko. Obie bez twarzy.

Obudziłam się złana potem. Musiałam się przejść. Przyłączyłam protezy i ubrałam się w swoje codzienne ubranie. Dostałam kilka zestawów ubrań, gdy tu przybyłam. Były to głównie ciemne sukienki, kraciaste koszule z szerokimi

rękawami oraz bardzo długie spódnice. Wszystkie te ubrania były dostosowane tak, abym nie wyglądała aż tak przerażająco. Wysłałam ze swojej sypialni i posłałam długim korytarzem do windy. Nikt mi w sumie nie powiedział wprost, że mam z niej nie korzystać. Musiałam się garbić, kiedy zjeżdżałam na sam dół, gdzie, jak wierzyłam, było miejsce pracy mężczyzny, z którym tu przyjechałam. Była czwarta nad ranem, a mój wcześniejszy towarzysz już pracował. Przerzucał skrzynie.

– Cześć – powiedziałam, a on spojrzał na mnie zaskoczony.

– Co ty tutaj robisz?

– Musiałam się przejść – powiedziałam i rozejrzałam się. – Ktoś cię obserwuje? Możesz sobie zrobić przerwę?

– W tym momencie nikt – odparł. – Jasne. Może chcesz zapalić? Ukradłem to portierowi.

Poczęstowałam się. Widziałam wcześniej, jak Charlotte pali i próbowałam ją naśladować. Dym w płucach był jakby znajomy, jednak po dwóch zaciągnięciach zaczęłam kaszleć.

– Chyba za długo trzymasz go w płucach – powiedział.

– Pewnie tak.

Usiedliśmy na wysokiej skrzyni, dzięki czemu nasze długie nogi mogły swobodnie zwisać. Łatwiej było mi trzymać papierosa niż jemu, musiał wkładać dużo wysiłku, by go nie zgnieść, ale jednocześnie nie wypuścić z dłoni.

– Myślisz, że mogliśmy się znać w poprzednim życiu? – spytał.

– Chyba nie – powiedziałam. – Jakie jest prawdopodobieństwo, że trafilibyśmy akurat do jednego miejsca? Myślisz, że by na to pozwolił?

– Pewnie niewielkie – powiedział. – Jeśli chodzi o nich, to już nie wiedzą, kim jesteśmy.

– Tak?

– Jeden z nich mi kiedyś powiedział, że mieliśmy nieśmiertelniki. Stopili je. Spalili dokumenty.

Zastanawiałam się, czy powinnam mu powiedzieć, co wiem. W końcu nachyliłam się do niego, a on chyba myślał, że chcę go pocałować. Nasze wargi zetknęły się na moment, a potem rozłączyły.

– To było miłe, ale chciałam ci coś powiedzieć. – szepnęłam.

– Co takiego?

– Opiekuję się dzieckiem na górze. Nie mówi, ale zapisuje historie na karteczkach. O żołnierzach. Wymienił nazwy dwóch krajów.

Zobaczyłam jak rozszerzają mu się źrenice.

– My jesteśmy w Alvertonie – powiedziałam. – A wymienił jeszcze Bremę.

– Brema. O cholera. – Odsunął się ode mnie. – Brema! Tak! To brzmi znajomo.

– Ciszej, nie tak głośno. Nie mogą się dowiedzieć, że wiemy!

Natychmiast zamilkł. Zaciągnął się papierosem, a potem powoli wypuścił z ust dym.

– Dziękuję, że mi o tym powiedziałaś – powiedział cicho.

Wróciłam na górę tak cicho, jak się tylko dało, jednak wpadłam na Charlotte. Przeraziłam się, że teraz będę miała kłopoty, jednak ona nie wydawała się zła.

– Wszystko w porządku? Nie możesz spać?

– A pani? – spytałam, a ona się zaśmiała.

– Odpowiadasz pytaniem na pytanie jak moja córka – prychnęła. – Chodź do laboratorium. Przyda mi się przerwa.

Poszłam za nią niechętnie. Pomieszczenie było duże i pomalowane na żółtawą biel. Na stołach wały się papiery i nieznane mi metalowe części. Od razu zwróciłam na nie uwagę. Wydawały się mniejsze i subtelniejsze niż te w moich rękach i nogach.

– Zajmuję się protetyką – powiedziała. – Protezy, które nosisz... To był mój pierwszy projekt. Miały służyć tylko do pracy z ciężarami. To szalone, że każą wam je nosić na co dzień, one nie są do tego przystosowane.

Nic nie odpowiedziałam. Usiadłam niezręcznie na krześle, które mi wskazała.

– Może chciałabyś coś na sen? Mam dużo piguł – zaproponowała.

– No nie wiem – odparłam, zagryzając wargi. – Nie będę w stanie po nich zbyt wcześnie wstać. Aiden będzie się denerwował.

– Możesz przecież odpocząć – powiedziała. – Pewnie myślisz, że uważam cię za niewolnika, ale to nie prawda. Nigdy nie chciałam być częścią czegoś takiego, po prostu nie mam nic do powiedzenia.

Wydawała się zła i zasmucona. Nic nie mówiłam, pozwoliłam jej się wygadać.

– Teraz każą nam pracować od świtu do zmierzchu. Budować dobre protezy dla naszych weteranów. Sami produkują te kupy żelastwa dla jeńców. To jest straszne – westchnęła. – Może zrobię ci lepsze?

– Nie wiem, czy to legalne – zauważyłam. – Na jednej z nich jest mój numer.

– Pieprzyć numery – warknęła. – Pieprzyć ten jebany rząd. Chciałam ułatwiać życia innym ludzi, a nie pomagać w zbrodniczym planie! I jeszcze... Melanie...

Ukryła twarz w dłoniach. Gdy odsłoniła ją, miała w podkrążonych oczach łzy.

– Melanie badała pająki – powiedziała. – Uwielbiała to. Jeździła na wyprawy, zbierała i opisywała okazy, badała, w jaki sposób ich jad może pomóc ludzkości. Była taką wspaniałą osobą. Jej najnowsze odkrycie, jad pająka *araneamiseriodia*... Udało jej się z niego zrobić lek, który wstrzyknięty do mózgu usuwał pamięć. Można ją było później stopniowo przywracać, przypominając pacjentowi znajome nazwy i imiona, a przy odpowiedniej terapii zrobić to

tak, że ta osoba zapominała wszystkie złe rzeczy, które ją spotkały! To mogło zrewolucjonizować leczenie traum!

– To jest to, co nam zrobiono? – spytałam. – Wszczepiono nam jad tego pająka?

– Niestety tak. Ona bardzo tego nie chciała – powiedziała Charlotte. – Protestowała, jednak nic nie mogła zrobić. Chcieli ją zaangażować do dalszych badań, by znalazła sposób na nieodwracalne usunięcie pamięci. Rzuciła się z okna tego samego dnia, gdy jej o tym powiedziano.

– Przykro mi – powiedziałam, chociaż wcale nie było mi przykro. Jedyne, o czym myślałam, to to, że naszą pamięć można przywrócić i że zrobiłam już zdecydowany krok w tę stronę.

– Mówi się, że inteligentni ludzie stronią od władzy, nie chcą się w nią zaangażować. Chowają się po bibliotekach i laboratoriach, a przy sterze zostają chciwi, głupi i żądni władzy ludzie – mówiła Charlotte, szukając w kieszeniach papierosów i zapalniczek.

– A to nie jest tak, że zostaliśmy po prostu ukarani? W końcu to my zaatakowaliśmy – powiedziałam. – I cała ta służba jest po to, by odkupić nasze winy. Czyż nie tak?

Charlotte zamarła z odnalezionymi papierosami w dłoniach. Ze zmarszczonymi brwiami schowała je z powrotem do kieszeni. Nie patrzyła już na mnie.

– Och – westchnęła w końcu. – Chyba nie powinnam z tobą o tym rozmawiać.

– To nie było tak, prawda?

– Mogę mieć przez to problemy, – Zamknęła oczy i ścisnęła nasadę nosa. – Nie mogę ryzykować...

– To Alverton zaatakował Bremę?

Spojrzała na mnie szeroko otwartymi oczami.

– Twój syn rozumie więcej, niż ci się wydaje – powiedziałam. – I zapisuje to, co usłyszy. Wielki Alverton. Nikczemna Brema.

– Cóż, usłyszałaś tę nazwę – rzekła. – Nic nie poradzimy. Nie wykrzykuj jej jednak na prawo i lewo.

– Komu miałabym rozgadać? Zwykle nawet nie opuszczam tego piętra.

– Dzisiaj opuściłaś – zauważyła. – A ja wiem, że jeńcy się buntują. Mimo że są rozproszeni, jakoś udaje im się komunikować. Oczywiście katarynki trzymają ich w ryzach, ale...

Spojrzałam na metalowe pudło z tyłu pokoju, wydawało się drobne w porównaniu do stojącej obok potężnej maszyny różnicowej.

– Nazywacie je katarynkami?

– Pieszczośliwie – mruknęła. – Działają na zasadzie fal radiowych. Dlatego nie mamy już odbiornika. Zaraz robiły się zakłócenia.

– Ja nie będę się buntować – zapewniłam. – Twoja koleżanka, Melanie,

myślała, że jak się zapomni o bólu, to on znika, ale to nieprawda. Wiem, że musiałam przeżyć coś okropnego i nie chcę przeżywać tego znowu. Moje ciało pamięta.

– Dobrze zatem, że się tego nie dowiedziała – westchnęła. – Czy... Czy jeśli jeńcy zdecydowaliby się na bunt... ochroniłabyś mojego syna?

Spojrzałyśmy sobie w oczy.

– Tak, raczej tak. To tylko dziecko.

– Nawet jeśli inni Bremczycy chcieliby go zabić?

– Myślę, że nie pozwoliłabym skrzywdzić dziecka – powiedziałam. – Ale czy udało by mi się go ochronić? Nie wiem. Prawdopodobnie zabiliby i mnie.

– Rozumiem – westchnęła. – Idź się jeszcze przespać, jeśli dasz radę. Ja muszę wracać do pracy.

Gdy kładłam się spać, powtarzałam bezgłośnie nazwę swojego kraju, mając nadzieję, że wrócą inne miejsca i inne nazwy. Zastanawiałam się, czy w Alvertonie i Bremie język urzędowy był ten sam? A może byłam dwujęzyczna i dostosowałam się do tego języka, w którym usłyszałam pierwsze słowo?

Tamtego wczesnego ranka nie zmrużyłam już oka.

Kilka dni później znowu miałam sen. Siedziałam w bibliotece na uniwersytecie. Ktoś o niewidocznej dla mnie twarzy powiedział, że szykuje się powstanie. Czułam, że zaciskam pięści ze złości. Wracały do mnie coraz to nowsze fakty. Alverton napadł na Bremę. Byliśmy i jednocześnie nie byliśmy zaskoczeni. Alvertończycy zrobili to już wcześniej z innym krajem, Darkanią, który był naszym wschodnim sąsiadem. Okupacja trwała kilka lat, a my przyglądaliśmy się z boku, ale niewiele mogliśmy zrobić. Nawet Federacja Krajów Archipelagu Regana nie ruszyła palcem, ponieważ Darkania nie była państwem członkowskim, zresztą podobnie jak mój kraj. Wiele osób czuło, że Alverton będzie chciał kontynuować swoje podboje i w końcu zaatakuje Bremę. Odkonano kilka głosowań w sprawie przystąpienia do Federacji, jednak zawsze większością głosów byliśmy na nie.

– Zamierzam dołączyć do powstania – powiedział mi ten ktoś, kogo nie mogłam rozpoznać. Mężczyzna, chyba w moim wieku i chyba żywiłam do niego jakieś uczucia. Wiedziała, że będzie chciał to zrobić, ale uważałam, że to nie ma sensu. W żaden sposób nie mogliśmy jednym powstaniem pokonać armii Alvertończyków.

– A więc ja też dołączę – powiedziałam. Zmartwił się.

– Nie... Nie możesz...

– Czemu nie mogę? – zapytałam.

– To nie w twoim stylu.

– Ale w twoim już tak. Gdzie ty, tam i ja, prawda?

Długo milczeliśmy, patrząc na siebie.

– A może chciałeś po prostu pochwały, że jesteś taki odważny? – spytałam. – Może miałam ci obiecać, że będę na ciebie czekała, a potem będę ci wdzięczna, że za mnie walczyłeś? Albo oczekiwałeś, że gdy już umrzesz, będę wiele lat nosić żałobę i opowiadać, jakim byłeś bohaterem?

Wypowiedział moje imię, lecz dla mnie to był jedynie szum.

Usłyszałam huk i sceneria nagle się zmieniła. Miałam w ręku pistolet. Chowałam się za fragmentem ściany jakiegoś roztrzaskanego budynku, marząc, by być gdzie indziej. Ten mężczyzna był tuż obok mnie, patrzył na mnie, dalej bez twarzy. On też mnie tu nie chciał, czułam to. Widział, jak robię rzeczy, których się po mnie zupełnie nie spodziewał. Chciał, bym pozostała w sferze pokoju, zaś on miał bohatersko zginąć za swój kraj i za mnie. Przeszkadzałam mu. Słyszałam za ścianą zgrzyt ich maszyn, pięknych i nowych maszyn bojowych Alvertonu. Jak pistolet przeciwko scyzorykom. Wychyliłam się i strzeliłam kilka razy, a potem wróciłam do poprzedniej pozycji. Już miałam wychylić się drugi raz, gdy coś wpadło tuż pod moje nogi. Modliłam się, żeby to była cegłówka lub kawałek gruzu, lecz kiedy spojrzałam w dół, zobaczyłam to, czego się obawiałam, odbezpieczony granat. Zaczęłam się cofać, lecz ten mężczyzna, z którym tu byłam, stał jak skamieniały.

– Walt! – krzyknęłam. – WALT, COFNIJ SIĘ!

Spojrzał na mnie i na chwilę jego twarz stała się dla mnie całkowicie widoczna. Wyszeptał moje imię, przeczytałam je z ruchu warg, a wtedy granat wybuchł.

Obudziłam się, wbijając uchwyty na protezy w prześcieradło i dysząc ciężko. Dostrzegłam jakiś ruch i wtedy zauważyłam małą postać kryjącą się w mroku. Przez chwilę byłam przerażona.

– Aiden? – zawołałam. – Czy to ty?

Włożyłam kikut ręki w specjalną małą rączkę i zapaliłam lampę. Aiden wpatrywał się we mnie przerażony. Byłam w nocnej koszuli, która trochę zasłaniała kikuty, a moje ręce leżały na specjalnych podstawkach obok łóżka. Musiałam wyglądać przerażająco dla takiego małego dziecka.

– Tak, naprawdę tak wyglądam – powiedziałam. – Wspaniały Alverton mi to zrobił, ponieważ byłam Bremczynką.

Odwrocił wzrok. Założyłam protezy i podniosłam się chwiejnie. Próbowałam sobie przypomnieć, jakie imię przeczytałam z ruchu warg Walta, ale pojawienie się Aideny odwróciło moją uwagę i go nie zapamiętałam.

– Zaprowadzę cię do łóżka, dobrze? – spytałam.

Gdy dotarliśmy do jego pokoju, Aiden nie chciał się położyć. Podbiegł od razu do biurka i zapisał coś w notesie. Wyrwał kartkę i podał mi ją, jednocześnie

wskazując na mnie palcem.

Rozłożyłam kartkę i spojrzałam na zapisane słowo.

REINA

Dalej uporczywie na mnie wskazywał.

– Nie rozumiem – powiedziałam. Chłopiec zrobił gest przedstawiający spanie. Pokazywał go bardzo długo, przekrzywiona głowa na złączonych dłoniach, a potem pokazał jedną ręką gest mówienia.

– Wymówiłam je przez sen? – spytałam i wtedy pokiwał głową.

A więc miałam na imię Reina.

– Dziękuję – powiedziałam i położyłam go do łóżka. Wydawał się być zadowolony, że przekazał mi tę informację. Zabrałam ze sobą kartkę, chociaż powinnam ją podrzeć, spalić lub zjeść.

Czasem zastanawiałam się, czy zmienili jakoś mój wygląd. Tam, gdzie się obudziłam, rzadko miałam okazję, aby przeglądać się w lustrze. Tutaj przeglądałam się w szybach oraz w małym lustrze w bawialni. Moje włosy były bardzo krótkie, a w moich snach i nowo odzyskanych wspomnieniach czułam ich ciężar na szyi i ramionach. Moja twarz nie wydawała mi się obca ani specjalnie charakterystyczna, zastanawiałam się, czy w Bremie mogłam uchodzić za ładną. Na lewym policzku miałam buraczano czerwone przebarwienie, które teraz nabrało sensu – musiało powstać po wybuchu granatu.

– Więc to wspomnienie jest pewnie prawdziwe – powiedziałam do siebie. Za mną Aiden ustawiał żołnierzyki w równych rzędach. Od pewnego czasu, kiedy na mnie spoglądał, jego usta wypowiadały moje imię. Nie wymawiał go jednak na głos. Wyglądało to, jakby ćwiczył. Może zamierza się odezwać? Chciałam opowiedzieć o tym Charlotte, jednak przestała tu bywać. Przed zniknięciem zrobiła jeszcze przegląd moich protez i powiedziała, że będzie musiała to zrobić wszystkim innym, więc długo jej nie będzie. Teraz na tym piętrze nie było nikogo poza kucharką ukrytą w dalszych zakątkach domu, gdzie się nie zapuszczałam. Zdałam sobie sprawę, że nigdy nie widziałam pana domu. Może pracował na innym piętrze albo nie dogadywał się z żoną?

Usłyszałam ciężkie kroki w korytarzu. Mógł je wydawać jedynie ktoś taki jak ja. Wyszłam z bawialni i słyszałam, jak Aiden biegnie za mną i chwytą rąbek mojej spódnicy. Na korytarzu stał mężczyzna z magazynu.

– Musisz być gotowa – powiedział. Widziałam, że był nabuzowany. Stałam jak wryta, modląc się, żeby Aiden mu się nie pokazał.

– Na co?

– Na bunt – powiedział. – Już niedługo.

Cofnął się do windy i zjechał na dół. Chwilę później kucharka wyszła z kuchni, by sprawdzić, co się dzieje, lecz zastała tylko mnie i Aideną nad żołnierzami. Obrzuciła mnie podejrliwym spojrzeniem i wróciła do swoich zajęć.

– Reina! – usłyszałam krzyk we śnie. To była moja młodsza siostra. Tamara. Jej twarz wraz z imieniem pojawiła się w mojej głowie, a zaraz potem twarz mojej matki. Były takie wyraźne i znajome, aż trudno było mi uwierzyć, że kiedykolwiek o nich zapomniałam.

– Nie możesz nam tego zrobić! – krzyknęła matka.

Byłam ubrana w spodnie, co nieczęsto mi się zdarzało. Miałam w plecaku granaty, jedzenie, materiały wybuchowe oraz mapy miasta. Był wczesny ranek i próbowałam się wymknąć niezauważona, by spotkać się z innymi buntownikami, by coś wysadzić, zrobić szum, dać Alvertonom nauczkę.

– Muszę iść z Waltem, zginie tam beze mnie – powiedziałam. Bałam się, ale było za późno, żeby się wycofać. Jak wyglądałabym w oczach jego i innych, gdybym się nie zjawiła?

– Reina, to zupełnie do ciebie niepodobne – powiedziała matka. – Na litość boską, ty nigdy wcześniej nie posługiwałaś się bronią. Jesteś pacyfistką! Co cię napadło?

Duma. Upór. Na pewno głupota. Siostra przytuliła się do mnie i zmoczyła moją marynarkę łzami. Gdy się obudziłam, bolało mnie w klatce piersiowej, sama też płakałam i zastanawiałam się, jak dawno to mogło być. Ile mogłam mieć teraz lat? Co mogło je spotkać? Czy Bremczycy, którzy nie brali udziału w powstaniu, też przeżyli to samo, co ja?

Usłyszałam huk z innej części piętra. Natychmiast włożyłam ręce w protezy i wsunęłam na siebie sukienkę, którą nosiłam wczoraj. Od wielu dni to ćwiczyłam, czułam, że coś się święci. Charlotte wróciła do domu na parę dni i większość czasu spędziła z Aidenem. Opowiedziałam jej o tym, że poruszał ustami, jednak nie wywarło to na niej takiego wrażenia, jak się spodziewałam. Wydawała się mieć głowę zaprzątniętą innymi sprawami.

Wyszłam się na korytarz. Aiden stał w drzwiach swojego pokoju. Ku mojemu zdumieniu był już ubrany, miał nawet buty. Wpatrywał się w przestrzeń i nerwowo trzymał framugi.

– Aiden – szepnęłam. Spojrzał na mnie. Z kuchni sączyło się żółtawe światło i nim Aiden zdążył się ruszyć, wyszedł stamtąd mężczyzna z magazynu. W jednej ręce trzymał zgnieciony kawałek metalu, a za sobą ciągnął bezwładne

ciało kucharki. Gdy mnie zobaczył, puścił ją, a ta opadła z głośnym plaśnięciem na podłogę. Nie mogłam uwierzyć, że jeszcze kilka tygodni temu całowałam się z tym człowiekiem.

– Co ty robisz? – powiedziałam przez ściśnięte gardło. Stał bliżej Aiden niż ja.

– Powinnaś spróbować – odpowiedział. – Mi ulżyło.

Jeszcze wczoraj ta kobieta podała mnie i Aidenowi kolację, kanapki z żółtym serem i ogórkiem oraz gorące mleko. Myślałam o tym, że jej zmiażdżone palce, którymi dzisiaj próbowała się bronić, wczoraj przygotowywały mój posiłek.

– A jeśli ona była jedną z nas? W końcu jest tu służącą – powiedziałam.

– Och, proszę – powiedział. – Widziałam, jak na mnie spoglądała. To Alvertonka, z krwi i kości.

Podniósł ją znowu, tym razem za kark, i rzucił na podłogę w moją stronę. Jedno spojrzenie na jej zmiażdżoną twarz sprawiło, że zrobiło mi się niedobrze.

– Przeraża cię to? – spytał. – Uważasz, że to zbyt okrutne?

– Nie rozumiem, dlaczego to robisz – jęknęłam. – Przecież mogłeś wyjść na ulicę. Walczyć z policją i wojskiem. A wszedłeś tutaj i zabiłeś kucharkę.

– A to, co zrobili nam, nie było okrutne? – spytał. – Usunęli nam zdrowe kończyny, zabrali nam naszą tożsamość. Zasłużyła sobie na to.

Do tej pory nie zwracałam uwagi na Aiden, jednak chłopiec, cofając się przed coraz większą kałużą krwi, głośno klapnął butem o podłogę. Oboje spojrzeliśmy w jego stronę.

– Proszę, nie – powiedziałam. – To tylko dziecko.

– Przypomniałem sobie wszystko – powiedział. – Oni się nawet do mnie nie odzywali. Traktowali mnie jak przedmiot. Nie wiesz, jakie to uczucie, chociaż niedługo z pewnością sobie przypomnisz. Ja przypomniałem sobie dzięki tobie.

Uniósł kawał metalu, zamierzając się na Aiden, który skulił się we framudze drzwi i odwrócił do mnie swoją twarz. Krzyknął moje imię, a moje ciało samo zareagowało. Skoczyłam i pierwszy raz poczułam siłę moich metalowych nóg i rąk. Wcisnęłam twarz napastnika w ścianę, czułam, jak czaszka pęka i się zgniata. Kawał metalu spadł na podłogę z głośnym brzdękiem, ja sama na chwilę znieruchomiałam, czując do siebie obrzydzenie. Gdy oderwałam rękę od ściany, fragmenty jego ciała spadły na podłogę. Nie chciałam o tym myśleć, nie patrzyłam w tamtą stronę. Spojrzałam na Aiden.

– Włóż sweter – powiedziałam. – Wisi na twoim krześle. Szybko.

Pobiegł spełnić moje polecenie. Podniosłam kawał metalu i podeszłam do mojego ulubionego miejsca w domu, ogromnych okien. Dach obok tego budynku wydawał się dość blisko. Uderzyłam w szybę i rozprysła się w drobny mak. Wiatr i zapach dymu wypełnił korytarz. To nie był zwyczajny smród fabryk i pary – to miasto płonęło.

– Chodź, Aiden – zawołałam. Chłopiec podszedł do mnie i dał się wziąć na ręce, mimo że byłam cała we krwi. Czy powinniśmy stąd uciekać? Czy na zewnątrz będzie bezpiecznej? Ten budynek był ogromny, nie znałam innych piętér, mogło tu być więcej Bremczyków, którzy by zagrozili Aidenowi, a ja nie chciałam już nikogo zabijać. Ugięłam kolana i skoczyłam w noc. Poczułam ból w udach, gdy wylądowałam na dachu budynku obok, ale potem zaczęłam biec i skakać na bardzo długie dystanse. Wcześniej nie zdawałam sobie sprawy, że w ogóle tak potrafię. Biegając po dachach, schodziłam coraz niżej, aż trafiłam na pustą ulicę. Przed sobą zobaczyłam ogród, który zawsze obserwowałam z okna i zdecydowałam, że będzie to dobre miejsce na kryjówkę. Schowaliśmy się w rowie, w którym kiedyś prawdopodobnie był staw, jednak teraz nie było tam wody, tylko płaczące wierzby zasłaniające wszystko wypełnionymi liśćmi witkami.

– Muszę odpocząć – powiedziałam. Kręciło mi się w głowie. Ułożyliśmy się w cieniu i zamknęłam oczy.

– Proszę – wołałam do odległej sylwetki w białym kitlu. – Pomóż mi, proszę. Lekarz spojrzał na mnie, ale odwrócił głowę niemal natychmiast.

– Jesteś potworem, wiesz o tym? – spytałam. – Jebany skurwysyn. Zapłacicie za to!

Spojrzał na mnie znowu.

– Posłuchaj – powiedział. – Ja nie mam wyboru.

– Jak się nazywasz?

– I tak nie będziesz tego pamiętać.

– Mam dobrą pamięć.

– Już niedługo – powiedział i widząc moją skonsternowaną minę, wyjaśnił: – Usuną ci ją. Tak jak usunęli ci ręce.

– Co? Nie. Nie, nie, nie.

– Przykro mi.

– Mam na imię Reina – powiedziałam. – Mam młodszą siostrę, Tamarę. Została z mamą, a ojca nie mamy. Nie mogę jej zapomnieć, a ona nie może mnie stracić. Miał posępną minę.

– Wiem, co robisz – powiedział. Wziął krzesło i usiadł przy moim łóżku. – Ale nie mogę ci pomóc. Mogę ci najwyżej dać morfinę. Chcesz?

Zaczęłam płakać.

– Coś jeszcze mi usuną?

– Twoje nogi.

– Po co? Czemu nie mogą po prostu mnie zabić?

– Chcą dać ci metalowe ręce i nogi i wyszkolić cię na siłę roboczą. Posłuszną i nieświadomą.

– Chryste.

– Mi też się to nie podoba – powiedział. – Ale mam rodzinę. Żonę, dwie córki i malutkiego synka. Nie widziałem go już pół roku. Tak mi przykro. Nie mogę ci pomóc.

– Jak masz na imię? – spytałam ponownie.

– Jayden Cooper – przedstawił się. Otworzył szufladę i wyciągnął ampułkę. Wypełnił strzykawkę przezroczystym płynem.

– Zaraz przyjdą – powiedział. – Nie będziesz nic czuć. Będziesz zamroczona. Tylko tyle mogę zrobić.

Wstrzyknął mi morfinę i pogładził mnie po głowie. Strach wyblakł i przez wiele godzin czułam tylko nicość, ale złe uczucia i ból wciąż tam gdzieś były, czaiły się, by mnie dopaść.

Ogolono mi głowę. Siedziałam w fotelu. Inny lekarz, nie Jayden, napełniał płynem wielką strzykawkę.

– Zaraz o wszystkim zapomnisz – powiedział. – To będzie szybkie.

Odwrócił się i napotkał mój wzrok.

– Wal się – warknęłam.

Ktoś wszedł do pokoju. To był Jayden. Stał w drzwiach, patrzył na mnie i drugiego lekarza. Nie próbował interweniować, po prostu tam był.

– Co robisz, Cooper? – spytał lekarz, podchodząc bliżej mnie.

– Zaraz mam podłączyć jej protezy – wyjaśnił.

– Możesz zrobić sobie przerwę – powiedział. – To potrwa jeszcze chwilę. Czuję, że będzie sprawiać problemy.

– Och, dlaczego miałabym? – wycedziłam, odsuwając się od jego rąk.

Nic nie odpowiedział. Poczułam ukłucie z tyłu głowy, potem przenikliwe zimno. Jednak miałam plan. Wykrzyczałam swoje imię na cały głos, aż rozległo się echo. Próbował zakryć mi usta swoją dłonią, a ja ją ugryzłam. Poczułam smak jego krwi i wykrzyczałam swoje imię ponownie, mając nadzieję, że nadal będzie rozbrzmiewać, jak już zacznę zapominać. Lecz po chwili straciłam przytomność.

Obudziłam się i potrzebowałam chwili, by przypomnieć sobie, czemu leżę na trawie w parku. Obok mnie leżał Aiden i drżał z zimna. Trawę, na której leżeliśmy, pokryła rosa, a gdzieś w oddali wstawało słońce. Było cicho i spokojnie.

– Obudź się – szepnęłam do niego. Otworzył oczy i wtedy zauważyłam, jak podobny był do Jaydena, swojego ojca, który tak długo już go nie widział. Zastanawiałam się, czy jakoś załatwił to, że trafiłam do jego domu. Może powinnam się teraz skontaktować z nim i z Charlotte? To nie może być przypadek, że niedawno robili przeglądy i teraz zniewoleni Bremczycy się zbuntowali. Musieli jakoś zakłócić działanie katarynek.

– Aiden, słuchaj uważnie – powiedziałam. – Czy mama ci coś dała? Jakąś wiadomość, którą miałeś mi przekazać?

Aiden wyciągnął z kieszeni klucz oraz złożoną kartkę papieru, nieco wilgotną, jednak wiadomość była dalej czytelna.

Droga Reino,

Aiden przekazał mi, jak naprawdę się nazywasz. Miałeś rację, rozumie więcej, niż myślałam. Jeśli to czytasz, to znaczy, że doszło do buntu. Prawdopodobnie zdołaliśmy się ukryć i niedługo skontaktujemy się z Tobą. Jeśli nie, to jesteś zdana tylko na siebie. Zostawiliśmy dla Ciebie prezent w Ogrodzie Redana, pod ceglanym mostem. Chyba lubiłaś ten ogród, codziennie się w niego wpatrywałaś. Dzięki prezentowi będziesz mogła wtopić się w tłum i ukryć wśród obywateli Alvertonu. Przykro mi, że stawiamy cię w takiej sytuacji, jako wroga jednych i drugich, ale nagroda za strzeżenie naszego syna będzie bardzo hojna, jeśli wszystko się uda.

Przesyłamy ci większe wyrazy wdzięczności, niż możesz sobie wyobrazić.

Jayden i Charlotte

Wyszliśmy z cienia drzewa i zaczęliśmy szukać miejsca opisanego w liście. Na szczęście o tej porze nie było tutaj nikogo. Szybko znaleźliśmy ceglany most i zeszliśmy pod niego, uważając, by nie poślizgnąć się i nie wpaść do pędzącej pod nim brudnej wody. Pomiedzy wzmocnieniami dostrzegłam metalową skrzynię. Otworzyłam ją kluczem od Aideny i znalazłam w środku fałszywe dokumenty, dwa zestawy ubrań, skórzaną torbę z jedzeniem i pieniędzmi oraz coś owiniętego w brązowy pergamin. Były to zupełnie nowe protezy rąk i nóg, obleczone beżową skórą i przypominające kształtem prawdziwe kończyny. Kazałam Aidenowi się przebrać, a sama zdejmowałam powoli tę kupę żelastwa, którą dotąd musiałam nosić. Gdy założyłam nowe protezy, miałam wzrost normalnego człowieka. Reagowały niemal natychmiast. Stałam na nogi i zrzuciłam z siebie za wielką teraz sukienkę. Wrzuciłam ją razem z kończynami do pędzącej rzeki i włożyłam na siebie suche ubranie. Nowe pończochy, sukienka z długimi rękawami, płaszcz i rękawiczki wyglądały na nowe i drogie. Mogłam uchodzić za zwykłą Alvertonkę. Aiden spojrzał na mnie ze zdziwieniem. Uśmiechnęłam się do niego.

– Jestem taka szczęśliwa – powiedziałam. – Nawet nie wiesz, jak bardzo.

Trzymając się za ręce, wyszliśmy spod mostu. Wędrówka po parku

wydawała się niemal miłą wycieczką. Raz zatrzymaliśmy się, by zjeść to, co znaleźliśmy w skrzyni. Spojrzałam wtedy na nowe dokumenty. Byliśmy według nich rodzeństwem i mieliśmy imiona i nazwiska, które nic mi nie mówiły. Co jakiś czas spoglądałam na swoje nowe ręce i poruszałam nimi bezboleśnie. Czułam się z nimi bardzo wygodnie. Ku mojemu zaskoczeniu Aiden od czasu naszej ucieczki nie robił żadnych awantur i obawiałam się, że to przez szok. Może stać się naprawdę problematyczny, kiedy już się otrząśnie i jego świat nie wróci do normalności.

Gdy wyszliśmy z parku, wpadliśmy na policjanta. Spojrzał na nas, a ja poczułam lęk, miałam ochotę uciekać, jednak się powstrzymałam.

– Co tu pani robi o tej porze? – zapytał, a potem spojrzał na Aiden. – Tu nie jest bezpiecznie.

Nie rozpoznał we mnie jeńca. Powstrzymałam się, by nie odetchnąć z ulgą.

– Jak dobrze, że pana widzę – powiedziałam. – Ukrywaliśmy się w parku. Czy jest w pobliżu jakiś schron?

– Tak, w kolei podmiejskiej – powiedział. – Dotrze pani tam, idąc prosto i w prawo. Mogę zobaczyć pani dokumenty?

Dałam mu je bez zawahania.

– Dobrze – powiedział. – Proszę już iść.

– Tak, wiem – powiedziałam. – Dziękuję panu.

Ruszyliśmy szybkim krokiem do schronu. Wiedziałam, że to jeszcze nie koniec, jednak byłam dobrej myśli. Rzuciłam okiem na swoje odbicie w tych kilku witrynach sklepowych, które pozostały całe. Przed oczami stanęło mi wspomnienie siebie sprzed lat i poczułam dreszcz. Kilka lat temu, jako dumna studentka, w czerwonym płaszczu i z podobną torbą, jeszcze nieświadoma nadchodzącej wojny, lubiłam przeglądać się w witrynach, idąc na zajęcia.

Przystanęłam i patrzyłam na swoje odbicie. Wreszcie przypominałam siebie.

Aiden pociągnął mnie za rękę.

– Tak, tak, już idziemy – powiedziałam, jednak stałam jeszcze przez chwilę, nie mogąc się na siebie napatrzeć.

Weronika Kossowska

Pochodzę z Wrocławia i pracuję jako bibliotekarka. Mój tekst, „Doświadczenie poza ciałem” został wydrukowany w antologii „Rubieże rzeczywistości: poszukiwacz snów” w 2021 roku. Od 2016 roku biorę udział w wyzwaniu pisarskim NaNoWriMo. Moja ulubiona pisarka to Sylvia Plath i Virginia Woolf. Uwielbiam głaskać pieski i jeść spaghetti bolognese.

Pieszczota czasu

Karolina Byszewska

Tik tok tok i tik. Tik tok.

Tok. Tik.

Maro Broszkiewicz zawsze powtarzał, a mówił to każdemu, kto do sklepu zaglądał, że zegarek to zwierciadło duszy i zniszczony przypomina chore dziecko, którym trzeba się zająć. Okryć pluszowym kocem i nakarmić rosołem.

Zaopiekować się. Otoczyć miłością.

Pokazać, czym jest nadzieja, bo każdy zegar – nieważne jak sprawny – potrzebuje czasem pocieszenia. Odpuszczanie to opinia i sposób na życie, a nie utrwalone prawo natury, tak jak bycie człowiekiem.

Maro czuł się jak chirurg wykonujący operację na otwartym sercu – jeden nieostrożny ruch i parę godzin, a także życie ludzkie, zostaną stracone bezpowrotnie. W myślach wybrzmiewały mu słowa profesora Klimka, niskiego i brzuchatego pana z lekcji o technologii robót zegarmistrzowskich, że szafir można zarysować wyłącznie za pomocą diamentu. Ale i tak uważał na skandynawskiego beringa o szkle czystszy niż lza.

– Dobry – przywitał się młody, około dwudziestoletni chłopak. Z beztroską możliwą wyłącznie w tym wieku pozwolił masywnym drzwiom uderzyć w ościeżnicę przy akompaniamencie wysokiego, acz krótko wybrzmiewającego dźwięku gongu wydobytego przez poruszenie żeliwnego dzwonka.

– Niechbędzieidobry – wymruczał Maro zupełnie niezrozumiale.

– Przyszedłem zabić trochę czasu – powiedział przybyły. Ociekał wodą. Przezrzyste krople spływały po skórzanej kurtce i spadały z włosów, kiedy potrzasał głową jak pies swoim ciałem po ulewie.

– Tutaj kupujemy czas, chłopcze – odpowiedział Maro. Wciąż pochylał się nad rustykalnym biurkiem, ale z błyskiem zainteresowania w szafirowych tęczówkach spojrzał na chłopaka zza zsuniętych na czubek haczykowatego nosa okularów w cienkich oprawkach. Podniósł lupę zegarmistrzowską przypiętą do metalowego mostka. – Za minutę zapłacę piętnaście złotych.

Chłopak zaśmiał się krótko. Jakby urywanie.

– Cholera. Liczyłem, że uda mi się samemu kupić godzinkę czy dwie, ale jak tak...

– Skoro nie chcesz się podzielić, chłopcze, to co tutaj robisz? Może sprzedasz mi coś innego? Na przykład ten zegarek? – Wskazał na hamiltona ze skórzanym paskiem, gdzieniegdzie przetartym i do wymiany, z porysowanym szkłem i bez sekundnika.

– Co? Tego starocia? To pamiątka po ojcu. Papcio dostał go od swojego ojca z czasów, kiedy walczył na froncie – wyjaśnił chłopak, patrząc hardo zegarmistrzowi w oczy. W jego głosie pobrzmiwała duma.

– Czas, chłopcze, powiedziałeś, że chcesz zabić trochę czasu. Jeżeli to prawda, kupię minutę za piętnaście złotych, nie, za dwadzieścia, nawet bez licytacji.

Młody mężczyzna zaśmiał się na słowa szalonego starca. Maro przez chwilę chciał machnąć na to ręką, lecz zamiast tego przywołał do siebie młodzieńca zachęcającym gestem otwartej dłoni. Była ubrudzona oliwą zegarmistrzowską.

– Chodź do mnie, chłopcze, nauczę cię czegoś o zegarkach.

Chłopak przez moment się wahał i zastanawiał, co powinien zrobić, jakby szukał niebezpieczeństwa, ale szybko zrozumiał, że ze strony starszego pana grozi mu jedynie zanudzenie na śmierć.

– Ten bering, chłopcze, zawsze się zatrzymuje. Czyściłem go, wymieniałem baterię i cały mechanizm, ale nic. On nie może działać. Pewnie dlatego, że niektóre zegarki zrodziły się ze zła, a inne zostały nim ubrudzone.

Chłopak zmarszczył brwi.

– Ze zła? Jak przedmiot może być zły?

– Co wiesz o roleksach, chłopcze?

– Nie wiem, są amerykańskie?

– Szwajcarskie – poprawił go Maro. – Wysyłane były brytyjskim jeńcom w czasach drugiej wojny światowej.

– O kurde. Ile oni musieli na tym zarobić.

Młodzieniec, pomimo podekscytowania w głosie i zainteresowania w błękitnych jak woda oczach, wcisnął dłonie do kieszeni spodni.

– Miały pocieszać żołnierzy, zapewniam cię więc, chłopcze, że żaden z nich nie myślał o sprzedawaniu ich – odpowiedział zegarmistrz karcąco.

Zmrużone oczy i niżony ton ostudziły zapał chłopaka, który ze źle skrywaną uwagą przyglądał się, jak Broszkiewicz zamyka kopertę beringa.

– Na przykład ten tutaj – kontynuował Maro – ancre z fosforyzowaną tarczą i systemem przeciwwstrząsowym należał w latach czterdziestych do mojego przodka. Służył w armii Andersa.

Maro pochylił się ze stęknieniem, a w pomieszczeniu rozległ się dźwięk strzelających kości i przerwał głuchą ciszę. To jest, oczywiście, pomijając niezsynchronizowane tykanie setek zegarków, do którego Broszkiewicz na tyle

już się przyzwyczał, że uważał je za coś oczywistego. Dostrzegał jednak każde odchylenie od normy, a kiedy coś przestawało działać, od razu to wyłapywał; tak naprawdę wszystkie brzmiały inaczej.

– A to? Co to? – Chłopak podniósł za srebrny łańcuszek bliżej nieokreślony przedmiot, który podziwiał.

– Świat zegarków to nie tylko zegarki na rękę, chłopcze. Ten tutaj – powiedział Maro i dopiero w tym momencie zorientował się, że słucha go więcej niż jedna osoba – to zegarek kieszonkowy z przełomu dziewiętnastego i dwudziestego wieku. Weź go sobie i niech dobrze wskazuje ci czas.

Młodzieniec schował zegarek do kieszeni spodni bez podziękowania i protestu. W ułamku sekundy znalazł się przy drzwiach i kiedy już je otwierał, odwrócił się.

– Naprawdę kupuje pan czas?

– A jeżeli powiem, że tak, chłopcze, to czy mi go sprzedasz?

Karolina Byszewska

Studentka polonistyki urodzona oraz wychowana w małym miasteczku na wschodzie Polski, a ponadto osoba zakochana w doborze słów na tyle mocno, iż własną przyszłość wiąże z literaturą. Piszę niemalże codziennie od ośmiu lat, ponieważ to stanowi jej pasję.

Na skraju wolności

Sylwester Gdela

Kolejny poranek przywitał Talę powiewem zimnego wiatru, gdy tylko wyszła na zewnątrz. Uliczkę znaczyły kałuże, wczoraj w nocy mocno padało. Słońce powoli pięło się po nieboskłonie, nieśmiało oblewając miasto Yvvan swoim światłem. Ludzie wychodzili z domostw okutani w płaszcze, co niektórzy niosąc pękające w szwach tobołki z wszelkiej maści szpargałami – gotowi na stawienie czoła wyzwaniom życia.

Talę czekało wiele takich wyzwań. Choć dopiero zbliżała się do dorosłego wieku, musiała już pracować. Brakowało pieniędzy, jej młodszy brat chorował, a matka i ojciec coraz częściej zakrywali smutki chmurami niebiańskiego dymu. Wczoraj znowu pokłóciła się z nimi o to, że przyszli do domu znarkotyzowani. Rozemocjonowana długo nie mogła zasnąć, przez co wstała dziś później i nie zdążyła zjeść śniadania.

Przemierzała zatem wschodnią dzielnicę Yvvanu z pustym żołądkiem, krocząc prędko, byleby tylko się nie spóźnić. Chłód przepędził wszelkie resztki rozespania, czujne zmysły wylapywały każdy dźwięk oznaczający niebezpieczeństwo, każdą podejrzaną sylwetkę. Tu kierowca krystalowozu za bardzo przyspieszył i nieomal wpadł na przechodniów, tam kręcił się zakapturzony typ wyraźnie czyhający na zawartość cudzych kieszeni. Dzień jak co dzień w najpiękniejszym mieście na świecie.

Najpiękniejszym, bo jedynym.

Dzwonek przy drzwiach warsztatu zabrzączał tym samym denerwującym tonem co zwykle, obwieszczając przybycie Tali. Stojący za kontuarem Mabrot, nieco starszy od niej chłopak z rudymi lokami, zupełnie nie przejął się jej nagłym wejściem.

– Spóźniłaś się. – Z zaplecza dobiegł szorstki głos. – Dwie minuty i trzydzieści cztery sekundy.

Moment później zza kotary wyłoniła się okrągła, pulchna twarz ujęta w ramy siwych włosów i krótkiego zarostu.

– Przepraszam, panie Serim – wyskamlała Tala ze wzrokiem wbitym

w idealnie wysprzątaną podłogę. – Obiecuję, że to już więcej się nie powtórzy.

– Nie obiecuj, młodziutka, nie obiecuj, tylko bierz się do roboty. – Mistrz Navos Serim westchnął głęboko. – Dzisiaj będzie jej sporo.

Tala skinęła głową i szybko pobiegła na zaplecze, by ubrać fartuch. Zaraz rzuciła się w wir obowiązków: sortowanie nowych części przysyłanych z fabryki, uzupełnianie zasobników z olejem, kilka pomniejszych napraw wymagających regulacji przełożeń czy regeneracji zębatek. Potem nastała godzina dziewiąta – wtedy Tala zmieniała Mabrota za ladą. Tego nie lubiła najbardziej, bo ciągle musiała ładnie się uśmiechać i rozmawiać z klientami, którzy potrafili naprawdę mocno irytować. Na szczęście ruch był niewielki, przyszła tylko jedna pani z zepsutym kryształocyklem.

Godziny mijały powoli. Talę zaczęło ogarniać zmęczenie. Nie zdążyła nawet zabrać ze sobą jedzenia na popołudniowy posiłek... Nagle dotarł do niej słodki zapach, jeszcze bardziej wzmagając głód. Kotara się rozsunęła i pan Serim podszedł do lady, trzymając coś za plecami.

– Młodziutka, na Wielkiego Konstruktora, zaraz mi tutaj padniesz – powiedział z zatroskaną miną. – Jadłaś w ogóle coś dzisiaj?

Tala pokręciła głową.

– Masz, zrób sobie przerwę, dziecko. – Wręczył jej niewielki koszyk. – Tylko nie nakrusz!

W środku było kilka lukrowanych bułeczek nadziewanych owocami.

– Dziękuję panu! – Na policzkach Tali pojawiły się rumieńce.

Pobiegła na zaplecze i zaraz zabrała się za pałaszowanie przysmaku. Mabrot, grzebiący coś przy uszkodzonej protezie dłoni, rzucił jej od niechcenia „smacznego” i wrócił do majstrowania. Lubiała go, choć mówił mało i miał wiecznie zblazowany wyraz twarzy. Za to często jej pomagał, gdy nie potrafiła sobie z czymś poradzić. Pan Serim również w głębi duszy krył ciepło i wyrozumiałość, mimo że czasem sprawiał odmienne wrażenie. Mogła trafić na znacznie gorszego pracodawcę...

Wtem dzwonek zabrzączał wściekle, jakby ktoś wpadł z impetem do warsztatu.

– Proszę, pomóż... mi – błagał metalicznym tonem nieznany przybysz.

Tala zostawiła ostatnią niezaczętą bułeczkę i pobiegła do frontowej części budynku. Mabrot też odłożył narzędzia i ruszył za nią.

O ladę opierał się autofantom – sztuczny człowiek o ciele z bardzo lekkiego, szarawego metalu, napędzany energią elektrokryształów. Wyjątkowo rzadki widok w mniej zamożnych dzielnicach Yvvanu. Ten, który właśnie tutaj zawitał, był w opłakanym stanie. Miał cały poobijany korpus, a po jego kończynach ciekły strużki oleju.

– Co się stało? – zapytał pan Serim, wyraźnie oszołomiony.

– Mój pan... zdenerwował się na mnie. – Autofantom zatrzeszczał i osunął się na podłogę.

– Ech... – Pan Serim spojrzał na niego współczująco. – Przyjdzie mi zapłacić za moje miękkie serce. Tala, zamknij drzwi i opuść rolety, na dziś kończymy zwykłą pracę. Mabrot, chodź, pomożesz mi go wnieść na tyły.

Dziewczyna skinęła głową i zabrała się za polecane zadania. Klucz zachrzęścił w zamku, a świat za witrynami zniknął przesłonięty ciemnym płótnem. Liczyło się tylko to, co należało zrobić tutaj, w warsztacie.

Czas dla Tali gwałtownie przyspieszył. Miotła się po całym zapleczu, razem z Mabrotem asystując panu Serimowi, który z twarzą zastygłą w grymasie skupienia pochyłał się nad poszkodowanym konstruktem. W multiokularach mistrza co rusz odbijał się płomień palnika, a z ust wydobywały dobitne sarknięcia. Mabrot miał naprawić żyroskop stabilizujący postawę, Tala zaś musiała ostudzić elektrokryształy zasilające w roztworze wiwosencji.

Kilka godzin i setki wylanych kropli potu później autofantom wreszcie otworzył swoje błyszczące na czerwono oczy.

– Sprawdź, czy możesz się normalnie poruszać – polecił mu pan Serim.

Sztuczny człowiek skinął głową. Wstał i zaczął powoli chodzić wokół stołu roboczego, zginając i rozprostowując ręce.

– Wygląda na to, że wszystko działa dobrze – powiedział odrobinę niespokojnie. – Dziękuję panu. Dziękuję wam wszystkim.

– Proszę... Jak cię zwą? – zapytał mistrz Serim.

– Gatti. – Autofantom uklonił się nisko. – Wybaczcie, że wcześniej się nie przedstawiłem.

– No, Gatti, zrobiłem, co mogłem. – Pan Serim otarł chustką ubrudzoną twarz. – Teraz stąd zmykaj. I najlepiej zapomnij o tym, że tutaj byłeś.

Mistrz dał autofantomowi stary, długi płaszcz i zapasowe robocze buty, by mógł łatwiej wtopić się w tłum. Potem razem z Mabrotem przesunęli kilka pudeł z częściami, torując drogę do tylnych drzwi, zazwyczaj nieużywanych, i wypuścili go na zewnątrz.

Tala westchnęła głęboko. Pan Serim kazał jej wrócić do siebie i nikomu nie mówić o tym, co się stało. Szybko zrzuciła z siebie fartuch i wyszła z warsztatu. Była już noc, ulice rozświetlał zielonkawy blask kryształolamp. Dziewczyna resztką sił pobiegła do domu – chciała dotrzeć tam jak najszybciej, żeby nie niepokoić bliskich.

Od samego progu powitała ją słodka, żywiczna woń. Wcale nie wywołało to przyjemnego wrażenia – ten zapach oznaczał, że rodzice znowu uraczyli się niebiańskim dymem. Oboje póллеżeli na ławie w kuchni, pogrążeni w onirycznym transie.

– Gdzie byłaś tak długo? – Usłyszała nagle Barisa, swojego brata.

Stał na schodach z niewielką, szmacianą zabawką w ręce.

– Mieliśmy dzisiaj bardzo dużo pracy w warsztacie – wyjaśniła Tala. – Wracaj do łóżka, jest późno.

Baris posłusznie podreptał do góry, kaszląc głośno. Tala też udała się na spoczynek, ale wcześniej zabrała ze stołu w kuchni spory kawałek chleba i zjadła go. Nie miała siły na przygotowanie ciepłej kolacji.

Choć czuła się bardzo zmęczona, przez jakiś czas nie mogła zasnąć, rozmyślając o dzisiejszym dniu, a najbardziej o Gattim.

Nie był to pierwszy przypadek, jak bogacz znęcał się nad swoim autofantomem. Wielu możnych uważało je za zwykłe metalowe puszki, chociaż myślały i odczuwały emocje w sposób podobny do ludzi. Wszelkie głosy sprzeciwu wobec tego stanu rzeczy cichły jednak przy nieugiętej woli przedstawicieli Czcigodnych Rodów. To oni kontrolowali wszystkie zasoby Yvvanu, a kto kontrolował dostęp do zasobów, kontrolował wszystko.

I to dosłownie wszystko. Cały świat Tali ograniczał się bowiem do Yvvanu i sąsiadujących z nim lasów, pól uprawnych oraz skupisk elektrokryształów. Dalej czekała już tylko ogromna przepaść, w której kotłowało się morze czarnych mgieł.

Po prawdzie nikt dokładnie nie wiedział, dlaczego rzeczywistość wygląda akurat w ten sposób. Różne źródła historyczne podawały sprzeczne fakty. Jedne twierdziły, że płaskowyż, na którym leżał Yvvan, istniał od zawsze w niezmienionej formie. Pewne utrzymywały, że w bardzo dawnych czasach tereny podległe ludziom sięgały aż za horyzont, lecz zapadły się pod sobą, z wyjątkiem jednego miasta i części jego okolic. Według innych zaś było zupełnie odwrotnie – pewien Wielki Konstruktor, poświęcając swe życie, celowo wypiętrzył skały pod Yvvanem, by ocalić ludzkość przed potopem, który zalał resztę świata.

Nikt do tej pory nie zdołał tego sprawdzić. Wysłano na dół wiele ekspedycji badawczych na pokładach machin latających, ale żadna z nich nie zdołała powrócić z Morza Mgieł. Ludzie musieli zatem jakoś sobie radzić, żyjąc na ograniczonym terenie. Nie mieli beznadziejnych warunków – plony rodziły co roku, drzewa odrastały po kilku dekadach, nawet elektrokryształy odtwarzały się ze skał po silnych burzach. Niemniej przestrzeni nie dało się rozciągnąć, dlatego Czcigodne Rody pilnowały, by liczba mieszkańców Yvvanu nigdy nie przekroczyła pół miliona, używając do tego nawet najbardziej drastycznych środków, jeśli zachodziła potrzeba.

Tala pamiętała, jak wrzeszczała ich ciotka, kiedy milicja zabierała ją do więzienia. Nosila pod sercem trzecie dziecko. Luksus stanowiło posiadanie więcej niż dwóch potomków. Nie mogło pozwolić sobie na niego wiele osób spoza Czcigodnych Rodów.

Jeszcze większym wyznacznikiem statusu były służące autofantomy. Tala zastanawiała się, do kogo należał Gatti. Jeśli właściciel go znajdzie, czekają go straszne rzeczy. A i pan Serim też pewnie będzie miał na głowie milicję. Na pewno ktoś zauważył, jak autofantom wbiega do jego warsztatu...

Obawy o przyszłość sprawiały, że Tala długo przekręcała się w łóżku z boku na bok. W końcu jednak zmęczenie wzięło górę i zasnęła twardym snem.

Talę obudziły promienie słońca wpadające przez okno. Przespała budzik o godzinę. Na szczęście dziś był tamvas, czyli środek tygodnia, co oznaczało, że ma wolne od pracy. Baris wciąż chrapał odwrócony twarzą do ściany. Tala zeszła na parter. Rodzice gdzieś zniknęli. Wstąpiła do kuchni, ugotowała owsiankę i zjadła ją w pośpiechu, zostawiając trochę dla brata.

Nie chciała siedzieć w domu. Bała się, że przyjdzie tutaj milicja i zaczną ją wypytывать o to, co działo się wczoraj. Napisała Barisowi na kartce, żeby był grzeczny i pamiętał o lekarstwach i że przyniesie mu jakiś smakołyk. Potem ubrała buty i wyszła na zewnątrz, zamykając drzwi na klucz. Postanowiła pójść do parku Stramsona posłuchać koncertujących grajków.

Podczas drogi trochę się denerwowała. Rozglądała się za każdym kryształowozem, sprawdzając, czy to aby nie milicyjna furgonetka, wypatrywała też niebieskich mundurów pośród różnorodnych strojów przechodniów. Gdy dotarła już do alei prowadzącej wprost do parku, odetchnęła nieco. Raczej nikt nie powinien szukać jej tak daleko od domu...

– Hej, Tala! – Usłyszała nagle za sobą czyjś głos.

Wzdrygnęła się z początku, lecz zaraz rozpoznała ten charakterystyczny, metaliczny ton. W wąskiej bocznej uliczce, którą przed chwilą minęła, stał Gatti ubrany w sięgający kostek płaszcz z kapturem, ten zabrany z warsztatu. Nie przyjrawszy się dobrze, nie sposób było poznać, że to autofantom, a nie człowiek.

Tala rozejrzała się dookoła i poszła za Gattim. Razem ruszyli w dół ulicy, by nie wzbudzać podejrzeń.

– Co ty tu robisz? – zapytała półgłosem dziewczyna. – Dlaczego mnie śledzisz?

– Bo... – Gatti urwał na moment. – Nie wiem, co mam zrobić. Nie wiem, dokąd pójść.

– Nie myślałeś o ucieczce do lasów na południu? Tam masz większe szanse na ukrycie się.

– Ale... ja się boję. Przez całe swoje istnienie służyłem ludziom. Nie wiem, jak mam sobie poradzić bez nich.

– Ja też się boję, Gatti. Wielu rzeczy. Choćby tego, że mój brat umrze albo że rodzice nas zadłużą przez swój nałóg. Albo tego, że będę miała problemy za to,

że ci pomogłam...

– Przepraszam!

– Ciii. – Tala przyłożyła palec do ust. – Bo ktoś nas usłyszy. Nie musisz mnie przepraszać. Razem z panem Serimem i Mabrotem zrobiliśmy to, co uznaliśmy za słuszne. Kto w ogóle cię tak urządził?

– Mój pan, don Adrios Manuvis. Pokłócił się z małżonką i zaczął mnie bić swoją buławą. Bałem się, że całkiem mnie zniszczy, dlatego uciekłem z pałacu, a przy tym jeszcze gorzej się poturbowałem. Nie powinienem był tego robić. Znajdą mnie i wyczyszczą pamięć, a wtedy nie będę już sobą. Tylko odwołokłem nieuniknione...

– Nie mów tak. Zawsze trzeba mieć nadzieję. Wiesz, dlaczego pan Serim cię naprawił, a nie zaciągnął na komisariat?

Gatti pokręcił głową.

– Jego żona zmarła parę lat temu – zaczęła opowiadać Tala. – Nie mogli mieć dzieci, choć dostali pozwolenie na dwójkę. Pan Serim chciał więc skonstruować własnego autofantoma, ale nigdy nie było go stać na moduł pamięci. On kocha maszyny i wierzy, że powinny być godnie traktowane. Dlatego ci pomógł. Jego poświęcenie nie może pójść na marne... Czeka, chyba jednak mam pewien pomysł.

– Jaki? – zapytał Gatti.

– Zobaczysz.

Tala przyspieszyła kroku, a autofantom podążył tuż za nią. Kluczyli przez labirynt wąskich uliczek prowadzących między rzędami kamienic. W końcu dotarli do Skraju – dzielnicy pełnej biednych chat skleconych z drewna, położonej tuż przy samej krawędzi płaskowyżu.

– Mam tutaj przyjaciółkę – wyjaśniła Tala. – Jest mi winna przysługę, a poza tym przyda się jej ktoś taki jak ty. Ludzie ze Skraju znają dobre kryjówki. Może po jakimś czasie twojemu panu znudzi się szukanie ciebie, bo sprawi sobie nowego autofantoma albo coś w tym stylu.

– Oby... – Gatti pokiwał głową.

Poszli razem przez błotnistą ulicę, mijając sterty śmieci i wychudzone dzieci bawiące się piłką. Tala przypominała sobie, jak wielkie szczęście miała, że spała pod solidnym dachem i znalazła dobrą pracę. Losem mieszkańców Skraju przejmował się mało kto poza nimi samymi. Porachunki panoszących się tutaj gangów były na rękę Czcigodnym Rodom – w końcu więcej zgonów oznaczało mniejsze ryzyko przeludnienia.

– To tu – odezwała się Tala, gdy stanęli pod niewielkim, krzywo zbitym domem z bluzgami wypisanymi farbą na ścianach. – Na razie zostań za mną, muszę to jakoś wytłumaczyć.

Podeszła pod drzwi i uniosła dłoń, żeby zapukać. Czula, że coś jest nie tak...

– Stać! Milicja!

Nadchodzili z tyłu. Tala nie wiedziała, jakim cudem ich wysłędzili. Za późno było jednak na rozważania. Zaczęła biec razem z Gattim ile sił w nogach, rozchlapując mętne kałuże. Mundurowi deptali im po piętach – szybkie spojrzenie za siebie utwierdziło Talę w przekonaniu, że są uzbrojeni w krystaloparalizatory mogące wystrzeliwać elektrody na kilkanaście stóp. To nie wróżyło niczego dobrego.

Dziewczyna i autofantom dotarli do skrzyżowania. Z przodu i z prawej nadciągały kolejne patrole milicji, odcinając im drogę powrotną do centrum miasta. Mogli pobiec tylko w lewo. Przez głowę Tali przetaczały się setki myśli, lecz żadna z nich nie układała się w sensowny plan. Znaleźli się w potrzasku. Tala błagała tylko, żeby milicjanci nie zbliżyli się do nich na zasięg krystaloparalizatora.

Z zaułków i podwórek wyglądali zaintrygowani miejscowi. W oddali wyły syreny – zapewne wezwano wsparcie. Na szczęście dla Tali i Gattiego większość uliczek Skraju była nieprzejezdna dla krystalowozów, więc służby musiały ścigać ich na piechotę. Na niewiele jednak to się zdawało, dystans malał w zastraszającym tempie...

Zarówno ten między milicjantami a Talą i Gattim, jak i ten między uciekającymi a granicami miasta. Autofantom i dziewczyna zbliżali się do leciwego muru dzielącego Skraj od przepaści. Droga, na której się znaleźli, prowadziła wprost do niego.

Serce Tali chciało wyrwać się z piersi, do oczu napływały jej łzy. Żałowała, że w ogóle pomogła Gattiemu. Teraz pewnie zamkną ją w więzieniu, rodzice całkiem ulegną nałogowi, a Baris zostanie sam i umrze...

Chciała już się zatrzymać, ale Gatti pociągnął ją za rękę.

– Mam plan. Będzie dobrze.

Gdy dobiegli pod sam mur, autofantom chwycił ją pod pachę i zaskakująco sprawnie wdrapał się na górę po stercie śmieci i wykruszonych kamieni.

– Dziękuję za to, że daliście mi choć iskierkę nadziei – szepnął do Tali. – Bardziej boję się niewoli niż odejścia w nieznane.

Raptem stanął za nią, tuż na samej krawędzi muru, oderwał sobie palec wskazujący prawej dłoni i przystawił ostry, iskrzący się kikut do jej szyi.

– Nie ruszajcie się albo dziewczyna zginie!

Milicjanci zatrzymali się tuż pod murem, mierząc krystaloparalizatorami w Gattiego. Tala zaczęła rzewnie płakać.

– Błagam, pomóżcie mi! Ja nie...

– Jest niewinna – przerwał jej Gatti. – Powiedziałem jej, że ją zabiję, jeśli ze mną nie pójdzie.

– Nie negocjujemy z przestępcami! – warknął któryś z milicjantów.

Gatti jeszcze przybliżył kikuta do jej krtani. A jeśli naprawdę chciał...

Tala nagle poczuła, jak uchwyt się rozluźnia. Spojrzała za siebie. Gatti runął w przepaść, prosto w Morze Mgieł. Odegrał to wszystko, żeby ocalić ją od kłopotów.

Czas jakby wyhamował. Tala padła na kolana i zawyla rozpaczliwie, a milicjanci zaczęli wspinać się na mur.

Atmosfera w warsztacie mistrza Serima była wyjątkowo przygnębiająca. Co prawda po przesłuchaniu milicjanci puścili wszystkich wolno, uznając Gattiego w pełni winnym za całe zamieszanie, ale plotki o tych zdarzeniach szybko rozniosły się po mieście. Spora część klientów zaczęła omijać warsztat szerokim łukiem, zapewne nie chcąc angażować się w podejrzaną sprawę.

Tala nie wiedziała, który to już raz zamiata podłogę z braku innych zajęć. Mabrot stał za ladą znużony jeszcze bardziej niż zwykle, a pan Serim siedział przed przejściem na zaplecze i czytał gazetę, wzdychając głęboko co chwilę.

Z marazmu wyrwał wszystkich brzęk dzwonka. Do środka wszedł wysoki jegomość w białym surducie, z długimi, błyszczącymi włosami, okularami o pozłacanych oprawkach na nosie i buławą przytroczoną do pasa.

– Dzień dobry. Don Adrios Manuvis – przedstawił się i ukłonił lekko. – Mam nadzieję, że nie przeszkadzam. – Uśmiechnął się zawadiacko.

– Ależ nie, wasza miłość... – powiedział pan Serim, wstając ze stołka. – W czym możemy służyć?

– Dobrze wiem, że Gatti was nie zastraszył. – Don Manuvis podszedł do lady i zaczął stukać o nią palcami. – Ten autofantom nie skrzywdziłby muchy. Poza tym wasze zeznania trochę się nie zgadzały...

Tala przełknęła nerwowo ślinę. Poczuła, jak żołądek podchodzi jej do gardła.

– ...ale powiedzmy, że wybaczę wam to drobne uchybienie. Trochę się wyżyłem na Gattim, przyznaję, lecz według milicjantów nazajutrz prezentował się w świetnym stanie... Szkoda byłoby, żeby tak doskonali fachowcy zgnili w więzieniu. Jest tylko jeden warunek. Od dzisiaj pracujecie dla mnie. Potrzebuję kogoś, kto zbudowałby mi nowego sługę, lepszego od poprzedniego modelu. Zgoda?

– Oczywiście, wasza miłość – rzekł mistrz Serim. – To będzie dla nas zaszczyt.

– Doskonale. – Don Manuvis cmoknął głośno. – Później przyślę moich ludzi, ustalą z wami szczegóły umowy. Tymczasem życzę miłego dnia.

– Do widzenia, wasza miłość – odpowiedzieli wszyscy niemal jednocześnie.

Adrios Manuvis wyszedł z warsztatu, zamykając drzwi z trzaskiem.

– Jak to? – zdziwiła się Tala. – Będziemy pracować dla tego okrutnika?

– A wolisz zgnieć w więzieniu? – zakpił Mabrot.

– Tak wygląda świat, młodziutka – powiedział pan Serim. – Wciąż wiążą nas jakieś ograniczenia. Na Wielkiego Konstruktora, powinniśmy się cieszyć, że ta draka nie miała gorszego finału. Też mi żal Gattiego, ale nie zawsze da się żyć zgodnie z ideałami.

Tala zauważyła, że w oku zakreśliła mu się łza. Sama wzięła głęboki oddech, próbując uspokoić emocje. Może z tej sytuacji wyniknie coś dobrego. Może będzie zarabiać więcej i uzbiera na lepsze leki dla brata. A może poświęcenie Gattiego nie pójdzie na marne i jakoś uda się rozbić tę przesiąkniętą chciwością klikę Czcigodnych Rodów od środka...

Miała nadzieję, że nieskończone Morze Mgieł było dla niego spokojne.

Sylwester Gdela

Znany też jako Wicked G. Na fantastycznym poletku głównie pisze i redaguje, czasem też rysuje. Do ulubionych podgatunków zalicza weird fiction, postapo i mystic fantasy.

Bilet w jedną stronę

Sebastian R. Bielak

Stacyjna kasa biletowa to była prawdziwa tragedia architektoniczna. Próżno szukać w całej dolinie budynku równie niepasującego do otoczenia co ten. Z wyglądu przypominał bowiem drewnianą szopę na narzędzia, postawioną naprędce przez pijanego cieślę, który ze znanych tylko sobie powodów część odeskowania ścian ustawił w pionie, część w poziomie, a resztę... jak popadło. Efekt końcowy przedstawiał się żałośnie, wręcz tragikomicznie, i chyba nikt przy zdrowych zmysłach nie przypuszczał, że w tak obskurnej drewnutni można było nabyć bilety na podróż koleją parową w kierunku Wybrzeża Mgieł.

Ha! Kolej parowa! Niby szczyt współczesnej techniki, niby wynalazek stulecia, a tu proszę – bilety sprzedają w skleconej byle jak pasterskiej budzie. Ale tak to już bywa z wynalazkami. Dla dobra ludzkości tworzą je błędzący w chmurach idealisci oraz genialni wizjonerzy, ale gdy w końcu trafiają w ręce pospólstwa, stają się obiektem handlu drobnych cwaniaczków lub zwykłych partaczy. Ktoś przecież musi na tym zarobić.

Magnus Hundboghirs nacisnął porzewiałą klamkę i nie ruszając się z miejsca, delikatnie pchnął drzwi. Może był nazbyt ostrożny, ale wejście wyglądało tak lichy, że gwałtowne ruchy mogłyby oberwać deski z zawiasów. Nie chciał, żeby masywne wrota, ważące pewnie z połowę *gharka*, spadły mu prosto na nogi. Suche drewno nieprzyjemnie zaskrzypiało, zawiasy zgrzytnęły, wysypując z siebie drobinki rdzy, ale drzwi otwały się na oścież, nie stawiając większego oporu. Pozostało już tylko przekroczyć niski próg i zagłębić się w ciepłym zaduchu, który zionął z wnętrza budynku.

W środku było podejrzenie cicho i spokojnie, pachniało starym kurzem oraz dymem z ogniska. Zupełnie tak, jakby niesforne dzieciaki zaproszyły ogień na strychu wiekowego drewnianego domu, a potem dały dyla do lasu, zostawiając za sobą cały płonący bajzel w prezencie dla miejscowej straży ogniowej.

Miniaturowa poczekalnia świeciła pustkami, a jedynym potencjalnym podróżnym, który z niej korzystał, był kot. Zwinięty w kłębek i odwrócony

zadkiem w kierunku drzwi, drzemał sobie cicho w kącie, demonstrując całkowity brak zainteresowania otaczającym go światem.

Najdobitniej rzecz ujmując – wewnątrz kolejowej kasy sprawiało wrażenie, jakby nawet pies z kulawą nogą od dawna tutaj nie zaglądał, a tym bardziej żaden pasażer kolei. Wszystko spowijał gęsty półmrok, który z trudem rozświetlała stara i niemiłosiernie okopcona lampa olejowa, wisząca na parcianym sznurze, przywiązany do jednej z belek sufitu.

Na podłodze wałyły się pojedyncze szczapy drewna i pokruszone brykiety antracytu, natomiast w rogu pomieszczenia stał blaszany piecyk, w którym cicho buzował ogień. Od czasu do czasu z wnętrza paleniska wylatywał snop drobnych iskier, przy akompaniamencie syku pary oraz trzasków rozprężającego się, gorącego powietrza.

Za kontuarem zbitym z nieheblowanych desek stał kasjer. Podparty na łokciach, pracownik Powszechnej Kompanii Przewozowej, czytał starą gazetę i z nudów, lub z przyzwyczajenia, dłubał palcem w nosie. Jednocześnie coś jadł albo zawzięcie żuł tytoń, gdyż cały czas w specyficzny sposób poruszał szczęką. Na szczęście przynajmniej usta miał zamknięte i nie mlaskał, bo tego to już byłoby za wiele. Nawet na pierwszy rzut oka widać było, że jest osobą mocno zajętą i nie zwracającą szczególnej uwagi na najbliższe otoczenie. Najwyraźniej zapomniał, że jest w pracy.

Stacyjny subiekt w ogóle nie przypominał typowego czeladnika, terminującego u mistrza cechowego czy choćby u zwykłego rzemieślnika. Wysoki i barczysty, z twarzą pooraną bruzdami wyglądał, jakby ktoś ubrał go w szarobury surdut, na nos nasadził druciane binokle, a następnie posadził za ladą i kazał udawać etatowego kolejarza. Ze swoją słuszną posturą, wydatnymi łukami brwiowymi, kwadratową szczęką z tygodniowym zarostem oraz dłońmi wielkości małych bochnów chleba wykazywał wyraźne podobieństwo do pół ogra tudzież dobrze wyćwiczonego ćwierć ogra.

Kawał byka, pomyślał Magnus, patrząc na potężne bary kasjera. Jak nic będzie miał ponad sześć stóp wzrostu i może nawet ze dwa gharki żywej wagi. Z takimi warunkami fizycznymi to raczej powinien ręcznie ładować węgiel do wagonów, ewentualnie przeciągać puste lory stojące na bocznicy, a nie bilety sprzedawać. Zupełnie nie pasuje do tego miejsca.

Na widok klienta troglodyta w kolejarskim uniformie ściągnął z nosa binokle, schował pod ladę wymiętą gazetę i niedbałym ruchem poprawił ułożenie swojej dwurzędowej, służbowej marynarki, która miejscami nie tylko była poplamiona, ale również mocno sfatygowana. Ruchy miał przy tym wybitnie oszczędne, wręcz ślamazarne, zupełnie jakby chciał pokazać, że nigdzie mu się nie spieszy, a już na pewno nie do obsługi podróżnych.

Na koniec odchylił raz jeszcze poły surduta, sięgnął do lewej kieszeni

kamizelki i wyciągnął z niej mechaniczny zegarek zawieszony na długim, posrebrzanym łańcuszku. W ciszy panującej w pomieszczeniu, pstryknięcie otwieranej klapki zabrzmiało prawie jak wystrzał z pistoletu skałkowego. Kasjer sprawdził aktualną godzinę, zatrzasnął z powrotem wieczko i z miną człowieka zmęczonego życiem spojrzał na Magnusa.

– Szanowny pan życzy sobie bilet pasażerski czy przewozowy? – zaczął konwersację z wyraźnie udawaną grzecznością, uważnie lustrując wygląd zewnętrzny swojego rozmówcy.

Pół biedy, gdyby tylko dyskretnie rzucił okiem. Przecież w gruncie rzeczy wszyscy nawzajem się obserwują, więc właściwie nie byłoby w tym nic zdrożnego. Sęk w tym, że zrobił to w najgorszy z możliwych sposobów. Bez ceregieli zmierzył klienta od stóp do głów tak dokładnie, jakby chciał zapamiętać kolor i kształt każdego guzika na jego ubraniu.

Magnus musiałby być ślepy, żeby nie zauważyć, że właśnie został oceniony i chociaż nie zdążył nawet otworzyć ust, żeby powiedzieć „dzień dobry”, jego ewaluacja nie wypadła zbyt dobrze. Biorąc pod uwagę pogardliwy uśmiezek, jaki zagościł na nieprzyjemnej facjacie kasjera, mógł liczyć co najwyżej na dwa punkty w skali od jeden do dziesięciu.

Co za prostak, obruszył się Magnus. Sam wygląda niewiele lepiej niż odziany w stare łachy ogr na wybiegu, ale do oceny innych jest pierwszy. Pewnie liczył na suty napiwek, a tu nic z tego. Złamanego grosza ode mnie nie dostanie, głębia jeden.

Magnus nie przepadał za ludźmi, którzy oceniają innych wyłącznie po wyglądzie albo – jeszcze gorzej – po wartości noszonych ubrań. Drażniło go to tym bardziej, że chociaż starał się zawsze wyglądać schludnie, to tak naprawdę nie przywiązywał wagi do tego, w co był ubrany. Musiało być po prostu ciepło, sucho i wygodnie.

Tak jak teraz, gdy po raz kolejny wyruszał w daleką podróż. Na nogach miał bawełniane, zgniłozielone spodnie z wełnianą podszewką, wpuszczone w wysokie cholewki skórzanych butów. Buty co prawda były stare i znoszone, ale za to solidnie nasączone pszczelim woskiem lanym na gorąco – nie przemakały nawet w najgorsze letnie ulewy czy w czasie wiosennych roztopów. Pikowana kurta też była skórzana, podbita wełną jak spodnie, bo w górach nawet latem potrafi być zimno. Znać było, że zszywana i łatana w paru miejscach, więc nie wyglądała najlepiej, ale i tak była sto razy lepsza niż to nowe dziadostwo sprzedawane u handlarzy starzyzną.

Na głowie miał niski cylinder z podgiętym rondem i przeciwsłonecznymi goglami z przydymionego szkła. Pod szyję założył fular, a na plecy plecak podróżny własnego pomysłu ze stelażem z lekkiego, ale wytrzymałego drewna jodłowego, obciążonego wyprawioną skórą z górskiego kozła. Za pasem zatknął skórzane rękawice i Mechaniczny Nadziak, który – w zależności od aktualnych

potrzeb – służył albo jako podręczna broń obuchowo-sieczna, albo jako... zwykła laska podróżna. Całość ekwipunku dopełniała, wystająca z bocznej kieszeni plecaka, drewniana kolba Samopowtarzalnego Garlaczka, którą dla lepszego efektu wizualnego obito mosiężnymi ćwiekami.

Może faktycznie, jak na dzisiejsze czasy, nie ubieram się zbyt modnie, Magnus próbował być obiektywny, ale nikomu nic do tego, a już na pewno nie dam sobą pomiatać byle łachmycie w spranym mundurku.

Sprzedawca biletów zrobił na nim jak najgorsze wrażenie, dlatego zupełnie stracił ochotę na tak popularną ostatnio, zwłaszcza w dużych miastach na wybrzeżu, towarzyską etykietę. Życie po raz kolejny pokazało mu, że wobec klasycznych kmiotków nie warto być specjalnie uprzejmym.

– Widzi pan tu jakieś skrzynie, kufry, sznurowane pakunki albo inne tego typu toboły? – zwrócił się do kolejarza.

– Nie – usłyszał w odpowiedzi.

– Może zostawiłem coś przed wejściem do kasy?

Kasjer niechętnie rzucił okiem przez uchylone okno. Z wyjątkiem kilku śmieci walających się po drewnianym podeście oraz pary gołębi namiętnie obsrywających poręczę, przed budynkiem nie było dosłownie niczego.

– Nie – odburknął.

– Otóż to! Skoro jestem tu sam, bez dobytku i tragarzy, ale za to z plecakiem i bronią, to chyba raczej nietrudno zgadnąć, że wybieram się w podróż i będę zainteresowany kupnem pojedynczego biletu pasażerskiego?

– Proszę szanownego pana, ja tu nie jestem od zgadywania, tylko od sprzedawania biletów. Wchodzi klient, to rutynowo pytam. Skąd mam wiedzieć, jaki będzie chciał bilet? Jasnowidzem przecież nie jestem. Wróżką tym bardziej.

– Doświadczony subiekt rozpozna podróżnego z daleka, a jak się nie ma doświadczenia, to trzeba nadrabiać spostrzegawczością. I nie ma zmiłuj się, proszę szanownego pana. Ja wiem, że czytanie gazet odmóżdża, ale przecież sprzedawanie biletów nie zwalnia z myślenia. Nieprawdaż?

Kasjer nic się nie odezwał, ale popatrzył na upierdliwego klienta dość wymownie. Gdyby wzrok mógł zabijać, to Magnus padłby trupem na miejscu, bez najmniejszych szans na jakąkolwiek skuteczną pomoc ze strony medyków.

Trafiony, zatopiony, pomyślał krasnolud, widząc zacięty wyraz twarzy u swojego rozmówcy. To powinno nauczyć pana kolejarza dobrych manier.

Stało się jednak zupełnie coś innego. Zamiast spróbować obrócić wszystko w żart i nie nakręcać niepotrzebnego konfliktu, obrażony kasjer sięgnął po pierwszą lepszą stertę dokumentów zalegających na ladzie, po czym zaczął je wertować, ostentacyjnie czytając każdą pojedynczą kartkę papieru. W pomieszczeniu zapadła niezręczna cisza, przerywana od czasu do czasu trzaskami ognia dobiegającymi z wnętrza paleniska.

– Długo tak będę stał i czekał, aż pan łaskawie skończy lekturę i wypisze ten bilet? – odezwał się po chwili Magnus.

– Może – odburknął kolejarz, nie odrywając oczu od przeglądanych papierów. – To zależy.

– Od czego?

– Od tego dokąd chce pan jechać.

– To chyba oczywiste, że do Technopolis. – Magnus był szczerze zdziwiony tym zupełnie niedorzecznym pytaniem. – Gdzież indziej miałbym jechać, skoro tutejsza stacja kolejowa ma tylko jedno jedyne połączenie, właśnie z Technopolis. Kto jak kto, ale sprzedawca biletów raczej powinien wiedzieć takie rzeczy.

– No cóż... – zaczął kasjer, próbując zyskać trochę czasu na wymyślenie sensownej riposty. – Właściwie to ma pan rację, ale przecież po drodze znajduje się kilka stacji pośrednich, na których obsługa lokomobili uzupełnia zapasy wody i drewna.

– I co z tego? – zapytał krasnolud, dając się wciągnąć w dyskusję.

– To z tego, że szanowny pan mógłby zechcieć wysiąść na jednej z nich.

– W samym środku dziczy? A niby po co?

– A choćby po to, żeby trochę grzybów nazbierać w lesie albo zwierzka jakiegoś dzikiego i rzadkiego zobaczyć. Takiego widłogona, na przykład, albo szablaka.

– Panie, czy ja wyglądam na grzybiarza albo romantycznego miłośnika przyrody? – Magnus zaczynał powoli tracić cierpliwość. – Leśnych grzybów nie zbieram, bo się na nich nie znam, a do widłogonów i szablaków w pojedynkę się nie zbliżam, bo mi życie miłe. Przestań pan wreszcie te dyrdymały opowiadać, tylko zabierz się waść w końcu za wypisywanie biletu, bo jak tak dalej pójdzie, to będziemy prowadzić słowne utarczki aż do zachodu słońca.

Kilka słów reprimendy ze strony zdenerwowanego klienta dałoby do myślenia każdemu normalnemu subiekтови, ale na impertynenckim kolejarzu nie zrobiło żadnego wrażenia. Mało tego, wyglądało na to, że wcale nie ma zamiaru dać za wygraną i właściwie to dopiero się rozkręca.

– Bilet w jedną stronę, jak miernam? – zapytał Magnusa po krótkiej chwili namysłu.

– Nie, tam i z powrotem – usłyszał w odpowiedzi. – Wracam do Czarnej Doliny, jak tylko załatwię kilka ważnych spraw w Technopolis.

– A pieniądze są? Pytam, bo taka podróż do tanich nie należy.

– Oczywiście, że są – prychnął krasnolud, zde gustowany podejrzywaniem go o niewypłacalność. – Inaczej nie byłoby mnie tutaj. Ile się należy zatem?

Kasjer niedbałym ruchem otworzył leżący na ladzie gruby skoroszyt, po czym zaczął wertować kolejne jego strony, co jakiś czas wodząc palcem po papierze. Najwyraźniej czegoś szukał, a przynajmniej takie sprawiał wrażenie. Kiedy wreszcie intensywne poszukiwania szczęśliwie dobiegły końca, zamknął

brulion, energicznym ruchem odsunął go na bok i uśmiechnął się. Jego zadowolona gęba nie wróżyła niczego dobrego.

– Cena wynosi dziesięć sztuk srebra za przejazd w jedną stronę, czyli razem szanowny pan ma do zapłacenia dwadzieścia srebrnych technów.

– Ile? Człowieku, przecież to rozbój w biały dzień! – Magnus wściekł się nie na żarty. – Za takie pieniądze to ja mógłbym kupić sobie cały wagon, a nie jakiś cholerny bilet!

Jako typowy krasnolud był bardzo oszczędny, dlatego każda sytuacja, w której miałby za cokolwiek przepłacać, podnosiła mu ciśnienie lepiej niż dzbanek mocnej kawy z importu.

– Przecież jeszcze miesiąc temu bilet do Technopolis kosztował jedną sztukę srebra. – Magnus starał się znaleźć jakieś logiczne wytłumaczenie tej absurdalnej podwyżki. – I to w pierwszej klasie! Mam rozumieć, że nagle zdrożał dziesięć razy?

– Nie nagle, tylko wczoraj, i nie zdrożał, ale zmianie uległa taryfa cenowa dla klientów indywidualnych – odezwał się kolejarz w typowej dla przedstawicieli handlowych nowomowie. – Poza tym zostały już zaledwie dwa bilety, więc taniej nie będzie.

– Ostatnie dwa bilety? – zdziwił się Magnus. – Ciekawe, przecież przestrzeni w wagonach nigdy dotąd nie brakowało. Zeszłej jesieni, kiedy okazało się, że wszystkie miejsca siedzące są już zajęte, widziałem, jak wielu podróżnych rozkładało swoje toboły wprost na podłodze, między ławami. Mało tego, słyszałem od konduktora, że w razie potrzeby można też było spać na waleta w słabo ogrzewanych brankardach. Od kiedy to kolej numeruje miejsca w składzie?

– Od tego sezonu przewozowego, proszę szanownego pana, a dokładnie od dzisiejszego kursu – odpowiedział kasjer z miną niewiniątka i z beczelnym uśmiechem malującym się na jego twarzy od ucha do ucha.

– Naprawdę? – Krasnolud był coraz bardziej poirytowany tupetem subiekta. – Cóż za nieprawdopodobny zbieg okoliczności.

– Przykro mi, nowe zarządzenie z centrali.

– Do diaska! Jakiej znowu centrali? – Magnus nie wytrzymał nerwowo, widząc, że kolejarz próbuje wciskać mu kolejne kłamstwa, już nawet nie małą łyżeczką, ale sporej wielkości chochlą. – To skromne biuro, stojące nieopodal parowozowni na Dworcu Portowym w Technopolis, nazywa pan centralą? Wolne żarty, przecież to zwykły barak.

– Owszem. – Kasjer nie dał się zbić z pantafelów, choć przez sekundę lub dwie wyraz jego oczu wskazywał na lekką konsternację. – Zarządzenie dotarło do nas wczoraj po południu z głównej siedziby naszej kompanii w Technopolis. Otrzymałem je prosto od samego dyrektora, pana Geoffreya Batesa.

– Niesamowite! Lokomobili jeszcze nie ma, a nowe wytyczne już są – odparł z przekąsem krasnolud. – Winszuję wzorowej organizacji pracy na kolei.

– Dziękuję za te cenne słowa uznania dla naszej kompanii. – W głosie kolejarza pobrzmiwał fałsz, którego nie sposób było nie zauważyć. – Dokładamy wszelkich starań, aby jakość świadczonych przez nas usług była coraz wyższa.

– Ha, ha, ha! – parsknął śmiechem Magnus. – To jest chyba najlepszy żart, jaki ostatnio usłyszałem. Rozumiem, że ta rozpadająca się kasa kolejowa i bilet w cenie wagonu są w ramach owego podnoszenia jakości?

– Ależ nic podobnego. – Subiekt próbował udawać skonfundowanego niesłusznymi zarzutami klienta. – Chyba źle mnie pan zrozumiał, bo...

– Z pewnością dobrze pana zrozumiałem – przerwał krasnolud. – Chociaż to, co przed chwilą usłyszałem, przeczy zdrowemu rozsądkowi. Jak mniemam, chce mnie pan przekonać, że przebywający kilkadziesiąt staj stąd znany fabrykant i dyrektor poważnej spółki nagle pojawił się tutaj osobiście tylko po to, żeby wręczyć szeregowemu pracownikowi jakiś świstek papieru? I co, może jeszcze się okaże, że pan Bates magicznie się tutaj teleportował?

– Ależ skąd, wielmożny panie! Nasza kompania nie używa przedmiotów magicznych, ponieważ wiadomym jest, że działają one destrukcyjnie na wszelkie urządzenia mechaniczne. Pan Bates po prostu wysłał do nas gołębia pocztowego.

Magnusa zatkało. Na moment zupełnie zaniemówił, chociaż należał do osób raczej wygadanych – takich, co to potrafią się odnaleźć niemal w każdej sytuacji. W sumie trudno mu się dziwić, skoro tupet jego rozmówcy przekraczał wszelkie normy przyzwoitości i z prędkością szarżującego odyńca zbliżał się do granicy jawnej bezczelności. Najgorsze w tym wszystkim było to, że chociaż kasjer łął w żywe oczy, to jednak robił to z istic mistrzowską wprawą.

Właściwie na pierwszy rzut oka mogłoby się wydawać, że mówi prawdę, i nawet obecność kilku gołębi przed budynkiem zdawała się potwierdzać jego słowa. Jednak każdy, kto spędził w Czarnej Dolinie przynajmniej jeden sezon i choćby pobieżnie poznał najbliższą okolicę oraz zwyczaje jej mieszkańców, wiedział, że nikt przy zdrowych zmysłach nie wykorzystuje w dziczy gołębi pocztowych jako środka komunikacyjnego. Kruki owszem, ale nie gołębie. To trochę tak, jakby wypuścić stadko owiec do lasu pełnego wilków z nadzieją, że czworonożne drapieżniki nie zauważą wałęsającej się w ich pobliżu łatwej zdobyczy.

Przy tej ilości ptaków drapieżnych patrolujących Góry Szare oraz otaczające je równiny nie miało to większego sensu, ponieważ każdy gołąb, który próbowałby dolecieć tutaj z wybrzeża, byłby martwy już godzinę po starcie. W ciągu dnia wypatrzyłyby go bystrookie kondory, orły lub jastrzębie, natomiast nocą bez problemu zostałyby schwytany przez puchacze lub sowy, których słuch wydawał się być niemal absolutny.

Nawet jeżeli kompania kolejowa trzymała gołębie pocztowe na dachu swojego biura w Technopolis i wykorzystywała je do korespondencji w obrębie miasta, to wysyłanie pojedynczego ptaka w góry nie miało żadnego racjonalnego uzasadnienia. No, może gdyby wyekspediować na raz całe stado, to jedna lub dwie sztuki ewentualnie dotarłyby w całości do Czarnej Doliny, ale kto pozwoliłby sobie na taką rozrzutność?

W każdym razie Magnus miał stuprocentową pewność, że jest bezczelnie okłamywany, aczkolwiek nie bardzo wiedział, co z tym zrobić. Kłamstwa nie mógł udowodnić, a prawda nie potrafiła się sama obronić. Resztkami dobrej woli spróbował jeszcze pertraktować warunki finansowe swojej podróży, ale czuł przez skórę, że w tych okolicznościach jego wysiłek i tak pójdzie na marne.

– Może znalazłaby się jakaś bonifikata cenowa z tytułu przejazdu w obydwie strony? – zwrócił się niepewnie do kasjera.

– Wykluczone! – usłyszał w odpowiedzi.

Stanowczy ton głosu kolejarza mówił sam za siebie, ale sprzedawca biletów nie byłby sobą, gdyby nie dorzucił czegoś ekstra.

– Poza tym rabaty przysługują wyłącznie poważnym klientom.

Słowo „poważnym” wypowiedział takim tonem, że nawet gdyby zamiast Magnusa stał przed ladą kompletny idiota, to i tak szybko dotarłoby do niego, że pan subiekt ma go w wyjątkowo głębokim poważaniu.

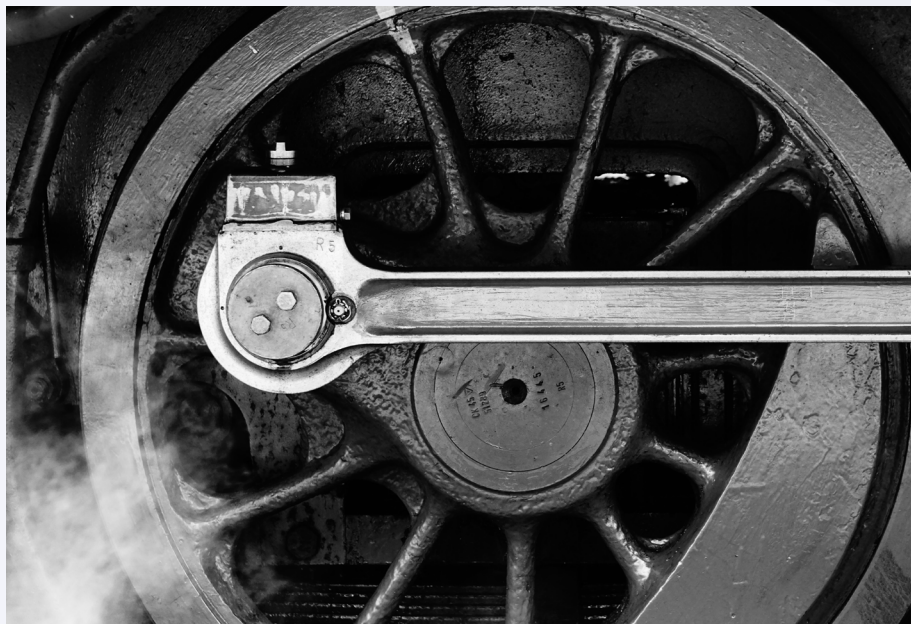
– Aha. Mam rozumieć, że na dobrej opinii wśród podróżnych zupełnie wam nie zależy? – Krasnolud zadał pytanie, które z wiadomych względów było czysto retoryczne. – Przy takim zdzierstwie i lekceważącym podejściu do klienta daleko nie zajedziecie.

– Bilety kolejowe to nie bulwy ziemniaczane, proszę szanownego pana. – Kasjer nie pozostawał dłużny. – Nie psują się, nie kielkują, więc mogą poleżeć i poczekać na klienta z odpowiednią ilością gotówki w sakiewce. Lokomobila pojawi się na stacji najwcześniej za dwie lub trzy godziny, więc jest jeszcze sporo czasu na ich sprzedaż.

– Czasu jest sporo, owszem, ale chętnych coś brakuje. I wcale się nie dziwię, te bilety są po prostu nieludsko drogie. Proszę spojrzeć, jakimi pustkami świeci poczekalnia. Nie ma w niej ani jednego pasażera.

– Bo wszyscy podróżni już dawno są na peronie. Poza tym nikt nie zmusza pana do korzystania z usług naszej kompanii. Zawsze można spróbować dotrzeć do Technopolis na piechotę i w ten sposób zaoszczędzić trochę gotówki, nieprawdaż?

Kąśliwa uwaga kolejarza to już nawet nie była klasyczna złośliwość, a raczej zwykła prowokacja. Nikt przy zdrowych zmysłach nie wyruszyłby w samotną wędrówkę z Czarnej Doliny na Wybrzeże Mgieł. Przede wszystkim ze względu na ogromny dystans i związane z tym koszty, ale też z powodu licznych



Hidde Schalm - unsplash.com

niebezpieczeństw czyhających po drodze.

Równie dobrze można by było spróbować zjechać na saniach z ośnieżonych zboczy górskich z opaską zawiązaną na oczach oraz z optymistycznym założeniem, że jakoś uda się dotrzeć do najbliższej doliny, szczęśliwie omijając po drodze wszystkie skały, rozpadliny i przepaście. No cóż... Cuda czasami się zdarzają, ale w tym przypadku rachunek prawdopodobieństwa mówił sam za siebie. Nie uda się.

– Jeżeli będę potrzebował porady na temat podróżowania, to z pewnością sam o nią poproszę – odpowiedział Magnus, siłąc się na spokój. – Na razie może skupmy się na cenie biletów, bo mam nieodparte wrażenie, że próbuje mnie pan nieźle naciągnąć.

Kasjer przewrócił oczami, jakby miał już serdecznie dość tej całej rozmowy, która w gruncie rzeczy bardziej przypominała mentalne zapasy niż intelektualną szermierkę. Zapewne sądził, że wszystko pójdzie gładko, sprzeda bilety po zawyżonej cenie – oczywiście chowając różnicę do własnej kieszeni – po czym raz dwa wróci do czytania gazety. Tymczasem, jak na złość, trafił mu się pyskаты klient, który nie dość, że szukał dziury w całym, to jeszcze próbował się mądrzyć.

– Proszę wybaczyć, ale nie widzę większego sensu w przedłużaniu tej jałowej dyskusji – zaczął kolejarz pewnym tonem. – Cena biletu nie podlega negocjacjom,

więc skoro pana NIE STAĆ, to nie mamy o czym rozmawiać. Poza tym mam jeszcze sporo rzeczy do zrobienia, dlatego zmuszony jestem się pożegnać. Do widzenia, wyjście jest po tamtej stronie.

Mówiąc to, wskazał kciukiem na drzwi znajdujące się za jego plecami. Magnus się zagotował. Złośliwości i słowne potyczki to jedno, ale zwykle chamstwo to już zupełnie coś innego.

– Kawał z pana chama! – wrzasnął na kasjera. – Kogo nie stać? Mnie nie stać?! Kto to widział, żeby do obsługi podróżnych zatrudniać tak nieokrzesany i niewykwalifikowany personel. Nieogolona gęba, brudne i pomięte lachy, a do tego całkowity brak ogłady. Po prostu skandal. Gdzie jest książka skarg i zażaleń?

Reakcja sprzedawcy biletów była nad podziw spokojna. Najwyraźniej albo zupełnie niczym się nie przejmował, albo już nieraz przerabiał podobną sytuację. Nie spuszczać wzroku z Magnusa, sięgnął pod ladę, wyciągnął jakieś zawiniątko i rzucił je na drewniany blat.

– Proszę bardzo.

Książka skarg i zażaleń okazała się być starym, pomiętym i poplamionym notesem, do którego doczepiono na sznurku ołówek. Ołówek oczywiście był połamany, a kartki papieru tak zatłuszczone, że jedyne do czego się nadawały, to kosz na śmieci.

Ale bezczelny i pewny siebie sukinsyn, pomyślał Magnus. Najpierw chciał mnie orznać, a teraz kpi sobie ze mnie w żywe oczy. Chyba czas zrobić z nim porządek.

– To już jest szczyt wszystkiego! – ryknął kolejarzowi prosto w twarz. – Chcę natychmiast rozmawiać z kierownikiem tego przybytku!

Na zarośniętej facjacie kasjera ponownie zagościł złośliwy uśmieszek, który oprócz wrednego charakteru, odsłonił również liczne ubytki w jego uzębieniu, mocno pożółkłym od przeżuwanego tytoniu.

– Jak pan sobie życzy.

Z iście teatralną nonszalancją splunął na podłogę, nawet nie próbując trafić do specjalnie postawionej tam blaszanej spluwaczki, po czym po raz kolejny sięgnął pod ladę. Tym razem jednak wyciągnął na wierzch... czapkę zawiadowcy stacji.

Jak gdyby nigdy nic założył ją na głowę, ostentacyjnie poprawił pod szyją muślinowy krawat, a następnie z miną wytrawnego pokerzysty, który – nie dość, że gra znaczonymi kartami, to jeszcze ukrywa w rękawie wszystkie cztery asy – nachylił się nad Magnusem i już bez udawanej grzeczności wycedził przez zęby.

– Jeżeli o mnie chodzi, ty... ty... brodaty kurduplu, to wcale nie musisz kupować tego biletu. Skoro nie stać cię na podróż koleją, to wracaj do tej swojej zapyziałej kopalni i nie zwracaj mi więcej głowy. Mam lepsze zajęcia, niż użeranie się z namolnymi podróżnymi.

Magnusa zamurowało. Już dawno nie spotkał się z takim tupetem i to jeszcze

ze strony, bądź co bądź, zwykłego subiekta, który – przynajmniej teoretycznie – powinien zachowywać się wobec swoich klientów co najmniej taktownie, a najlepiej uprzejmie. Traktowania podróżnych per nogam nie mógł kolejarzowi puścić płazem. Co to, to nie.

Dość gadania, pora lania! – Magnus wyrecytował w głowie swoje ulubione powiedzonko. Bynajmniej nie chciał zaczynać dnia od mordobicia, ale wredny bileciarz sam prosił się o kłopoty.

Nie spuszczając kasjera z oczu, schylił się i ręką przesunął w prawo leżący na podłodze plecak, robiąc w ten sposób trochę miejsca na ewentualną pracę nóg i zabezpieczając swój skromny dobytek przed całkowitym zdeptaniem. Prostując się, poprawił pozycję na nieco mniej frontalną, nieznacznie uniósł ręce i lekko zacisnął dłonie w pięści. Stąd był już tylko mały krok do pełnej gardy.

W stacyjnej poczekalni szykowała się niezła chryja.

Sebastian R. Bielak

Trochę już w swoim życiu napisałem, popełniłem nawet dwie książki, ale z fantastyką jeszcze nigdy się nie mierzyłem. Nigdy jako autor. Odkąd sięgam pamięcią, zawsze byłem po tej drugiej stronie – po uszy zaczytany w powieściach Tolkiena, Pratchetta, Sapkowskiego i innych znanych (lub mniej znanych) twórców. W przerwach pomiędzy rozbudzającymi wyobraźnię lekturami sięgałem po klimatyczne gry rpg, z których do dziś największym sentymentem darzę klasyki gatunku, takie jak Baldur's Gate czy Arcanum. To właśnie ten drugi tytuł uświadomił mi, że moim ulubionym uniwersum jest Świat Pary, a ponieważ przez długi czas nie mogłem znaleźć autora, którego twórczość w pełni odpowiadałaby moim wyobrażeniom o tym świecie, postanowiłem zakasać rękawy i samemu coś skrobnąć. Jakie są tego efekty, sami oceńcie, ale pamiętajcie – nie od razu Kraków zbudowano.

Zieleń Nekromancka

Aleksandra Stanisław

Gabriela odłożyła pędzle na toaletkę i ujęła twarz kuzynki, szukając luk w nałożonym kamuflażu – róż nadał rumieńców poszarzałej cerze, czernidło zagęściło brwi, ekstrawagancka czerwień na ustach odwróciła uwagę od ich wiotkości. Efekt zakłócał przenikający przez cieńszą skórę subtelny, niemożliwy do zamaskowania blask animującego ciało zaklęcia.

— Wyglądasz jak żywa! — zawyrokowała.

— Ale po co to wszystko? — szepnęła Melania.

— Tak czekałaś na ten pokaz! Jaka byłaby ze mnie gospodyni, jeśli dałabym ci odejść tuż przed nim?

Kuzynka skrzywiła się, ale nie zaprzeczyła. Gabriela zauważyła z ulgą, że naciągnięta w grymasie skóra wygląda jak u chorej, nie jak u martwej.

To właśnie Gabriela o brzasku zajrzała do gościnnej sypialni zajętej przez osłabioną Melanię. Było tam nad wyraz cicho: umilkł świszczący oddech i szmer pościeli. Żaden cień nie poruszał się na szmaragdowych tapetach położonych tuż przed przybyciem kuzynki. Gdy do Gabrieli dotarło, co się stało, zamknęła pokój na klucz. Zakazała zegarowym sługom wchodzić do środka, upewniła się, że wszyscy żywi domownicy twardo śpią, i dla pewności utkała prosty czar, zapewniający im parę dodatkowych godzin spoczynku. Gdy już nie groziło jej nakrycie, udała się do strzeżonej przez uroki i zaklęcia biblioteki wuja Ernesta.

Wujek od paru miesięcy służył w jednostkach inżynieryjno-paromagicznych na dalekim froncie. Na czas swojej nieobecności udostępnił Gabrieli ten ułamek swego księgozbioru, który nie był nazbyt trudny bądź niebezpieczny dla dopiero szkolącej się paromagiczki, a resztę opieczętował czarem reagującym tylko na jego własne słowa. W całej swej życzliwości nie przewidział, że jeszcze przed jego wyjazdem siostrzenica odkryje sposób na obejście tego zabezpieczenia.

Gabriela uruchomiła fonograf, jednocześnie rozcierając w dłoniach parę kropeł roztworu żywej wody. Pomieszczenie wypełnił nagrany potajemnie głos wuja Ernesta. Było to jednak za mało, by oszukać czar. Młoda paromagiczka płatała eter wilgotnymi palcami, czujnie wygładzając wszelkie trzaski i szmery

zapisu na walcu, korygując tembr głosu oraz jego tempo. Ku jej uldze zakłęcie rozpoznało swego właściciela. Ciężki kredens ze zgrzytem rozchylił swe podwoje, ukazując rzędy specjalistycznych grymuarów. Gabriela odnalazła dział magii leczniczej, a tam – cienkie tomy w charakterystycznym odcieniu zieleni żywszej niżli wiosenna łąka.

Zgarnęła wszystkie pozycje o nekromancji i rozłożyła je na stole. Nie miała czasu, by na wzór wuja dokładnie wytrzeć dłonie, wdziać skórzane rękawiczki i owinąć twarz szalem. Zamiast tego przedzierała się przez indeksy, wodząc wciąż mokrymi palcami po szafirowym druku. W gorączce zapomniała o manierach i obgryzła paznokcie zazieleniałe od łuszczącej się z okładek farby. Nerwy dławily Gabrielę jak chyłkiem podana trucizna: każdy rytuał wydawał się zbyt złożony lub potężny jak na niewielkie potrzeby i jeszcze skromniejsze możliwości.

Dopiero w ostatniej księdze znalazła odpowiedni czar. Niedługo później zamknęła się w gościnnej sypialni ze składnikami z zapasów wuja, kurczącym wykradzionym z kurnika oraz aparatem tworzącym pary żywej wody. Nim wybiła szósta, Melania siedziała na łóżku, bredząc o niebiańskich łąkach. Udobruchała ją obietnica, że wróci tam, gdy obie zasną – zakłęcie działało tak długo, jak długo przytomny był sam paromag.

Fortel wypróbowały w trakcie śniadania. Pani matka nie знаła się za grosz na fachu brata, ale miała aż nazbyt dużo styczności z jego eksperymentami. Mimo to nie rozpoznała natury czaru. Co prawda, była zaskoczona wigorem siostrzenicy, która jeszcze wczoraj nie miała sił zejść na posiłek, jednak przyjęła na wiarę tłumaczenie o wykorzystaniu zakłęcia wigoru, by nie przegapić Wystawy. Rychło przeszła na bliższy jej temat: porad i pouczeń dotyczących uniknięcia kompromitacji podczas tak ważnego wydarzenia. Pochwaliła dobór rękawiczek na dłoniach córki do sukni, nieświadoma, że ukrywają skórę poczerwieniałą od ksiąg.

Po należyтым wyszukiwaniu się pojechały dorożką w gwarne miasto. Ulice były pełne pospólstwa tak żywego, jak zegarowego, a większość eleganckich mieszczan ciągnęła tam, gdzie i one: do Parku Wynalazców otaczającego ze wszystkich stron siedzibę Gildii Technik Eteryčných.

W końcu spomiędzy kamienic wyłoniły się korony drzew zanurzone w kłębach pary. Mgła wydawała się zamknięta w niewidzialnym kloszu szczelnie nakrywającym parkowe mury. Oniemiała z zachwytu Melania zapomniała udawać, że oddycha. Gabrieli uśmiech zamarł na ustach; uświadomiła sobie, że to ich ostatnia wspólna wycieczka. Ścisnęło ją w piersi. Nie wiedziała, czy wzmagająca się w niej słabość wynikała z żalu, czaru, czy rozchybotania pojazdu.

Wysiadły przy parkowej bramie, gdzie dołączył do nich przyjaciel wuja Ernesta, paromag Hucki. Zawahał się podczas powitania, jakby

dostrzegł jakiś podejrzany detal, lecz szybko odpędził te niedorzeczne przecucia. Zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami, po krótkiej rozmowie poprowadził dziewczęta pomiędzy eksponaty Wystawy Technik Eterycznych, przedstawiającej czcigodnym mieszczanom najszybsze osiągnięcia myśli techniczno-magicznej ostatnich lat. Pani matka samotnie udała się na salony, by dołączyć do socjety dyskutującej przy wykwinnym poczęstunku.

Gabriela nie słuchała opowieści Huckiego o odkryciu pierwszych źródeł żywej wody na szczytach Uralu oraz wojnach prowadzonych o kolejne górskie jeziora, których pary pozwalały wiązać eter w spłoty naginające prawa natury. Promieniujący w głowie ból oraz rosnący niepokój w trzewiach mieszały jej myśli. Skupiła się więc na zachowaniu pozorów i dotrzymaniu kroku towarzystwu.

Gdy ona gasła, Melania jaśniała. Spijała słowa z ust przewodnika, zadawała milion pytań, uważnie oglądała każdy ze skomplikowanych modeli maszyn. Była przepiękna w swym zachwycie i gorliwości. Przez lata prosiła, by państwo rodzice pozwolili jej na naukę w technikum zegarmistrzowskim specjalizującym się w zegarowych sługach z nadzieją, że zgłębi dzięki temu rzemiosło wtłaczania życia w zimny metal. Jednak podczas pierwszej dłuższej wizyty w mieście dopadła ją słabość, po czym... Gabriela ugryzła się w policzek, odpędzając otumanienie. Pal eter matczyną tyradę o tym, że publicznie okazywanie słabości to kompromitacja; musiała zostać silna i przytomna, aby nie odebrać kuzynce i tej namiastki spełnienia marzeń.

Z zadumy wyrwały ją nerwowe szepty ludzi przyglądających się niepozornemu, odgrodzonemu siatką wehikułowi. Wedle postawionej przy nim tabliczki był to model pokazowy, który choć nie miał prawa działać, dziwnym kształtem budził niepokój zwiedzających. Z ustawionego na gąsienicach odwołku wyrastały cienkie, zakończone dyszami ramiona. Część metalicznego płaszcza zastąpiono szklaną taflą, ukazującą przesuwające się wewnątrz komponenty. Pośród nich, ku zdumieniu dziewcząt, tkwił gruby pas tkaniny w znajomym odcieniu zieleni.

— Nie umiem sobie wyobrazić, do czego to służy. — Oczy Melanii zeszły się z urzeczenia absurdem.

— Eter działa intuicyjnie, acz nielogicznie, przez co trutka na owady i modne damy może zyskać szersze zastosowanie. Do produkcji zieleni paryskiej, obecnie zwanej nekromancką, używa się substancji pokrewnych arsenikowi, przez co ten pigment jest podobnie trujący. O dziwo, to właśnie farba skuteczniej współdziała z eterem, co poskutkowało zmianą nazwy. — Hucki uśmiechnął się szeroko, nie dostrzegając nagłej zmiany na twarzach dziewcząt. — Ten oto wehikuł zatrzuwa eter i rozprasza go wokół, szkodząc wszystkiemu, co dycha. Umożliwia to unieszkodliwienie wrogów bez skażenia przyrody, a przez to: bez wypaczenia źródeł żywej wody. Panienska Gabriela zapewne jest już

wtajemniczona w proces wydobycia esencji substancji do eteru?

— Nie przerabiałam jeszcze paromagii chemicznej — odpowiedziała. Słowa ledwo opuściły ściśnięte nie tylko grozą gardło. Po minie kuzynki zauważyła, że jej myśli podążyły tym samym tropem.

— Jak długo trzeba sypiać w pokoju z tapetą tej barwy, by umrzeć? — spytała Melania.

— Mogę panienkę zapewnić, że to kwestia tygodni, jeśli nie miesięcy. Z całą pewnością zawczasu zostaliby wezwani lekarze, którzy odnaleźliby źródło problemu. Gorzej, gdyby przypadkiem spożyło się choć trochę farby... — Hucki nagle zmienił ton. — Panno Gabrielo? Czy panienka się dobrze czuje?

Nie zdołała odpowiedzieć. Otepiający ból pochłonął obrazy i dźwięki. Przez ciało Gabrieli przebiegł spazm, w gardle zakotłował się ogień. Osunęła się na chodnik, zasłaniając usta i napęczniałe policzki. Wołała nie pamiętać kompromitacji, która nastąpiła później. Hucki, nie dbając o schludność stroju, podźwignął ją i delikatnie ułożył na ławce w bezpiecznej pozycji, przeznaczonej dla chorych i pijanych. Posłał po medyka kogoś z gęstniejącego szeregu gapiów. Melania przypadła do niej, łkając. Czy to był omam, czy naprawdę przez lico kuzynki prześwitywała czaszka?

— Dziękuję ci za ten dzień, ale Gabrysio, to nie było warte twojego zdrowia! — wyszeptła. — Przepraszam cię!

— Nonsens — chciała odpowiedzieć, ale zakrztusiła się. Nie mogła złapać tchu. Przypomniała sobie o powiązaniu zaklęcia z przytomnością maga.

Wszystko stracone, pomyślała, nim pochłonęła ją cisza i biel omdlenia.

Nawet najcichsze westchnienie nie uciekło z ust Melanii, gdy jej duch nagle wymknął się z pęta zaklęcia. Na powrót martwe ciało zsunęło się po ławce na bruk. Przez tłum przeszło poruszenie, uniosły się zaskoczone okrzyki. Szybko zauważono stojący obok egzemplarz teoretycznie niedziałającej broni chemiczno-parowej, której cylindry przesuwwały się z mechaniczną obojętnością wobec ludzkich dramatów. Obecność specjalistów nie zdołała powstrzymać lawiny domysłów.

— To coś potruje nas wszystkich! — krzyknął ktoś, a wtórujące mu okrzyki rozeszły się po parku jak fala. Zapanował chaos.

Godzinę później woń amoniaku sprowadziła Gabrielę na powrót między przytomnych. Z konsternacją spojrzała na podetknięte pod nos sole trzeźwiące i dłoni badającej ją medyczki. Za nią dostrzegła ciało Melani, ułożone na ziemi i przykryte płaszczem paromaga. Szloch wezbrał w jej piersi, wywołując kolejną falę mdłości.

— Zostaliśmy sami. Tłum przestraszył się, że zatrula was makieta maszyny. Cud, że nikogo nie stratowali — burknął Hucki stojący poza polem widzenia. Gabriela zamarła.

— Proszę nie pisać wujowi... — jęknęła. Medyczka przytknęła palec do ust: było za wcześnie na rozmowy.

— Pani Afońska zajmie się zatruciem, ale gdy już panienkę wykuruje... — Hucki ściągnął jej rękawiczkę, odsłaniając odbarwioną skórę. — Opowiesz nam, jak niepotrafiąca obchodzić się z księgami nekromanckimi amatorka zdołała utrzymać iluzję życia.

— A to... trudne? — zdziwiła się szczerze.

Milczenie paromaga starczyło za odpowiedź.

Aleksandra Stanisz

Rocznik 1992, Płocczanka, pani inżynier od materiałów. Lubi kawę, surrealizm oraz opowieści niesamowite. Podczas tworzenia najbardziej angażuje ją światotworzenie i zbalansowanie go z fabułą. Jej opowiadania pojawiły się m. in. w antologiach *Nowoświaty* oraz *Umieranie to parszywa robota*.

Panna Twardowska

Barbara Kaczyńska

Żaden pacholek nie zjawił się na wołanie. Karczma wydawała się zupełnie opuszczona.

– „Rzym”, też coś – prychnął Jerzy Mniszech. Od mrozu wilgoć zamarzała mu na młodzieńczym wąsie.

Wyteżył wzrok. W księżycowym poblasku odbitym od śniegu zdawało się, że w dachu przysadzistego budynku zieje olbrzymia dziura.

Narastała w nim gniewna pewność, że wystrychnięto go na dudka. Zeskoczył w śnieg, zapadając się po kolana, i poprowadził konia ku koślawym wrotom stajni. Nocleg zapowiadał się nędzny, ale lepsze to, niż zdechnąć w jakiejś zaspie. Rano wróci do Warszawy i pomyśli, jak dopaść oszusta.

W stajni było ciemno choć oko wykol. Po paru krokach potknął się i przy wtórze ogłuszającego zgrzytu runął na polepę. Spłoszony koń rąbnął zadem o ścianę. W ciemności rozległ się plugawy rechot.

Przekleństwo i modlitwa splątały się Mniszechowi na języku. Sięgał już po broń, gdy nagle zapłonęło światło.

Przez jedno uderzenie serca był pewien, że trafił do piekła.

Kołysał się nad nim ogromny koguci łeb o dzwonek jak wołowe serce. Z połyskliwie zielonej piersi dobywał się szatański chichot – ni to klekot, ni gdakanie. Stalowe szpony zdzierały z klepiska wiórki zmrożonej ziemi.

– Widzę, że miłościwy pan trafił do „Rzymu” bez turbacji.

Kogut znieruchomiał, jakby zmroził go głos podszyty obcym akcentem i obcą kąśliwością. Mniszech zerwał się na równe nogi i natarł na mężczyznę trzymającego lampę.

– Tak mnie waszeć przyjmujesz? Piękna gościnność. Tylko wilczych dołów brakuje!

– Miłościwy pan raczy mi wybaczyć...

Miłościwy pan miał wielką ochotę oćwiczyć Twardowskiego po gębie, ale powstrzymały go następne słowa:

– ...i tamtymi drzwiami przejść do karczmy. Panna już czeka. Oporządzę

tylko waszmości konia i zaraz do was dołączę.

Mniszech wnet powściągnął gniew. Spojrzał łaskawiej na mechanicznego koguta. Spodziewał się, że mistrz wezwie teraz demona, by spełnił usługę stajennego, ale podniecenie nie pozwoliło mu przekonać się o tym na własne oczy. Korytarzykiem przedostał się do obszernej izby, dusznej od zapachu kamfory i łoju spalanego w lampach. Okna wychodziły na tył budynku, dlatego nie widział wcześniej światła; nie czuł też dymu, bo w palenisku nie było ognia. Ciepło biło od bani o miedzianym brzuszysku, wielkiej jak chałupa. Mniszech niecierpliwie prześlizgnął się po niej wzrokiem i dostrzegł stojącą za nią dziewczynę. Przygryzł odtajającego wąsa.

Nie znał Barbary Radziwiłłówny; zmarła, gdy miał ledwie trzy lata. Widział jednak jej portret z pracowni mistrza Cranacha i gdy teraz porównywał obraz zapamiętany z tym, który jawił się przed nim w chybottliwym świetle, był pewien, że żaden ze słynnych alchemików, o których słyszał w studenckich czasach w Królewcu i Lipsku, nie dorastał do pięt Twardowskiemu.

To była ona, w każdej części. Miała twarz Radziwiłłówny, jej małe usta, wydatny nos i drobny podbródek, tak różny od habsburskiej wargi ostatniej żony króla Zygmunta. A jej oczy (tak błyszczące, jak opowiadano...) w oprawie jasnych łuków brwi zdawały się jeszcze ciemniejsze i czarowniejsze, jak aksamit z zielonym połyskiem. Barwa nieoczekiwanie skojarzyła się Mniszchowi z emaliowanymi piórami mechanicznego koguta. Czy to cudencko, które miał przed sobą, też było automatem? Niemożliwe. Pierś unosiła się z oddechem. Kąciki ust drgały. Na skroni pulsowała żyłka. Włosy były miękkie, skóra ciepła. Nozdrza zafalowały gniewnie, w głębiach oczu mocniej zamigotał zielony płomyk.

– Trzymaj waść ręce przy sobie.

Mniszech uśmiechnął się mimowolnie, cofając dłoń.

– Nie dla mnie te rozkosze – przyznał. – Ale to dzięki mnie spełni się największe pragnienie miłościwej pa... – zająknął się, niepewny, jak ją tytułować. Wyglądała jak zmarła królowa, ale Twardowski powiedział o niej „panna”...

Łuki brwi ugięły się miękko.

– Moje pragnienie? Waszeć je znasz?

– Z chęcią usłyszę je z ust waszej miłości.

– Pojechać do Rzymu – powiedziała bez wahania, zbijając go z pantałyku. – Tego prawdziwego. Zobaczyć świętopietrską bazylikę, przemienioną niedawno przez tego, którego nazywają Aniołem...

– Popeliłem błąd – przerwał jej głos Twardowskiego, który stanął właśnie na progu izby. – Nie dość zważałem na to, co przy niej mówię. A świeże mózgowie chłonęło wszystko aż nazbyt chciwie.

– Skąd się ona wzięła? – spytał Mniszech.

– Z żywota matki, oczywista – rzekł mistrz z powagą zbyt solenną, by nie była kpiną.

Pallichu, pomyślał Mniszech. Zerknął na nadąsaną kobietę. Mało dbał o to, czy nowa Radziwiłłówna jest automatem, homunkulusem z retorty, wskrzeszonym ciałem zmarłej przed laty królowej, czy dziewczyną, której czarnoksiężnik nadał tylko rysy tamtej. Ważne, że król zobaczy w niej ukochaną, nietkniętą przez czas i choroby, które jego samego nie oszczędziły – i że obsypie łaskami tego, kto zwróci mu życie i pół serca.

Mniszech czuł już słodycz tych zaszczytów.

– Czego chcesz waszeć w zamian? – zapytał wielkodusznie.

Twardowski dokuśtykał do miedzianej bani. Poglądził metal.

– Wasza miłość nie może mi dać niczego, czego nie mógłbym zyskać własną sztuką.

Nie spodobało się to Mniszchowi, ale czarnoksiężnik jeszcze nie skończył:

– Niczego nie chcę – powiedział, odwracając się. – Nie zamierzam długo popasać na tym padole.

– Waszeć chory? – spytał Mniszech z niedowierzaniem.

Twardowski uśmiechnął się wąskimi wargami.

– Pozwoli wasza miłość, że przedstawię swoją drogą połowicę – rzekł, znów opierając dłoń o miedziane brzuszysko. – Oto pani Twardowska.

Mniszech osłupiał.

– To... – Zerknął na nadąsaną Radziwiłłównę, potem znów na olbrzymią banie. – Więc mówiąc o „łonie matki”...

– Owszem. Ale tym stała się dopiero niedawno. Nie do tego ją stworzyłem.

– Do czego więc?

– *Ad vitae conservationem*. Stąd też tak dobrze się spisała, gdy szło o ukształtowanie tej panny.

– Waszeć... chory? – powtórzył Mniszech, próbując pojąć, po co Twardowskiemu maszynieria do „zachowania życia”.

– Jeśli chory, to na szczególną tęsknotę – odparł mistrz. – Nie pragnąłeś nigdy, miłościwy panie, dotrzeć na Księżyc?

– Nie – powiedział szczerze Mniszech. Ambicje miał wielkie, ale w pełni ziemskie.

– Mnie od dawna to nurtowało – podjął Twardowski. Mniszech rozpoznał ślepy zapal, który ogarniał uczonych i artystów, gdy zaczynali (i nigdy nie kończyli) rozprawać o swoich dziełach. Projekt zaciekawił go jednak na tyle, że na razie nie przerywał.

– Widziałem dwie drogi: albo wznieść się wysoko jak ptaki, albo wystrzelić się z wielką siłą na podobieństwo kuli armatniej. I to właśnie jest moja kula armatnia; wypchnie ją wielka moc pary, ściśniętej i sprężonej w katakumbach

mego „Rzymu”. W niej, bezpieczny jak dziecię w łonie matki, poszybuję ku najbliższej nam gwiazdzie i kto wie, ujrzę może stamtąd sferę translunarną, siedem niebios...

– Jakże waszeć wejdiesz do środka?

– Z tej strony jest włącz. Wasza miłość pozwoli... – Twardowski z ochotą zakręcił korbą, której wcześniej Mniszech nie zauważył, i przywołał go gestem. Szlachcic zajął do wnętrza bani i zamrugał, oszołomiony powodzią soczystej, rozmigotanej zieleni. Ściany zdawały się okryte wiosennym listowiem brzoź. Nie od razu w tym szmaragdowym blasku dostrzegł srebrne instrumenty podobne do naczyń alchemicznych, splecionych z sekstantami i horologiami.

– Ta barwa...

– Mam w niej upodobanie – rzekł Twardowski, zadowolony, że może rozprawiać dalej. – Pigment mego wynalazku. Dziecię Wenery i poskromiciela mężów... W mowie niewtajemniczonych: miedzi i arsenu. Rozwesela oko i raduje duszę, a to w wielodniowej podróży ważniejsze od pokarmu.

Mniszech pokręcił głową. Wszedł głębiej w kuliste wnętrze.

– A te instrumenty?

– Podziwiam wnikliwość miłościwego pana – ucieszył się Twardowski, mile łechcąc próżność szlachcica. Wszedł za nim do wnętrza bani i pochylił się nad najbliższym sekstantem, gdy nagle rozległ się głośny szczęk. Mniszech obejrzał się na włącz. Był zamknięty.

– Co...

Podłoga zatrzęsała mu się pod stopami. Daleko w dole rozległ się przeraźliwy syk jak gdyby miriadów węży. Kolejny wstrząs, mocniejszy, powalił Mniszcha na kolana. Przez chwilę miał wrażenie, że serce i trzewia uciekają mu przez pępek, a oczy ślizgają się w za dużych oczodołach; grdyka klekotała mu jak groch w grzechotce. Potem nagle wszystko ustało.

Mniszech dość miał demonstracji.

– Wypuść mnie stąd, do kata – warknął.

Twardowski pokręcił głową z zagadkowym uśmieszkiem. Patrzył na wskazówki chronometrów tańczące wokół tarcz.

– Wystrzeliła nasz pocisk.

Mniszech się zachłysnął.

– Co waszeć bredzisz... Kto... Jaki pocisk...

– Lecimy. Wystrzeliła nas. Popęniłem z nią wiele błędów – wyznał Twardowski nieledwie z dumą. – Za często mnie widziała przy pracy nad panią Twardowską. Oczywiście, przy obecnej koniunkcji planet na Księżyc nie dotrzemy. Spadniemy na Ziemię, jak mniemam... może za tydzień. Może w Kataju – zachichotał. – Cali i zdrowi.

Klnąc, Mniszech skoczył do włączu. Nie wierzył – nie umiał sobie wyobrazić –

że za miedzianymi ścianami rozciąga się pustka. Daremnie szarpał się z korbą, pewien, że lada chwila zobaczy ciepłe światło łójówek. W rozpaczny odstąpił i ukrył twarz w dłoniach.

– Byłbym zapomniał... Lepiej nie dotykać ścian. Zielen jest piękna, lecz jadowita.

Mniszech jak oparzony odjął ręce od twarzy.

– Co?

– Mnie, zahartowanemu alchemią, szkody nie czyni – ciągnął czarownik z roztargnieniem. – A panna otoczona była zawsze szkłem. Ale wasza miłość...

– Ty chamie, ty... ty diable – wybełkotał Mniszech, tocząc nieprzytomnym wzrokiem po zielonym piekle. Próbował sobie przypomnieć, czy dotknął trującej farby. Czy czuł jej smak w powietrzu?

– Dużo czasu przed nami – rzekł Twardowski pogodnie, jakby go nie usłyszał. – Pośpiewajmy kantyczki.

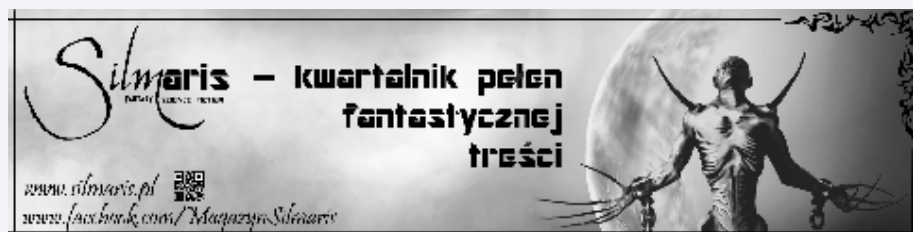
W uszach jeszcze dzwonił jej huk wystrzału, z którym księżycowy pocisk wzbił się w przestworza. Wsunęła nogi pod stalowe skrzydła i przejechała palcami po dźwigniach ukrytych w rubinowym grzebieniu. Szczęknięta sprężyna, zgrzyt zębatek zadrgał wzdłuż kręgosłupa. Kogut przebudził się z gardłowym gdakaniem, pochylił dziób i wybiegł w blask śniegu i Księżycu.

Nie sięgała pamięcią dalej niż parę miesięcy wstecz; nie wiedziała, kim jest i skąd się wzięła. Ale wiedziała, dokąd zmierza.

– Do Rzymu – szepnęła. – Prawdziwego.

Barbara Kaczyńska

Tłumaczka, absolwentka historii i lingwistyki stosowanej. Miłośniczka legend arturiańskich i badaczka baśni, o których przygotowała rozprawę doktorską. "Panna Twardowska" to jej drugi tekst w nurcie sarmackiego steampunku po opowiadaniu "Puella fabra. Dziennik roku 1717".



WYDAWNICTWO
IX

WYDAWNICTWO
GALEM

